

# Michalak Katarzyna

## Poczekajka 03

### Zmyślona

*"Zmyślona". Bezpieczna przystań dla trójki zagubionych dzieci i ich opiekunów. Magiczne miejsce, którym władają nie magia i uroki, ale zwykłe ludzkie dobro.*

#### ROZDZIAŁ I

Żółty jak pisklę maluch podjechał pod dom i zatrąbił akurat w chwili, gdy Patryk wynosił resztki kolacji kurom. Pepsi, włochaty owczarek niemiecki, poderwała się, podcinając mężczyznę, a ten wypuścił talerz z dłoni, chwytając się framugi drzwi, bo byłby spadł ze schodów. Pies biegł w podskokach witać listonosza, Patryk zaś, patrząc na resztki talerza i jedzenia, zaklął cicho. Podniósł głowę, by zrugać — już na głos — dowcipnego Wojtka listonosza, który zawsze musiał mu wyciąć jakiś numer, z wjazdem przez płot do ogródka włącznie, gdy głos zamarł mężczyźnie w gardle.

Z malucha wysiadała właśnie nieznajoma kobieta czy może raczej dziewczyna, a za nią dwójka dzieciaków: ciemnowłosa chłopiec na oko dziesięcioletni i młodsza od niego kilka lat dziewczynka o wesołych oczach i uśmiechniętej, umazanej czekoladą buzi.

Jako ostatni wygramolił się Wojtek, podnosząc maskę i wyciągając spod niej skromny bagaż przyjezdnych. — Ej, zaraz, zaraz! — Patryk rzucił się w dół schodów. — Co ty wyprawiasz? — Dopadł listonosza, wrywając mu torbę z dłoni i z powrotem upychając pod maską malucha. — W tym roku nie przyjmuję letników! Dzieci rozglądające się dookoła z zaciekawieniem zniechęciły, wbijając szeroko otwarte oczy w górującego nad nimi mężczyznę. Dziewczyna niestropiona jego wybuchem zrobiła krok do przodu, wręczając Patrykowi kopertę. Przyjął odruchowo i stał, obracając prostokąt papieru w dłoni, aż się roześmiała.

— Proszę otworzyć. Raczej nie ma w niej wąglika, tylko my.

Mężczyzna patrzył przez chwilę na uśmiech rozświetlający oczy nieznajomej, po czym oddał jej kopertę. — Tym bardziej nie będę otwierał. Odwrócił się i podążył do domu.

— Patryk, to co ja mam z nimi zrobić? — usłyszał głos listonosza.

Wzruszył ramionami.

— Odeślij tam, skąd przybyli. Najlepiej pocztą lotniczą. — Ale oni właśnie pocztą lotniczą! Nawet nalepki na bagażach mają!

Rzeczywiście. Na dwóch stojących obok samochodu torbach widniały charakterystyczne paskowane nalepki. — Przylecieliśmy pocztą lotniczą — odezwała się nieśmiało dziewczynka, unosząc zawieszoną na piersiach torebkę z dokumentami, w jaką w samolotach zaopatruje się dzieci.

Patryk pokręcił głową, stając ponownie przed nieproszonymi gośćmi.

— Nie przyjmuję letników w te wakacje. Przykro mi. — Jesteśmy rodzina, a nie żadni letnicy — zachnął się chłopiec, wyrwał dziewczynie kopertę i wcisnął w dłoń Patryka. — A ja jestem cholernie głodna rodzina. — Adaś, jeśli będziesz się tak od początku wyrażał... — zaczęła dziewczyna, ale chłopiec jej przerwał:

— Nie wolno mi mówić tych najbrzydszych słów. Nie zabraniałaś „cholernie”.

Listonosz stał przy samochodzie, z trudem powstrzymując się od śmiechu, a Patryk patrzył z niedowierzaniem to na chłopca, to na dziewczynę, to w końcu na kopertę. Wreszcie desperackim ruchem rozerwał papier, przeleciał pismo wzrokiem, jęknął i usiadł na najniższym schodku, wpatrując się w list.

— Wujku Patryku... — Poczł nagle na ramieniu dotyk małej rączki. — ...nie będzie tak źle...

Dzieci wpadły do środka, mijając gospodarza na schodach. Dziewczyna odebrała od Wojtka

listonosza trzy torby i chciała zapłacić mu za podwiezienie, ale obraził się na to śmiertelnie, wsiadł do żółtego rzęcha i odjechał. — Pomoże mi pan, czy sama mam targać te bagaże? — Pytanie nieznamym wyrwało Patryka z osłupienia. — „Pan”? To my dwoje nie jesteśmy rodzina? — zapytał głupio, mnąc w dłoniach list.

— Adaś i Lusia są dziećmi pani Hani, ja jestem ich opiekunką. I ma pan cholerne szczęście, że jestem. — Minęła go z dwiema torbami, wchodząc do środka. Jak weszła, tak stanęła, równie zachwycona co dzieci. Z ganku wchodziło się wprost do kuchnio-jadalni ościanach obitych od podłogi po sufit pociemniałą ze starości boazerią. Belki sufitu zdawały się jeszcze starsze, dywan zaścielający sosnową podłogę również. Na ścianach, zamiast trofeów, jakich można się było spodziewać po leśniczym, wisały najpiękniejsze foto- grafie zwierząt, jakie cała trójka kiedykolwiek widziała. Dzieci chodziły od jednej do drugiej, wykrzykując co i raz w zachwycie:

— To bizon!

— Głupiaś, gdzie tu bizony. Żubr!

— Właśnie, że bizon — upierała się dziewczynka. — Ma łeb jak bizon.

— Żubr też ma łeb jak bizon, idiotko — prychnął chłopiec.

— Adaś, nie mów tak na nią! — usłyszał za plecami groźny głos opiekunki. — To żubr, Lusia, nie bizon. — A to pelikan...— Dziewczynka wcale się nie przejęła porażką, wskazując następne zdjęcie.

— Dzieciot! nie pelikan! — wykrzyknął chłopiec. — Dominika, powiedz jej coś! Ona celowo się ze mną drażni!

Patryk stał na progu domu z trzecią torbą w dłoni, przyglądając się trójce przybyszów z innego świata. W pamięci miał słowa swej siostry, nakreślone pospiesznie: **Zaopiekuj się nimi, dopóki ja nie będę mogła zabrać ich z powrotem. To dobre dzieci, a Dominika umie sobie z nimi radzić. Możesz jej ufać bezgranicznie. Jeżeli nie poradzą sobie ze sobą do września (września?! — krzyczał w tym momencie mężczyzna bezgłośnie), pošlij ich do miejscowej szkoły. I — błagam Cię, braciszku! — nie oddawaj dzieci je mu !**

**Kocham Cię, choć rzadko to mówiłam.**

H.

**PS. Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale spróbuj pomóc Patrycji.**

— Podobno byłeś cholernie głodny — odezwał się mrukliwie, zwracając na siebie natychmiastową uwagę. — On zawsze jest głodny. — Machnęła ręką dziewczyna. — Ale dzisiaj pożarłbym żubra z kopytami. Wiesz, wujku, co oni podają w tych samolotach? Wyrzygane kluski!

— Adam, jeśli się będziesz tak wyrażał... — zaczęła groźnie Nika.

— Jak on będzie tak mówił, to ja wyrzygam! — jęknęła dziewczynka.

— Lusia, jeśli się będziesz tak...

— Dosyć! — ryknął nagle mężczyzna. — Dosyć, bo wróćcie samolotem z wyrzyganymi kluskami! Umyjcie ręce i siadajcie do stołu. Zrobię wam kanapki... — Kanapkami napchałem się po drodze — zaprotestował Adaś.

— Milczeć! — ryknął powtórnie Patryk. — Teraz mówi przewodnik stada. Z listu wynika, że wasza mama, a moja siostra (też sobie przypomniała) jest chora i mam się wami (też sobie wybrała opiekuna) zająć. Czy tak? Dzieci zgodnie pokiwały głowami.

— Ja ewentualnie mogę zająć się sama sobą — wtrąciła uprzejmie dziewczyna.

— Ewentualnie to zaraz ręczniki dostaniesz i pościel — wycedził w odpowiedzi.

— Więc pan ewentualnie zajmie się nimi sam — odcięła się, a Patrykowi ręce opadły.

— Jeden zero dla Nikusi — powiedział ze śmiechem chłopiec. — Czy masz, wujku, komputer? Mama mówiła, że tu psy dupami szczekają, ale internet... Ała! — krzyknął kopnięty przez Lusię. Patryk stał wstrząśnięty. W najgorszych, najkoszmar-niej szych snach nie spodziewał się, że

dostanie na wychowanie dwójkę dzieciaków i rozwydrzoną pannicę. Albo natychmiast weźmie ster w swoje ręce, albo może wyprowadzać się już teraz do stajni, oddając tym dzikusom dom.

— Słuchaj, moja panno, i was też to dotyczy — wskazał dzieci — w tym domu rządzą ja. Komu się nie podoba, droga wolna. Odwiozę na stację i bilet do Warszawy kupię. Kto zostaje, ten...

— Zostaję pod warunkiem, że jest kompu... — Adaś nie zdążył skończyć.

— Zasada numer jeden: nie przerywaj przewodnikowi stada, gdy przemawia. Za karę obierasz ziemniaki na kolację.

— Tylko baby obierają...!

— Zasada numer dwa: jeśli nie zastosowałeś się do zasady numer jeden, obierasz ziemniaki przez cały tydzień.

Chłopiec zamrugnął i przeniósł spojrzenie z mężczyzny na dziewczynę. Ta wzruszyła ramionami, bojąc się odezwać. Patryk wskazał mu stojący w kącie kuchni kosz z ziemniakami i zydę. Chłopiec zrobił wielkie oczy, ale posłusznie usiadł na niskim stołku.

— Jedno ci powiem, chłopie. — Patryk uśmiechnął się lekko. — Nóż do tego niemęskiego zajęcia dostaniesz czadowy. — Wysunął spod blatu szufladę ze sztućcami, wziął jeden z noży o pięknie rzeźbionej rękojeści, podrzucił go w dłoń, chwytając za ostrze, i cisnął przez całą kuchnię. Nóż wbił się we framugę drzwi, drgając jeszcze przez chwilę.

Adaś wydał pełne zachwyty westchnienie.

— Nauczysz mnie tak, wujku Patryku?

— Wszystko w swoim czasie — odparł mężczyzna, podchodząc do kredensu. Wyciągnął pachnący słońcem ręcznik i takim samym ruchem cisnął nim w Dominikę. Złapała odruchowo.

— We mnie, wujku, nie rzucaj. Mogę się przewrócić — uprzedziła rzeczowo Lusia, co wywołało pierwszy tego dnia uśmiech na surowej męskiej twarzy. — Czy gdy Adaś będzie wykonywał niemęskie zajęcia, ja mogę obejrzeć świnki Babe?

— Słucham? — Patryk uniósł brwi.

— Mama mówiła, że prowadzisz ekologiczne gospodarstwo... — zaczęła z namaszczeniem dziewczynka. — Ekologiczne, głupia — poprawił ją z kąta chłopiec. — To ja idę wziąć kąpiel.

— Nika ruszyła po schodach na górę, mimo że Patryk nie przypominał sobie, by jej wskazał drogę.

— Babe, wujku Patryku, świnki Babe! — dziewczynka wzięła go za rękę i pociągnęła ku drzwiom. Kosmaty owczarek poderwał się, machając ogonem, gotów do wyjścia. Mężczyzna bezwolnie dał się wyciągnąć na dwór.

Mała stała z brodą opartą na poręczu, absolutnie oczarowana. Patryk, widząc zachwyty w oczach zielonych jak liść brzozy, po raz drugi tego dnia musiał się uśmiechnąć. — Boże — westchnęła z głębi duszy dziewczynka — dwanaście świnek Babe. Coś nieprawdopodobnego!

— Pokręciła głową, patrząc na różowiotkie prosięta, pracowicie ssące lochę. — Ich mama szaleju dostanie... — Słucham?

— Nasza mama, jak daliśmy jej w kość, mówiła: „ja przez was szaleju dostanę”, a ta tutaj ma aż dwanaścioro dzieci... Jak ma na imię? — zacięła się, nim zdążył odpowiedzieć, że już chyba wolałby dwanaścioro prosiąt niż ich dwoje. Teraz mała znów o coś pytała.

— Locha — odparł. — Ich mama nazywa się locha. — Nieee... — Lusia pokręciła głową. — Każda świnka samica to locha. Ja pytam jak ta locha ma na imię. Boże, zdumiał się, myśląc o siostrze, skąd ona wzięła takie mądre dziecko?

— Nie ma imienia.

— Nie ma?! — wykrzyknęła dziewczynka z taką rozpaczą, że aż się przestraszył. — To jak się do niej zwracasz, wujku Patryku? „Ty locho”?! — Eee... — nic mądrego nie przychodziło do głowy wykształconemu bądź co bądź mężczyźnie.

Mała ponownie westchnęła i machnęła ręką.

— Jakoś temu zaradzimy. Czy mogę ją nazwać? — Możesz — zgodził się słabym głosem. Dziewczynka podeszła do wiadra z wodą, nabrała obie garści i chlapiąc na śpiącą spokojnie świnię, aż ta podskoczyła z kwikiem, rzekła pełnym powagi tonem: — Chrzczę cię Marilyn Monroe.

Patryk wytrzeszczył oczy, a potem parsknął śmiechem. — Skąd ci przyszło go głowy, dziecko, nazywać świnię „Marilyn”?!

— Na Discovery Channelwidziałam, jak wodowali statek. I jeden taki ważny tak właśnie powiedział: „Chrzczę cię Marilyn Monroe”.Wziął butelkę i tą bu- telką...

Ale to był statek! — chciał wykrzyknąć Patryk, przerwało mu jednak wejście Adasia.

— Skończyłem, kapitanie. A Nisia nastawiła te pyrki. Tylko jak zwykle zapomniała posolić. Radzę się pospie- szyć, bo niezjadliwe będą...

— Chłopcze, tutaj mówimy na to ziemniaki albo kartofle. — Patryk ruszył ku domowi.

— O — zdziwił się Adaś — to jak u nas, w Warszawie. — Z tego, co wiem, mieszkaliście na wsi — zauważył kąśliwie Patryk.

— W Zaborowie — zgodził się chłopiec. — Ale w porównaniu z tą głuszą była to Warszawa — dodał bez cienia złośliwości.

Nim ziemniaki były gotowe, Patryk zdążył rozdys- ponować pokoje gościnne na poddaszu, przenieść torby podróżne i pościelić łóżka. Dzieciaki mimo całodniowej podróży trzymały się dzielnie, ale widać było, że po kolacji padną na buzie. Ich opiekunka również była zmę- czona. Może i nie przyleciała tego samego dnia z Irlandii, ale wielogodzinna konwersacja z tą dwójką nawet Sokratesa zniechęciłaby do życia.

Przy stole zachowywali się wzorowo. Nie używali noża i widelca— zresztą Patryk też nie (Dominika z początku próbowała trzymać się manier, ale widząc, że każdy je samym widelcem, poszła w ich ślady), lecz byli oboje grzeczni, a przede wszystkim małomówni. Lusi oczy zaczęły kleić się do snu.

— Co napisała mama? — zapytał nagle Adaś, wskazując widelcem leżący na kredensie list. — Nie czytałem, a mogłem — dodał.

— Nie mogłeś, bo tata by cię oskalpował za czytanie cudzych listów— zauważyła dziewczynka.

— Taty tutaj nie ma — mruknął, markotniejąc nagle. Właśnie. Dlaczego Hanka wywozi dzieci tysiące ki- lometrów od domu, potem odsyła je do z dawna nie- widzianego brata zamiast, skoro zachorowała, zostawić je z ojcem?

— Więc? Co napisała?

— Że jest chora i prosi, bym się wami zajął do września, a nawet dłużej — odparł, bo czekały na odpowiedź. Adaś pokiwał smutno głową.

— Izobozu nici. A ja się z chłopakami poumawia-łem... To przez niego!— krzyknął z wściekłością, rzucając widelcem o talerz.

Nika postąpiła mu miazdzące spojrzenie, ale nim zdołała wyrzec słowo, chłopiec wycedził:

— Kazał mamie wy- pier- dałać!!! Patryka zatkało. Dziewczynę także, ale tylko na moment, w następnej chwili wstała, chwyciła chłopca pełną garścią za kołnierz i pociągnęła do zlewu. Tam — na oczach oniemiałego mężczyzny — odkręciła zimną wodę, wsadziła głowę parszającego wściekle chłopaka pod kran i wyszorowała mu buzię szorstką szczotką unurzaną w płynie do naczyń. — To nic nie zmieni!!!— wrzasnął, gdy go w końcu puściła. — Możesz mi zedrzeć jęzor, ale to nic nie zmieni!

On tak właśnie powiedział! I to nie mnie powinnaś jadakę wyszorować, tylko jemu!!!

Pobiegł na górę z zaciśniętymi pięściami, ociekając wodą. Dominika opadła na swoje krzesło, bez apetytu dłubiąc widelcem w ziemniakach ze skwarkami.

— Tak powiedział — zwróciła się do niej z wyrzutem Lusia.

— Co nie znaczy, że wam wolno tak mówić — odwarknęła tamta.

Mała umilkła, wpatrując się w swój talerz, z którego jeszcze przed chwilą wtryniała pyszne wiejskie jedzenie. Adam zszedł, wycierając włosy.

— Gdybym nie był głodny, więcej byś mnie tu nie zobaczyła — rzucił opiekunce złe spojrzenie, siadając na swoim miejscu.

— Gdybym nie była zmęczona, wyszorowałabym ci jęzor dokładniej.

— Dosyć! — uciął Patryk. — Była wina, była kara. Skończyliśmy na tym, jak wasz tata...

— Może jej — Adam wskazał brodą Lusie — bo nie mój. — Chłopcze, już mówiłem, czym grozi przerywanie przewodnikowi stada. Chcesz obierać te ziemniaki przez dwa tygodnie?

Dzieciak pokręcił głową, a w jego oczach błysnęły łzy. Patryk nagle poczuł wstyd za siebie i swoje pytania, które powinien kierować do opiekunki, i swe zachowanie, które winno być nieco cieplejsze, bo jak widać, dzieci są po przejściach.

— Pocieszę cię, że następnym razem obierasz z przewodnikiem. Tym samym czaderskim nożem. — Klepnął Adasia w plecy, ale dzieciak nie zareagował.

— Mój tata jest też twoim, tylko czasem nie ma humoru. — Dziewczynka próbowała udobruchać brata, ale ten wzruszył ramionami:

— Nasz prawdziwy tata nie żyje, jak pamiętasz... nie, ty nie pamiętasz, bo gnojek byłaś. Gabriel jest p r z y s p o s o b i o n y — to ostatnie słowo wycedził jak obelgę. — To ty jesteś przysposobiony, jeśli już — przerwała mu Dominika. — Pan Gabriel jest twoim ojcem i w mojej obecności masz się o nim wyrażać z szacunkiem. — Mam dosyć twojej obecności! — krzyknął chłopiec, podrywając się tak gwałtownie, że talerze szczęknęły w proteście.

Rzucił się do schodów na poddasze, ale Patryk był szybszy. Chwycił dzieciaka za nadgarstek i mimo że ten wił się, łkając, pociągnął za sobą na ganek, a potem dalej, do ogrodu.

Tam przycisnął szlochające dziecko do piersi i trzymał, dopóki nie ucichło, opadając z sił.

— Ja też zostałem adoptowany. Wiedziałaś o tym? — zapytał cicho.

Chłopiec podniósł nań mokre od łez oczy i pokręcił głową.

— Chodź. Dokończysz kolację, prześpisz się, a rano spokojnie pogadamy. Tylko my dwaj. Bez dziewczyn. Okej?

Dzieciak pokiwał głową, niezdolny jeszcze do wypowiedzenia słowa.

W jadalni Dominika kończyła zmywać naczynia, Lusia siedziała przy stole, z brodą opartą na splecionych dłoniach, patrząc przed siebie. Cała radość, z jaką tu przyjechała, zgasła nagle. Podniosła pytający wzrok na brata, przeniosła na Patryka i przyglądała się chwilę, jak dojadali zimne ziemniaki, a potem zaczęła głosem zupełnie pozbawionym emocji:

— Mama pokłóciła się z tatą. Bardzo. Tak bardzo, że schowaliśmy się pod łóżka. Tata wyrzucił ją z domu i zakazał wracać, dopóki nie wyzdrowieje. W nocy nas wykradła i uciekliśmy do babci. Ale gdy wyjechała do sanatorium, babcia nie mogła się nami zajmować, bo jest stara jak węgiel drzewienny, i przyjechaliśmy tutaj. Patryk słuchał wstrząśnięty nie tyle słowami dziewczynki — w każdym małżeństwie zdarzają się kłótnie (razem z Hanką też nieraz czmychali do swoich pokojów i zatykali uszy poduszkami, by nie słyszeć), ile tonem: martwym głosem dziecka, które przeżyło za dużo.

— Miel ozorem przed obcymi, głupia babo — prychnął Adam znów zły i nieszczęśliwy.

— Wujek nie jestobcy. Jest rodziną! — Posłała mu mordercze spojrzenie.

Chłopiec chciał sprostować, że wujek nie jest żadnym wujkiem, ale napotykać wzrok mężczyzny ciekawego, czy to robi, dokończył tylko jeszcze bardziej wściekły: — Powiedz też, o co się pokłócili.

— Dosyć tego! — Nika zakręciła wodę. — To nie są tematy dla dzieci.

— To jak z tym przekleństwem — wpadł jej w słowo Adaś. — To, że zabronisz o tym mówić,

nie zmieni tego, że...

— Idziesz na górę do swojego pokoju. Natychmiast! — Dziewczyna pochyliła się ku Adamowi.

— Kładziesz się spać. Teraz!

Patryk pokręcił głową, pełen uznania dla jej postawy i głosu. On chyba nigdy nie był tak stanowczy. Dzieciak posłusznie wstał, podziękował, powiedział dobranoc i pobiegł na poddasze. Dominika tylko spojrzała na Lusię, a ta równie posłusznie ruszyła w ślady brata.

Dziewczyna patrzyła za znikającymi na schodach nóżkami, by po chwili przenieść wzrok na gospodarza domu. — Nie zdradzę tu niczych sekretów, bo one wszystko wiedzą, a pan powinien się dowiedzieć, tak mi przykazała pani Hania, więc powiem to teraz, żeby nie przyszło panu do głowy znów wypytywać dzieci: pan Gabriel wyrzucił panią Hanię z domu po tym, jak mała nie spadła ze schodów z Lusią na rękach. Pani Hania była wtedy kompletnie pijana. Jest teraz w Irlandii. Na odwyku. Patryk słuchał w milczeniu.

— Czy pan pije alkohol? Zaprzeczył.

— To dobrze. Gdyby zobaczyły pana pijanego, próbowalyby uciec, a ja miałabym wtedy problem.

— Nie piję. W ogóle — wyjąkał.

— Pewnie dlatego przysłano je właśnie tutaj — skwitowała dziewczyna.— Pójdę na górę. Adaś zbyt grzecznie mnie posłuchał. Będzie pewnie coś kombinował...

— Kombinował?

— To naprawdę fajny dzieciak, ale jak jest nieszczęśliwy, a teraz jest, czasem mu odbija i próbuje uciekać. Muszę go ugłaskać przed snem. — Uśmiechnęła się mimo smutku i zmęczenia, a on nagle docenił i jej poświęcenie, i... urodę.

Gdy zniknęła na górze, wyszedł, zabierając ze sobą psa, pozamykał zwierzęta, a potem siadł na schodkach ganku, by w spokoju przemyśleć wydarzenia tego długiego dnia. Z Hanką— przybraną siostrą, której rodzice adoptowali go, gdy miał siedem lat, a ona cztery — nie utrzymywał praktycznie żadnego kontaktu. Drogi ich dorosłego życia po prostu się rozeszły i stykały jedynie w najważniejszych momentach. Ostatnim były chrzciny maleńkiej Anielki — córeczki Patrycji i Łukasza. Uśmiechnął się na to wspomnienie, czując ciepło w okolicy serca, po czym wrócił myślami do siostry.

Wiedział, że jej małżeństwo nie jest idealne — obydwójce z Gabrielem pasowali do siebie temperamentem i darli przysłowiowe koty, o czym było głośno również w prasie bulwarowej: Hanka była przecież gwiazdą seriali. Do tej pory Patryk myślał, że to jest główną przyczyną kłótni w domu hrabiostwa Romockich — sława Hanki, zazdrość o piękną żonę i obecność dwójki adoptowanych dzieci, bo własnych mieć nie mogli. O tym wiedział właśnie z gazet — ilekroć widział na okładce zdjęcie siostry, nie mógł się oprzeć, by nie zajrzeć do środka i nie czytać plotkarskich bredni. Okazuje się jednak, że w Zaborowskim dworze rządził inny pan, z którym i tutaj Patrykowi przyszło się nie tak dawno zmierzyć: alkohol. Przeklęty po tysiącokroć alkohol...

Potał twarz, przypominając sobie własne zmagania. Ciężko było... Z tym że on walczył w samotności, w czterech ścianach leśniczówki. Nie krzywdził nikogo oprócz siebie. Nie miał dzieci, które chowałyby się przed nim pod łóżkiem. I nie spadał ze schodów.

Poczuł na siostrę i jej męża nagłą złość. Sami mogli się pozabijać — to znaczy nie, nie mogli, a niech idą w diabły! — ale dlaczego robili to na oczach Adama i małej Lusi?!

Patryk lubił dzieci. Co roku przyjmował w wakacje dzieciatę rodziny, nie mając nic przeciwko temu, że małe łapki przewracają mu dom do góry nogami. To dla dzieci — obcych, bo do własnych jeszcze mu się nie spieszyło — założył gospodarstwo agroturystyczne ze świnkami Babe— uśmiechnął się na wspomnienie „Marilyn Monroe”— dżersejkami, w których zakochał

się po wizycie w Poczekajce, łagodnymi jak muły końmi i ptactwem, mimo że wystarczyło mu obowiązków i pracy. Patrzył na zachwyty małych ludzików, śmiał się z ich zdziwienia, że mleko pochodzi od krowy, a nie z łaciatego kartonika, i dokupował nowego zwierzaka, żeby w przyszłe wakacje zachwyty i zdziwienia było jeszcze więcej.

Patryk lubił też kobiety. Dziewczęta zawsze kręciły się wokół przystojnego leśniczego, a i on nie stronił od mniej czy bardziej poważnych miłostek. Lubiał kobiety: ich dotyk, zapach, głos, smak. Lubiał kochać i być kochanym. Rzadko którą jednak wpuszczał do swej samotni: leśniczówki w Zmyślonej. To była jego jaskinia. Jego terytorium.

Swe „ukochane” zapraszał do restauracji czy hotelu — stać go było, bo na grafice zarabiał duże pieniądze. Czasem wybierał bardziej ekstremalne miejsca na konsumowanie co apetyczniej szego dziewczęcia: przednie siedzenie toyoty, polanę głęboko w lesie, rozpadający się tapczan w opuszczonym siedlisku, siano w czyjejsz stodole czy nawet stary poniemiecki nagrobek na leśnym cmentarzu — seks z Patrykiem Jeziorowskim nie był nudny, o nie! Ale żadna z kobiet nie mogła się poszczycić tym, że rozdziewiczyła jego łóżko.

Żadna też nie przekroczyła progu jego kuchni — nie licząc oczywiście wczasowiczek, ale na goszczące u niego kobiety Patryk dla zasady nigdy nie zagiął parolu. Były nietykalne nie tylko z tego powodu, że były gośćmi, ale dlatego, że każda miała męża i dzieciaki. I choć niejedna patrzyła na pana leśniczego głodnym wzrokiem, nigdy żadnej nie sprowokował do niczego więcej: pozwalał się podziwiać czy nawet konsumować w marzeniach, jednakże gościna była świętością. Nie zależało mu również na nożu w plecach, wbitym przez zazdrosnego małżonka. Panowie więc, po pierwszych dniach podejrzliwego popatrywania na rywala, nabierali pewności, że Patryk albo nie chce, albo nie może, i z pełnym zaufaniem, szczególnie wzmocnionym paroma głębszymi, oddawali swe rodziny w jego ręce.

Oni całymi dniami siedzieli nad stawem, usiłując wyłuskać z mętnej wody coś więcej niż smętnego karaska, ich żony zaś, pogodziwszy się z faktem, że do pięknego gospodarza mogli tylko powzdychać, znikwały wraz z dziećmi na całe dni w lesie, by wieczorami smażyć konfitury z jagód, objadać się poziomkami z cukrem, czy wreszcie obierać i suszyć grzyby.

Przez siedem lat odukończenia studiów Patryk wiódł więc spokojny żywot słomianego wdowca, otoczony sympatią i adoracją płci pięknej.

Tę sielankę zburzyła Martyna. Śliczna jak marzenie stażystka, która trafiła w zimowe ferie do nadleśnictwa. Stała się natychmiast obiektem westchnień wszystkich zatrudnionych tam mężczyzn: od najmłodszego — Piotrka, po najstarszego — nadleśniczego, który nie mógł jednak pozwolić sobie na nic więcej niż dogadzanie młodej pracownicy a to herbatką z malinową konfiturą domowej roboty, a to drożdżowym rogalikiem upieczonym poprzedniego wieczoru przez żonę, a to...

Martyna przyjmowała te karesy niemal ze znużeniem, bo przywykła tak właśnie być traktowana. Do nadleśniczego uśmiechała się promiennie, Piotrka obdarzała wyniosłym spojrzeniem księżnej pani, lecz modre oczy Miss Nadleśnictwa rozbłyły dopiero na widok Patryka, który wrócił z delegacji dwa dni po nastaniu stażystki. Ten również, obrzuciwszy zgrabne, apetycznie krągłe, lecz szczupłe ciało dziewczyny jednym długim spojrzeniem, uśmiechnął się lekko, a w tym półuśmiechu było więcej obietnic niż w całym słoiczku jagodowych konfitur. Od pierwszej chwili zaczął się namiętny romans Patryka i Martyny, z którego nie robili specjalnie tajemnicy, wychodząc z założenia, że w tak małym środowisku wszyscy wcześniej czy później — raczej jednak wcześniej niż później — będą wiedzieli nie tylko kto, gdzie, z kim, ale również kiedy i jak.

W pracy trzymali przyzwoity dystans, za to po godzinach... wybuchał szal ciał.

Patryk miał wiele kobiet, ale Martyna w sztuce miłosnej biła tamte na głowę. Niemordowana, chętna, pełna inwencji i magicznych doprawdy sztuczek uzależniła od siebie młodego

mężczyznę tak szybko i tak skutecznie, że gdy po tygodniu— nadasana, bo nie kupił jej jedwabnej koszulki, kosztującej ni mniej, ni więcej, tylko połowę jego pensji — odmówiła wyjazdu „w teren”, Patryk wrócił do domu niemal chory.

Zarwał noc, a to próbując powściągnąć palące pożądanie, a to walcząc z godnością, by nie włamać się do sklepu z bielizną, nie ukraść koszulki i nie zanieść trofeum wybrance, błagając o wybaczenie, to znów przerzucając szuflady w poszukiwaniu c z e g o k o l w i e k ,co ułagodzi obrażoną Martynę. Gdy odzyskiwał zdolność rozumowania, siadał ciężko na łóżku, do którego nie zaprosił żadnej kobiety, i rozmyślał, jak uwolnić się od „ukochanej”, bo zauroczenie zaczynało przeradzać się w obsesję. Chwilę potem znów zalewała go fala pożądania, gdy przypomniał sobie dziewczynę w... albo z... albo nad... albo... i znów zaczął krążyć po domu jak oszalały kocur, poszukujący choć namiastki kotki.

Nad ranem, wymęczony jak po seksualnym maratonie, powłókł się pod dom Marty, poczekał, aż ukochana spłynie w ślicznej dziewczęcej, a co najważniejsze, przy- krótkiej sukience wprost w jego spragnione ramiona, i wyrzekł nabrzmiałym pożądaniem głosem:

— Kupię ci tę koszulkę.

Martynka obdarzyła go w nagrodę słodkim buziakiem prosto w usta, aż przechodząca sąsiadka sapnęła z obu- rzenia, po czym miauknęła, uśmiechając się figlarnie: — Nie chcę już koszulki. Chcę pierścioneczek. Ten z brylantem i rubinami. Pokazywałam ci go, gdyśmy do Wielunia pojechali. I żebyś w kościółku mi go nałożył. Patryk, tulący do siebie dziewczynę, zeszywniał. I to niekoniecznie tak, jakby sobie tego życzyła. Już mniejsza oto, że pierścionek był parę razy droższy od jedwabnego ciuszka. Jednakże koszulka w zamian za namiętne chwile to jedno, a zaręczyny „w kościółku” to zupełnie co innego. Gdy miotał się po domu nocną porą, taka myśl przychodziła do głowy zrozpaczonemu samcowi, jakim wtedy był, ale teraz, w chłodzie poranka, ślub z dziewczyną, o której wiedział tylko tyle, że jest dobra w łóżku, wydał się pomysłem co najmniej niepokojącym. Wypuścił więc ukochaną z objęć, mamrocząc coś o zwózce drewna.

I wtedy piękna Martyna wzięła się pod boki, wypisz wymaluj przekupka z rynku, i jak się nie wydrze na pół wioski:

— Jak dupe obrabiać na sianie, toś pierwszy, a gdy chcę po bożemu, przed ołtarzem przysięgać, to zwózkę masz? A bachora kto będzie wychowywał? Bo ja sama na pewno nie!

— Jakiego bachora?— zdołał wykrztusić.

— Jak to jakiego?! Twojego! A kto mnie od tygodni dzień w dzień obraca?! Nadleśniczy?!

Tu Patryk mało się pod ziemię nie zapadł z podwójnego, gdzie tam podwójnego!, z poczwórnego wstydu. Nie dość, że ujrzał Martynkę taką, jaka była — rozwrzeszczaną bazarówkę, nie dość, że skompromitowała i jego, i siebie na oczach całej wsi, to jeszcze rzucała podejrzenie na szefa, a ten reputację miał nieskalaną. Bo słoiczki z konfiturami nie były jeszcze zdradą.

W momencie olśnienia Patryk odzyskał swą niewątpliwą inteligencję, która w ostatnich dniach wolne widać wzięła, chwycił Martynkę za rękę, zaciągnął do apteki i rzucił do pani magister:

— Test ciążowy proszę.

Potem wrywającą się dziewczynę wepchnął na zaplecze, otworzył kopnięciem drzwi do ubikacji i warknął: — Sikaj.

Martyna próbowała sztuczki z awanturą, ale zakneblował ją słowami:

— Sikaj albo dzwonię do twoich rodziców, że córkę na dziwkę wychowali.

— Korzystać to korzystałeś!

— Ale nie szantażowałem prostacko i po nadleśniczych nie jeździłem. Więc? — Podetknął jej pod nos

opakowanie z testem.



Strzeliła go w twarz i wypadła z apteki, płacząc i zło- rzecząc.

Wyjechała następnego dnia, mszcząc się donosem i na Patryka, i na nadleśniczego, i na Bogu ducha winnego Piotrka nawet. Wszyscy trzej mieli potem nieprzyjemności, lecz tamci znieśli to ze stoickim spokojem — ot, klęska żywiołowa, była, minęła — ale Patryk... Patryk nie mógł sobie Martyny darować, bo też żadna z przelotnych miłostek i zauroczeń nie zrobiła zeń takiego idioty. Tłumaczył mu nadleśniczy, że kobiety już są takie wredne: jak dajesz, to dobre, jak się postawisz, to do gardła skaczą, z torbami puszcza. Tłumaczyli przyjaciele: „Masz szczęście chłopie, że cię o molestowanie nie oskar- żyła!”. Nawet biedny Piotrek, któremu też się dostało, pocieszał: „Nic to, szefie, dobrze, że mamy furiatkę z głowy”. Lecz Patryk czuł się jak idiota, bo choć zniena- widził piękną i durną Martynę, to na każde jej wspomnie- nie robiło mu się ciasno w spodniach. A na to żadne tłumaczenia nie pomagały. Tylko wódka. Patryk zrobił więc to, co każdy normalny mężczyzna zrobiłby na jego miejscu: zaczął pić.

Uśmiechnął się do siebie na te niewesołe wspomnienia, wstał od biurka, przeciągnął się, aż zmęczone brakiem ruchu mięśnie zaprotestowały. Przyłożył odruchowo dłoń do blizny na obojczyku. Zamyślony spojrzał w stronę majaczącej za łąkami ściany lasu. Ciemnej, nieruchomej, przyzywającej i odpychającej zarazem. Mało brakowało, a ten właśnie las, który Patryk kochał bardziej niż cokol- wiek na świecie (a już na pewno bardziej niż zdradliwą Martynę), stałby się jego grobem...

Do dziś miał w pamięci wieczór, gdy — czuwając z kumplem na ambonie — zalewali smutki czystą z sokiem porzeczkowym. Patryk „świętował” stratę sympatii, Robuś to samo, tyle że swoją sympatię zdążył poślubić. Ucztowali więc, mniejsza o buszujące w ozimie dziki, zagryzając palący trunek chlebem ze smalcem i ogórecz- kiem, gdy Robert podniósł się, wymierzył i strzelił. — Yba trawiłem — wybełkotał do Patryka. — Ide sprawdzić.

— Ja pójdę — zaofiarował się nieco trzeźwiejszy Patryk. — Tylko mnie nie ustrzel.

Powiedział to w złą godzinę.

Zszedł po drabinie, ruszył przez pole i zniknął w mroku. Strzał padł, gdy wracał z nieudanego „polowania”. Krzyknął z bólu, chwytając się za bark. Koszula momentalnie nasiąkała krwią. Po chwili dopadł go nagle trzeźwy Robert. — Trzymaj się, bracie — szeptał, wybierając drżącymi rękami numer pogotowia, ale Patryk wytrącił mu telefon z ręki, mdlejąc niemal w następnej chwili z bólu. — Wsadzą cię — wyszeptał. — Zawieź mnie do domu. Wcisnę im jakiś kit.

Pamiętał do dziś bladą jak śmierć twarz przyjaciela. Krew na rękach jego i własnych. Ból odbierający zmysły. I tę pełną determinacji pewność, że to był wypadek, że on — Patryk — sam sobie zasłużył na kulę. Że to on Roberta mógł po pijaku postrzelić, więc jest Robertowi winien alibi. Tej nocy właśnie, gdy samotnie leżał w szpitalnym łóżku, już po tym, jak klnący go niewybrednie lekarz zszywał ranę, przyrzekł sobie, że: po pierwsze, kończy z polowaniem, po drugie, kończy z sekscesami, po trzecie i najważniejsze, kończy z pić. Na drugi dzień po wypisie wychylił ostatnią flaszkę. Nieprzytomnego znalazł w oborze właśnie Robert. I to on docucił przyjaciela, by ranozawieźć go wprost na odwyk. Jeszcze teraz na samo wspomnienie oddziału pełnego alkoholików telepanych delirką i narkomanów na głodzie Patryk dostawał gęsiej skórki, choć sam pewnie wyglądał nie lepiej, gdy po raz pierwszy stanął w drzwiach od- działu, które po chwili zamknęły się za nim na długie tygodnie. Właśnie to było najlepszą motywacją, by wy- trwać: pozbawienie wolności i to straszne miejsce, które po paru pierwszych dniach mógł swobodnie nazwać dru- gim domem. Domem wariatów. Ku swemu zdumieniu, po początkowym szoku, skonstatował, że zamknięci tu są tak samo potłuczeni jak on — owszem, nałogowcy, którzy zrujnowali nie tylko swoje życie, ale i życie swych naj- bliższych, niektórzy wyciągnięci z samego dna, ale też nie gorsi od niego: wykształceni, odcytani, niebiedni, w sile wieku. Choroba, podstępnie jak jadowity wąż, wślizgnęła się do uporządkowanego życia tych mężczyzn, zostawiła po sobie zgliszczą, a na koniec sprawiła, że musieli zmienić lokum z

rodzinnego domu na oddział leczenia uzależnień.

I tak jak Patryk byli zdecydowani: nigdy więcej. Gdy po dwóch miesiącach żegnał się z towarzyszami niedoli, wiedział, że już nigdy nie przekroczy progu tego przybytku— ta nauczka wystarczyła na resztę życia. Był początek wakacji. Patryk miał zamiar rzucić się w wir pracy i domowych obowiązków, by zapomnieć o piekle, przez które przeszedł, ale pani doktor doradziła mu odpoczynek.

— Zachetać się zawsze zdążysz, moje dziecko — tak rzekła do niewiele młodszego Patryka. — Teraz masz czas i okazję, by odpocząć od życia. Być może ostatnią, bo kochliwy jesteś i tylko patrzeć, jak przygruchasz przyszlą panią Jeziorowską. Młoda żona, potem jedno dziecko, drugie, i z nostalgią wspomnisz ostatnie kawaler- skie lato w Zmyślonej...

— Pani Aniu, jeśli pani ma na myśli siebie, sugerując rychły ślub, to jestem za, a nawet przeciw. Pał licha wakacje od życia. Żona, dzieciaki, stopy pieluch suszą- cych się w ogrodzie, i te małe słoiczki, wszędzie, wszę- dzie! Co sobie będę żałował!

Już przy rychłym ślubie zaczęła chichotać, przy słoicz- kach śmiała się serdecznie.

— Mam własne słoiczki, o które mój Tomek się potyka. A Karolek produkuje tyle pieluch, że nie nadażam z dostawą. Tak więc dziękuję za te z serca płynące oświadczyzny, ale może w innym wcieleniu.

— Serce mi pani łamie! — Chwycił się teatralnym gestem za pierś i osunął na oparcie krzesła.

— Ale co racja, to racja — spoważniał. — Zmęczony tym wszyst- kim jestem. Wakacje, to wakacje.

I tak zamknął dom przed letnikami.

Czarcia trójka — Adaś, Lusia, Dominika — spadła nań jak piorun z jasnego nieba. Ale w przeciwieństwie do pioruna nie było szans na uziemienie gości. Burza była dopiero przed nim.

— Cholera — mruknął, przeciągając dłonią po twarzy. Pepsi natychmiast podeszła do niego, położyła mu głowę na kolanach i spojrzała z miłością w oczy. — Ty jesteś Pepsi, nie cholera.

— Uśmiechnął się, gładząc sukę po głowie. — Coś mi się zdaje, że tym razem będziemy mieć same kłopoty...

Wstał i poszedł na górę, by zajrzeć do dzieci, z nadzieją, iż Adasiowi nie odbiło i jednak nie będzie tej nocy uciekał, i... serce zamarło mu w pół uderzenia, gdy ujrzał puste łóżko dzieciaka. Nie pukając, wpadł do pokoju Dominiki, by budzić ją, wzywać policję, najlepiej z psami tropiącymi...! Wpadł, zatrzymał się jak wryty i wypadł tak samo nagle, zawstydzony swoim wtargnięciem. Odwrócił się przez ramię, nie mogąc oderwać wzroku od łapiącego za serce obrazka: na wąskim łóżku gnieździli się we trój- kę — dziewczyna obejmowała przez sen wtulonego w nią chłopca, a do jej pleców przylgnęła Lusia, ssąc kciuk. Patryk przełknął głośno, bo gardło ścisnęło mu się niczym pięść, po czym zamknął cicho drzwi.

Wstał skoro świt, nieco nieprzytomny — przyjazd gości zawsze wytrącał go z wypracowanego przez lata rytmu — i w towarzystwie wiecznie radosnej Pepsi doczłapał do obory. Podłączył do dojarek krowy, które patrzyły na swego właściciela ze zdziwieniem w wielkich oczach: co też on, na Boga, wyrabia o tej niehumanitarnej porze?! W od- powiedzi na to całkiem słuszne pytanie przysnął w pustym boksie, w którym składował siano, czekając na koniec udoju. Złał mleko do chłodziarki i wypuścił zwierzęta, wciąż zde gustowane — „dałbyś nam pospać, człowieku!” — na pastwisko.

Przeszedł do stajni, by przeprowadzić na dalszą łąkę równie zaspane konie. Gdy skończył oporządzać świnię, słońce wskazywało na siódmą rano. Zwykle zjadłby o tej porze śniadanie i ruszył do pracy lub zajął się gospodar- stwem, dziś jednak tłuczeniem się po kuchni nie chciał budzić gości. Poszedł więc na obchód. Jak zawsze z nieodłącznym psem.

Wrócił koło dziesiątej, czując się tak, jakby miał kaca. Nie dość, że był wściekle głodny, to jeszcze słońce świe- całe prosto w czerwone z niewyspania oczy sprawiało Patrykowi niemal

fizyczny ból. Marzył o szybkiej kąpieli i krótkiej drzemce, ale całkiem apetyczny widok rozneglizowanej dziewczyny sprawił, że zapomniał i o głodzie, i o zmęczeniu...

Dominika wybrała sobie na opalanie dosyć dziwne miejsce: mając dookoła łąki, sad i ogród, rozłożyła leżak pośrodku zakurzonego podwórka. Podchodząc do dziewczyny, obrzucił wzrokiem konesera zgrabne opalone na brąz nogi, szczupłą talię i pełne piersi. Podniosła nań wzrok znad książki. Przechylił głowę: „Diuna” Herberta. Dosyć dziwna lektura jak na takie dziewczę.

— Cześć. Gdzie dzieciaki?

Cisza wobejściu wydała się Patrykowi, który często gościł rodziny z dziećmi, podejrzana.

— Lusia w chlewie, Adaś kombinuje — poinformowała go, wracając do książki.

— Chyba nie weszła do tej lochy?! — wykrzyknął przerażony. — Ona potrafi być niebezpieczna!

— Kto? Lusia? — Dziewczyna parsknęła śmiechem, ale zaraz spoważniała. — Gdyby weszła do lochy, nie opalałabym się tutaj tak spokojnie. Odsypia.

— Kto? Locha?

— Nie. Lusia. — Nika spojrzała na mężczyznę jak na półgłówna. — Nie wyspała się w nocy i odsypia. — Ale ten już nie słuchał, pędząc przez podwórko do chlewni. Wpadł i stanął jak wryty.

Kojec, który zajmowała locha o imieniu Marilyn Monroe, przedzielony był na dwie części metalowymi prętami, tak by prosięta, bez obawy o przygniecenie, mogły spać po drugiej stronie, w głębokiej słomie, pod grzejącą je od góry żarówką. Zagrzebana w tej właśnie słomie pod tą właśnie żarówką, obejmując przytulone do niej prosiaczki, spała dziewczynka, ssąc kciuk. Był to widok tak niesamowity i rozczulający, że Patrykowi, który uważał się za twardego faceta, łzy stanęły w oczach. Otarł je pospiesznie, przypominając sobie drugą część odpowiedzi na pytanie o dzieci. Wypadł na zewnątrz. — Gdzie Adaś i co kombinuje? Nika podniosła nań oczy po raz drugi.

— W tym największym pokoju. Stoi pod gablotą ze sztucerem i kombinuje, jak się do niego dostać. — Ze... ze sztucerem?! I ty mówisz o tym tak spokojnie?! — Tak właśnie: spokojnie. Dopóki kombinuje, ma zajęcie. Gdybym zobaczyła go z bronią w ręku, nogi bym mu z dupy powyrywała, o czym Adaś doskonale wie. — Odwróciła kartkę, pogrążając się w lekturze.

— Boże, dziewczyno, ty to masz nerwy — rzucił, mijając ją biegiem.

Wzruszyła ramionami, a jego nagle olśniło: „opalała się” dokładnie pośrodku, między kombinującym Adasiem — słysząc, co się dzieje w domu — i śpiącą Lusią — słysząc, co się dzieje w chlewni. Obejrzał się na Nikę, pokręcił głową z szacunkiem. Nawet on by tak nie wykombinował. — Cześć, mały. — Potargał chłopca po włosach, stając za nim. Spodziewał się, że Adaś zareaguje czymś w rodzaju: „nie jestem mały”, ale nie. Wpatrzony w zawieszony wysoko pod sufitem piękny sztucer myśliwski i zanurzony we własnych mrocznych myślach, dzieciak nie odpowiedział.

— Nic z tego, facet. — Patryk spojrzał na broń. — Jest zamknięty na klucz.

— Wiem — odmruknął Adaś. — Próbowałem otworzyć. Mężczyznę zatkało.

— Zołza Nika tak mi przyłała, że spadłem ze stołu. — I dobrze! — krzyknął Patryk, nagle odzyskując głos. — Ale co dobrze? Że wiem, że spadłem, czy że mi przyłała? — Chłopiec spojrzał nań ponuro.

— To broń. Prawdziwa! — odrzekł groźnie zapytany. — Jeżeli zobaczę, że po nią sięgasz...

— To też wiem: nogi z dupy mi powyrywasz. To nie moje słowa, tylko Dominiczki! To jej jęzor przydałoby się wyszorować — uprzedził potencjalny protest opiekuna. — Tak tylko stoję i wzrok syć... — Utkwił ów nienasycony wzrok z powrotem w strzelbie, a Patryk z trudem pohamował śmiech. — Po co ci on, wujku Patryku? Na bandytów?

— Jestem leśniczym — przypomniał mu tamten. — Czasem muszę odstrzelić chore zwierzę.  
— Ale nie wiszą tu żadne wypchane łby. — Adaś się rozejrzył. I tutaj ciemną boazerię zdobiły tylko obrazy i fotografie.

— Nie gustuję w cmentarzach na ścianach — skrzywił się lekko Patryk. — W zabijaniu też nie.  
— Trochę szkoda. — Chłopiec westchnął. — Zabrałbyś mnie kiedyś na łowy. Z drugiej strony ja też nie gustuję w zabijaniu.

Patryk wybuchnął głośnym śmiechem. Nie mógł się powstrzymać.

— Ale broń mi kiedyś pokażesz, wujku Patryku? Żebym nie musiał kombinować?

— Pokażę. Chodź, przygotujemy kobietom śniadanie... Biedna Lusia, ze źdźbłami słomy w kasztanowych włoskach, kiwała się przy stole. Zasypiała na siedząco, mimo to dzielnie usiłowała coś przełknąć i nie paść twarzą w talerz.

— Jakie one słodkie — mruknęła, nadgryzając parówkę. — Parówki? Słodkie? — zdziwił się Adaś, z ciekawości sięgając po jedną.

— Prosiaczki, głupku — mruknęła Lusia.

— Dominika, jak ona będzie mówiła do mnie „głupku”, to ja będę mówił do niej „idiotko” — uprzedził chłopiec. — Czy moglibyście przynajmniej na początku pokazać się z lepszej strony?

— westchnęła dziewczyna. — Pokazuję się z najlepszej, pod warunkiem że ona nie mówi do mnie „głupku” — odparł Adaś, wskazując widelcem siostrę. — Ej, coś z nią nie tak — zauważył. Lusia pozieleniała nagle na twarzy. Nika złapała ją wpół i skoczyła do zlewu. Zdażyły w ostatniej chwili. Gdy przypadł do nich Patryk, dziecko łało się przez ręce. — Ona nie jest śpiąca! Ona ma gorączkę! — wykrzyknął przerażony.

— Widzę. I to sporą — skwitowała dziewczyna, siłąc się na spokój. Wiedziała, że w takich przypadkach panika nic nie da. — Jest tu jakiś lekarz? Nie. Myślę, że trzeba wezwać pogotowie, znów zaczyna... — Przechyliła głowę dziecka do przodu.

— To te kluski samolotowe — zawyrokował ponuro Adaś. — Stracę przez nie jedyną siostrę...  
Dalszych jego wywodów Patryk już nie słyszał, dzwoniąc po karetkę.

## ROZDZIAŁ II

Zostali na gospodarstwie sami. We dwóch.

— Nawet kłócić się nie będę miał z kim... — Adaś potoczył wzrokiem zmęczonego życiem człowieka po pustej kuchni. — I wkurzać nie będę miał kogo... — Mnie zaraz wkurzysz, jeśli się nie zamkniesz i nie dokończysz śniadania — warknął Patryk.

— Co po śniadaniu? Jakie mam terytorium?

— Terytorium? — Mężczyzna podniósł na chłopca pytający wzrok.

— No, terytorium. Nisia zawsze wyznaczała nam miejsca, gdzie mogliśmy przebywać. I zawsze wiedziała, gdzie jesteśmy. W przeciwnym razie musiałyby się rozdwoić, żeby nas upilnować — tak mówiła.

Bardzo słusznie, pomyślał Patryk, a na głos odparł: — Na razie nie ma żadnego terytorium. Będiesz przy mnie. Gdybym musiał cię zostawić, wyznaczę granice, okej?

— Okej. Mogę pooglądać te albumy? — Wskazał na bajecznie kolorowe książki o zwierzętach, stojące za szybą biblioteczki.

Patryk uśmiechnął się z niedowierzaniem: zamiast te- lewizji albumy? A potem usiłował wypełniać kwity na drewno. Co chwila jednak nasłuchiwał, gdzie jest chłó- piec. Gdy gościł letników, pilnowanie dzieci było obo- wiązką ich rodziców, teraz jednak odpowiedzialność za Adasia, który lubił „kombinować”, spadała na niego. Wreszcie, gdy podejrzana cisza trwała za długo, zszedł na dół.

Tym razem dzieciak nie wpatrywał się głodnym wzrokiem w sztucer, nie przywiązywał rozkochanej w nim Pepsi puszek do ogona, nie uciekł do lasu, by przysporzyć opiekunowi siwych włosów, Adaś... pisał. Gryzmolił coś w zeszycie, który widocznie przywiózł ze sobą.

Patryk pochylił się nad ramieniem chłopca. *Kochana Mamusku...*

Adaś pisał list do matki. Poczawszy czując obecność za plecami, wzdrgnął się, zatrzasnął zeszyt i otarł gwałtownym ruchem oczy pełne łez.

— Nie wolno się podkradać i czytać cudzych listów!— rzucił ze złością, nie patrząc na mężczyznę. Patryk zawstydział się w pierwszym momencie, ale w następnym już drażnił dzieciaka:

— Listu nie czytałem, a kuchnia jest moja. Mogę nawet na rękach chodzić, nie mówiąc o skradaniu się. — Przykucnął, by mieć twarz Adasia na wysokości oczu. — Płakać z tęsknoty za mamą to nie wstyd. Ja mało oczu nie wyplakałem...

— Nnaprawdę? — chłopiec zająknął się, dusząc szloch. — Co się stało z twoją mamą? Uciekła?

— Umarła. Miałem tyle lat co Lusia, gdy nagle zachorowała i odeszła. Uciekł ojciec.

— Biedaku...— Chłopiec objął mężczyznę, gładząc go po włosach, choć to raczej Patryk powinien jego pocieszać. — Nasi prawdziwi rodzice przynajmniej nas nie zostawili...— rzekł cicho, by za chwilę krzyknąć ze złością: — Tylko mama Hania! Ona nie musiała nas oddawać!

— Zachorowała — zauważył Patryk.

— Tak— prychnął chłopiec — na wódkę.

Patryk umilkł. Nie wiedział, co odpowiedzieć temu podwójnie zranionemu przez los dziecku.

— Ale i tak ją kocham... — głos się Adasiowi załamał. Otworzył zeszyt i podetknął go Patrykowi pod nos. Kartka w kartkę zapisany był listami, zaczynającymi się tak samo:

*Kochana Mamusku...*

I tak samo się kończącymi:

*Wróc do nas. Tęsknię najbardziej na świecie...*

— Mama nie wróci, wiesz, wujku— rzekł najsmutniejszym głosem, jaki Patryk w swoim życiu słyszał. — Co ty mówisz, dzieciaku!— zdenerwował się. — Od tego się nie umiera! Wróci za miesiąc, może dwa... — Nawet jeśli wyzdrowieje, już nie będzie taka, jak była. — Adaś pokręcił głową. — Taka fajna i wesoła. Ty też byś nie był, gdyby cię własny mąż z domu wyrzucił. — Masz rację — przytaknął poważnie Patryk. — Gdyby mnie własny MAŻ z domu wyrzucił, nie byłbym szczęśliwy.

Adaś wpatrywał się w niego przez chwilę, wreszcie wybuchnął śmiechem. Mężczyzna zawtórował mu z ulgą. Mknęli szosą prowadzącą do Wielunia. Adasia wyraźnie coś gryzło, ale Patryk nie naciskał, czekając, aż chłopiec sam zacznie mówić. I zaczął:

— Wujku, ty już wiesz, co to jest seks?

Patryk z wrażenia mało do rowu nie wjechał. Każdego pytania się spodziewał, ale nie takiego! Chwilę milczał, odzyskując panowanie nad samochodem i sobą. Najchętniej roześmiałby się w głos, ale dzieciak pytał na poważnie i tak należało odpowiedzieć:

— Tak. Już wiem.

— To dobrze— odetchnął Adaś — bo być może będę o nim mówił. To nie jest wulgaryzm — zaznaczył. Patryk wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. — Muszę się komuś zwierzyć, a nie mogę nawet Dominice, bo ona nie jest rodziną. Lusi też nie mogę, bo jest za młoda na te sprawy, pozostałaś tylko ty. Ty jesteś rodziną, chociaż adoptowaną, prawda?

— Tak. Stanowczo jestem rodziną. — Patryk patrzył na drogę, bo gdyby spojrzął choć raz na chłopca, wybuchnąłby śmiechem. Już się bał, że dojdzie do jakichś drastycznych zwierzeń typu „spadanie ze schodów po pijanemu”, a tu chodziło o seks! W wieku dziesięciu lat! — Myślę, że tu chodzi o seks — zaczął Adaś. Samochód znów lekko zatańczył na drodze.— Na początku, gdy mama z tatą nas odnaleźli w domu dziecka... tak mówili, wiesz: „odnaleźliśmy was!”, nie „adoptowaliśmy”, jak jakiegoś psa, tylko „odnaleźliśmy”, tak jakby nas zgubili, szukali i znaleźli, jakbyśmy z Lusią byli ich dziećmi od zawsze, rozumiesz?

Patryk nagle spowaźniał. To nie będzie rozmowa o nie- szczęśliwej miłości Adasia...

— Rozumiem— odparł cicho.

— Więc na początku byliśmy bardzo szczęśliwi. W domu dziecka nie było źle...

To masz farta, dzieciaku, pomyślał Patryk z goryczą, wracając pamięcią do wspomnień pogrzebanych tak głę- boko, że już nie bolały. Do roku w sierocińcu, tylko roku, który byłby rokiem piekła, gdyby nie On — Wielki Nieobecny. Ten, który uratował Patryka, a którego Patryk w zamian zdradził... Zaciśnął ręce na kierownicy tak silnie, aż pobieleły knykcie palców. Zdradził i uciekł: od Niego i wspomnień, które przywoływał. I ucieka tak do dziś. Dzieciak coś mówi...

— ...bardzo nas oboje kochali, ale kiedyś przestali chyba kochać siebie.

Tak, opowiada o Hance i Gabrielu. Na wspomnienie niedawnej rozmowy o Gabrielu aż zgrzytnął zębami. Czy ten człowiek kiedykolwiek kogoś kochał oprócz siebie? Swoją żonę? Swoje dzieci?

— Zaczęły się awantury. Tylko nie mów tego nikomu, wujku Patryku.— Adaś popatrzył na mężczyznę błagalnie.

— Nie powiem. Przrzekam.

Zupełnie, jakby cała Polska o nich nie wiedziała, po- myślał, przypominając sobie tytuły brukowców. — O nią. O jakąś kobietę.

No jasne, a o kogóż by innego! To było pewne, że wcześniej czy później Gabrys puści Hanke kantem. — Tata wyjeżdżał jej szukać... Szukać?!

— „Znow jej szukałeś?!” — tak krzyczała mama, gdyśmy z Lusią siedzieli pod łóżkiem. Myśleliśmy, że to dobrze. Bo dopóki jej nie znalazł, nas nie zostawi. To logiczne, prawda, wujku?

Patryk nagle zaczął słuchać uważniej. Więc Hance nie chodziło o zdradę, a o „szukanie”. Dziwne.

— I kiedyś... — Mały umilkł, walcząc przez chwilę ze łzami. — To całe szukanie się skończyło...

— Znalazł ją?

— Nie. Nie znalazł. Przestał szukać.

— To chyba dobrze?— zapytał ostrożnie Patryk. — Nie. Zrobiło się jeszcze gorzej.

— Jeszcze gorzej?!

— Mama zaczęła... wiesz co... upijać się, a tata — chłopiec przetknął głośno — znienawidził Lusię. Samochód zahamował z piskiem opon i zjechał na pobocze. Patryk patrzył na chłopca przerażony. — Lusię?! Za co?!

— Oj, wszystko jedno za co! Znienawidził ją i nieważne było za co.

— Ale...— Patrykowi szczęki zaciskały się tak, że ledwo mógł mówić. — Jak można nienawidzić Lusi?! — Myślę, że Lusia jest podobna do tamtej kobiety, tej zaginionej. Tata jej nie znalazł i... No wiesz... Przestał kochać Lusię. Kiedyś mówił do niej „córka”, „słonecz- ko” albo „moja mała hrabianeczka”, przytulał, całował na dobranoc, czytał smarkuli bajki i takie tam... Wszystko się skończyło, gdy przestał szukać. Kocham tatę, wiesz, wuj- ku — Adaś podniósł na Patryka oczy tak smutne, że serce się krajało — ale nie możemy do niego wrócić, dopóki z powrotem nie pokocha Lusi. A nie pokocha, dopóki nie znajdzie tamtej kobiety. Musimy mu więc pomóc. — Dziecko, co ty mówisz?! Twój tata ma kochać waszą mamę i was, a nie obcą kobietę!

— I tu dochodzimy do seksu. Ty jesteś doświadczony? — Jestem!— odkrzyknął wściekły. Wściekły z powodu własnej bezsilności.

— Czy można kochać dwie kobiety naraz? — padło pytanie z ust dziesięciolatka, który cierpliwie musiał poczekać na odpowiedź, bo mężczyzna oddychał głęboko, żeby się

uspokoić. Wszystko to, o czym Adaś przed chwilą opowiadał, było zbyt ważne i zbyt bolesne, by dzieciaka zbyć.

— Nie wiem. Zawsze kochałem jedną. Wiem tylko, że kochać inną kobietę, mając żonę, to zdrada.

— A gdyby tej drugiej nie kochać, tylko się z nią seksować?

— To tym większa zdrada!

Adaś spojrział na niego z urazą, a Patryk ponownie poczuł bezradność i wstyd, że nie potrafi nad sobą panować tak jak to dziecko.

— A gdyby mama się na to zgodziła? Mężczyzna opadł na oparcie siedzenia, całkiem pokonany.

— Wujku, ja muszę to wiedzieć, nim znajdziemy tamtą drugą. Jeśli mama przyjmie ją do rodziny, czy wszystko będzie dobrze? Tata znów pokocha Lusię? Będziemy mogli wrócić do Zaborowa? Mama przestanie pić? Nie będą się już kłócić? Wszystko zaczęło się od niej, więc gdy ta kobieta w końcu się znajdzie... — zawiesił głos, patrząc na mężczyznę z nadzieją, ale Patryk nieobecny wzrok utkwiał we wstążce szosy.

— Kiedy zamierzacie wyruszyć na poszukiwania? — spytał nagle, a dzieciak dał się podejść.

— Gdy tylko pozbędziemy się Dominiki. Mamy już wszystko przy goto...

Patryk przeniósł na chłopca spojrzenie, które było teraz zimne jak lód. Mały zrozumiał nagle swój błąd i... chciał coś rzec, skłamać, wymyślić jakąś bajeczkę, ale spuścił tylko głowę, a ramiona opadły mu w dół jak człowiekowi pokonanemu przez własną głupotę.

— Adam, jak uciekniecie z mojego domu... — Patryk nie musiał kończyć.

Ruszyli. Chłopiec patrzył w okno. Patryk był tak wzburzony, że najchętniej stanąłby gdzieś na poboczu i uderzał pięścią w drzewo dotąd, aż rozładowałby furię. „Jedziesz jej szukać!”. „Znienawidził Lusię, bo była podobna do tamtej kobiety”. „Wszystko się nagle skończyło”. Myśl, Patryku Jeziorowski, myśl! To ma jakiś sens, układa się jak puzzle, tylko połowy brakuje. Kto jest brakującym ogniwem? Kto stanął między Hanką a Gabrielem. Może... Dominika? Nie. Hanka w życiu nie oddałaby dzieci ko- chance męża. Zresztą Gabriel za daleko szukać by nie musiał, a jeździł po Polsce i szukał. To nie przez nianię wszystko się skończyło. Więc przez kogo?! Musiał pytać dalej, ale przecież nie tego dzieciaka. I nie swoją siostrę, która na pewno wiedziała, kim jest ta kobieta.

Wiedział jedno: musi zapewnić sobie i dzieciom poczucie bezpieczeństwa.

— Adam, czy możesz mi coś obiecać? Mały oderwał wzrok od szyby.

— Nie wiem, wujku. Najpierw muszę wiedzieć co. Uczciwe postawienie sprawy.

— Poszukamy jej razem, dobra? Gdy odejdzie niania, nie uciekajcie, bo zawału dostanę. Wyruszymy na po- szukiwania razem: ja, Lusie i ty.

— Naprawdę? — Oczy chłopca rozbłysły, jakby dostał nieoczekiwany podarunek od losu.— Zrobisz to dla nas, wujku?

— Zrobię.

A jak znajdę tę kobietę, skręcę jej kark. Jej albo Gabrielowi.

Wjechali na parking pod szpitalem.

— Jak się czujesz, dziecinko? — Patryk ze ściśniętym gardłem pochylił się nad dziewczynką. Jej buzia, bledsza od pościeli, na której leżała, zdawała się jeszcze drob- niejsza. Włoski na tle tej bieli płonęły ogniem. Lusie otworzyła oczy i próbowała się uśmiechnąć.

— Wymiotam jak kot — szepnęła, a siedząca obok Dominika pogładziła ją po rączce, w którą wbita była kropiółka.

— Luśka, nie umieraj. — Adaś patrzył przerażonym wzrokiem na niemal przezroczystą twarzyczkę dzie- czynki. — Mówię do ciebie „idiotko”, ale to z miłości. Jak chcesz, nie będę...

— Mów, mów — odparła mała zbolalym głosem — bo nie będę mogła nazywać cię „głupkiem”.

A to też z miłości...

— No dobrze.— Adaś westchnął, jakby Lusia prosiła go o rzecz niewykonalną. — A ty musisz szybko się odkroplówkować, bo wiesz... — Pochylił się i wyszeptał coś małej do ucha. Zielone oczy rozbliły.

— Naprawdę?! — Dziewczynka utkwiała w twarzy Patryka spojrzenie pełne nadziei i niedowierzania. Przytaknął z powagą, domyślając się, jakąż to radosną nowinę przyniósł siostrze chłopiec.

— Tylko masz zdrowieć — przykazał Adaś. — To nie może czekać.

— Będę — zapewniła gorąco, a Patryka znów ścisnęło za gardło. Jak bardzo musieli czuć się nieszczęśliwi teraz, u obcego człowieka, i wtedy, przez cały ten czas, gdy ich ojciec... szukał.

— Właściwie już jestem zdroooo... Nika jednym sprawnym ruchem pochyliła głowę małej nad miską, a potem poszła wymyć naczynie.

— Jedyny problem, to pozbyć się jej — zaszeptał konspiracyjnie Adaś. — Ona nigdy nam nie pozwoli. — Spojrzał złym wzrokiem na drzwi łazienki, w których zniknęła dziewczyna.

To akurat żaden problem, pomyślał Patryk. Problem będę miał później...

— Zdrowiej, skarbie — rzekł do Lusi. — Bo niedługo nowa locha będzie miała świnki Babe. Trzeba ją jakoś ochrzcić.

— Och, już ja coś wymyślę. Mam tu sporo czasu na myślenie... — Lusie poklepała mężczyźną uspokajająco po ręce. Pocałował ją w czoło i ruszył do drzwi. Adaś zatrzymał się, niezdecydowany, wreszcie wrócił do siostry.

— Mogę cię przytulić — oznajmił. — Wiesz, w razie gdybyś umarła.

— Dobrze — szepnęła Lusie.

Przyłgnęli do siebie na parę chwil. Wreszcie chłopiec wyplątał się z objęć dziewczynki, pogładził ją po włosach.

— Oż! te oczy, nadpotliwe jakieś... — wymamrotał, ocierając je rękawem, po czym klepnął poduszkę, aż Lusi głowa podskoczyła. — Zdrowiej, mała, i wracamy do domu.

Samochód ciął reflektorami mrok. Gabriel prowadził jak zwykle szybko, za szybko. Tylko raz zwolnił. W miejscu, gdzie międzymiastowa rozdzielała się na drogę do Wielunia i dalej, do Zmyślonej albo na Zamość — za dwie, może trzy godziny byłby w Poczekajce.

Rzucił przekleństwem, skręcił ku Zmyślonej i docisnął gaz. Dla niego nie było powrotu do przeszłości. Tego był pewien. Próbował.

— Znów u niej byłeś! — ciskała się Hanka za każdym razem, gdy wracał z tygodniowej wólczyki.

Na początku próbował się tłumaczyć. Że konie, że przemyt, że obowiązki służbowe. Potem wciskał żonie kit o balangach w męskim gronie. Ale owe balangi Hanka wybaczała z pobłażliwym uśmiechem (dopóki telefon od Gabrielowego przyjaciela, z którym powinien właśnie balangować, go nie zdekonspirował), natomiast wypraw do Poczekajki czy raczej do pewnej mieszkanki tej uroczej wioski darować nie mogła. I nie chciała. I powoli zmieniała się w taką megierę, jaką swego czasu stała się Patrycja: zazdrosną, awanturną, z wiecznym syndromem PMS. Jednym słowem — nieznośną.

Jednakże tym razem to on był na przegranej pozycji. To on nie miał dokąd uciec. Nie mógł też wygryźć Hanki z domu, jak uczynił to z Patrycją. Jego żona nie była pierwszą naiwną i dobrze się w intercyzie zabezpieczyła...

Gabriel zmrużył wściekle oczy, wspominając wszelkie żądania, jakim uległ, by tylko zdobyć piękną Hannę Jeziorowską. By dopieprzyć tą zdobyczą znieawidzone- mu rywalowi. Który i tak wygrał.

Samochód zatańczył na pustej szosie.

Gabriel zacisnął szczęki.



Wygrwać nauczył się w dzieciństwie. Nie pozostawiono mu zresztą wyboru. Był drugim synem hrabiostwa Romockich, spółdzonym późno, gdy oboje mieli ponad czterdzieści lat, na życzenie przedstawicieli szlachty polskiej, dbających, by owa szlachta nie wymarła. Pani Maria i pan Jan Romoccy uczynili zadość „prośbom” swych utytułowanych krewnych: księżnej Wilkomirskiej i księcia Czartoryskiego, płodząc drugiego syna. Gabriel nie był im potrzebny do niczego innego, jak tylko do przedłużenia rodu. Był za to potrzebny starszemu o szesnaście lat bratu, który na bezbronnym dziecku zaczął ćwiczyć się w sadyzmie, lecz czynił to tak, by nikt na owym go nie przyłapał. Oczywiście nie było mowy o fizycznym znęcaniu się, przypalaniu papierosem, łamaniu rąk czy nóg, nie. Znęcać można się na różne sposoby, czasem słowo rani bardziej niż pięść. Gabriel był więc wychowywany w szykanach od najmłodszych lat. Twardą pięść miał dla niego ojciec hołdujący prze- starzałym, ale jak powtarzał, skutecznym metodom wy- chowawczym.

Gabriel karany był za wszystko. Za wypowiedziane bez pozwolenia słowo przy posiłku, za niższą niż piątka ocenę w szkole, za to, że pobił go kolega — to nic, że starszy i silniejszy. Za spóźnienie na kolację — i nie było usprawiedliwienia, że autobus miał stłuczkę, a dzieciak wrócił ze szpitala piechotą, ledwo widząc drogę spod bandaża spowijającego pokaleczoną głowę. Dla Gabriela nie było usprawiedliwień. Miał być perfekcyjnym wyrobnikiem, tak jak na perfekcyjnego dziedzica był wychowywany jego starszy brat Stanisław.

Pierwsze, czego młodszy Romocki nauczył się dość szybko, to nie płakać. Na widok jego łez ojciec dostawał furii. Itłukł dzieciaka dotąd, aż się zmęczył. Tym, co miał pod ręką. Gabriel więc nauczył się cierpieć w milczeniu. I nienawidzić bez słów.

Matka. Kobieta, która powinna stać za synem niczym niewzruszony mur, bronić dziecka przed całym światem, zawodziła od pierwszych dni. Oddawszy synka niańce, interesowała się nim tylko wtedy, gdy niania przychodziła na skargę. A to Gabrielelek pociągnął ją za włosy, a to biegał z krzykiem, a to nie chciał zjeść całego obiadu, a to... Niańce widać przynosiło równą przyje-

mność dręczenie dziecka jak jego ojcu i bratu. Matka zaś, zamiast wyrzucić panią Walę na zbitą twarz i choć raz wziąć stronę Gabriela... karała go w bardzo wyrafinowany sposób.

— Gabrielu, proszę stanąć w kącie z rękami w górze.— Tych słów chłopiec bał się i nienawidził bardziej niż krzyków i razów ojca.

Niby nic, wielka mi kara: stanie w kącie z rączkami w górze. Tyle że po pierwszej godzinie ręce omdlewały, po drugiej rwały bólem nie do zniesienia, po trzeciej mdlał chłopiec. Ale nie zapłakał ani razu. Nikt nie usłyszał od niego słowa skargi. Tylko pogryzione do krwi wargi świadczyły o koszmarności tej tortury.

Szybko nauczył się unikać kary. Bawił się samotnie. Grzeczny i cichy. Klocki, kolejka, książeczki. Jadł szybko, połykał wszystko, co podstawiono mu pod buzię, aż starszy brat drwił z niego, że łyka jak kura albo jak gęś. Gdy skończył siedem lat i za pierwszą czwórkę z plusem ojciec mało nie złamał mu ręki, zaczął się uczyć wręcz maniacko. Nie bywał u kolegów, nie gościł ich w Zaborowskim dworze, nie grał w nogę, nie bawił się w chowanego— uczył się. Czym oczywiście nie zyskał sympatii otoczenia. Powoli tracił przyjaciół, dla których nigdy nie miał czasu. Zamykał się w czterech ścianach swojego pokoju. Uciekał do swojego świata, który zdążył już opisać w kilku grubych zeszytach i tam, wolny i swo- bodny, kochany i podziwiany, a przede wszystkim silny i niezwyciężony, gnębił wrogów. Podbijał sąsiednie krainy, mordował bezlitośnie lordów i lordessy, nie oszczędzając dzieci. Palił, grabił, niszczył. Znaczył swe kroki krwią i płomieniem.

Tak powstały pierwsze tomy „Archipelagu Mroku”. Tak ocalił swe człowieczeństwo.

Jego starszemu bratu Stanisławowi dla odmiany wszystko było wolno. Pierworodny, a przez lata całe jedyny syn, oczko w głowie matki i ojca, był najbardziej roz- wydrzonym dzieckiem w

powiecie wyszkowskim. Nie było dnia, by do drzwi dworu nie pukał ktoś ze skargą na Stasinka Romockiego. Nie było tygodnia, by z jego przyczyny nie połała się krew. Oczywiście w granicach rozsądku— Stasinek nie był głupi i wiedział, jak uderzyć, by wyglądało to na „niewinne skaleczenie, ot, szczenięce zabawy”. Skarżących się na niego wyrzucano za drzwi, czasem wciskając w dłoń matki pobitego chłopca parę złotych, a ojcu napastowanej dziewczyny flaszkę wódki. Stasinek nie został ukarany nigdy.

Korzystał więc z życia. Wódka, narkotyki, prostytutki, hazard, walki psów... Młody hrabia zaliczył wszystkie przyjemności życia, z upodobaniem wciągając w nie młodszego brata, gdy ten osiągnął odpowiedni wiek: Gabriel miał siedem lat, gdy Stasinek z kolegami ku uciechu wszystkich spił go do nieprzytomności. To właś- nie wtedy, gdy zanieczył dywan w gabinecie ojca, hrabia Romocki omal nie zatłukł młodszego syna na śmierć. Wtedy również po raz pierwszy i ostatni interweniowała hrabina, zamieniając bicie na „stań w kącie z rękami w górze”.

Garbiel miał osiem lat, gdy starszy brat podsunął mu niewinną ilość LSD. Koszmary, jakie Gabriel zaliczył podczas odlotu, nie pozwalały mu zasnąć przez parę miesięcy, do czasu gdy Stasinek wyleczył go z nocnych krzyków kolejną porcją tego narkotyku, która tym razem zafundowała dziecku podróż na Archipelag Mroku i z po- wrotem.

Stasinek nie zdążył wprowadzić brata do świata męż- czyzn. Hazard, prostytutki i walki zwierząt zostały Gab- rielowi oszczędzone. Za cenę innego koszmaru. Feralnego wieczoru, gdy hrabiostwo udali się do opery, a pani Wala miała wychodne, Gabriel został pod wątpliwą opieką Stasinka Romockiego.

— Idziemy na balety. Ubierz się czadowo, gnojku — rozkazał dziecku młody mężczyzna, a gdy chłopiec przy- biegł ubrany w koszulkę reprezentacji Polski, obśmiał go bezlitośnie, wepchnął do dużego fiata i... ruszyli. Zdążyli zaliczyć trzy dyskoteki i dwie butelki wódki — Gabriel zaledwie jeden kieliszek, po którym zwymiotował, czym zarobił na rozkwaszenie nosa, ale też na święty spokój do końca wieczoru — oraz kilka panienek— Gabriel był wysyłany wtedy „po coś na ząb”. Gdy nie zdołał „zorganizować” zakąski, zarabiał na kolejne sinia- ki. Starał się więc jak mógł.

Wieczór miał się skończyć na wielkim *Make love, not wama* nadbużańskiej plaży. Młodzież bawiła się w naj- lepsze, mieszając alkohol, seks i prochy, gdy wtem wio- dący prym Stasinek zarządził zawody: na początek bok- serskie, bo bardzo chciał się popisać przed blond piękno- ścią z Warszawy. Nikt nie chciał z nim jednak stanąć do walki, znając jego brutalność. Wpadł zatem na jeszcze lepszy pomysł:

— Popływamy!

Rozebrał się do naga, czym zyskał aplauz żeńskiej części widowni, i wskoczył na główkę do zimnego jak nieszczęście Bugu.

Wyłynął dwa dni później. Parę kilometrów w dół rzeki... Ojciec długo nie pożył, nosząc na plecach ciężar takiej hańby: pierworodny syn, dziedzic majątku i nazwiska, utopił się po pijaku w rzece do kolan. Matka przeżyła ojca o parę lat: gdy młodszemu synowi skończył szesnasty rok życia, stwierdziła, że poradzi sobie sam, i zapłała się absyntem na śmierć.

Gabriel był wolny. Może nie bogaty — zadłużony majątek przejęli wierzyciele — ale wolność była dla hrabiego Romockiego najwyższą wartością. Natomiast najlepszą siłą napędową, dzięki której osiągnął sukces, była... nienawiść.

Nienawidził ludzi. Nienawidził kobiet. I nienawidził przegrywać.

Z nienawiści do ludzi wyleczyli go dwaj przyjaciele: Łukasz i Artur. Z chorej ambicji nie wyleczył się nigdy. Głęboko skrywaną tęsknotę, tę samą co u Łukasza, za ciepłym, pełnym miłości Domem, uważny czytelnik mógł odnaleźć między kartami ostatniego tomu „Archipelagu Mroku”— „Cieniu wielkiego kota”, którą Gabriel koń- czył, gdy w jego życiu pojawiła się

Patrycja. To ona przydała mu światła i nadziei. Mroczny bohater Gabrielowych opowieści odnalazł swą miłość i swe miejsce na ziemi. Autor zaś próbował odnaleźć i siebie, ale stracił swą dobrą wróżkę na rzecz Łukasza. Jej miejsce zajęła nieco szalona, rozświegotana, śliczna jak sen złoty Hanka Jeziorowska. Sen złoty rozwiął się szybko. Małżeństwo okazało się ciężką próbą dla samotnego wilka. Głęboko ukrywanej nienawiści coraz częściej dawał upust podczas „polowań” na przemytników — nie zabił nigdy człowieka, aż tak dalece się nie zapominał, wystarczył mu widok krwi tryskającej z przestrzelonego ramienia — ale i to wkrótce przestało wystarczać. I to nie karmiło wyjącej z głodu ambicji. Tę nienawiść, nienawiść do przegranej, mogła uleczyć tylko... Patrycja.

Żółty domek powoli zasypiał. W oknach na parterze paliło się jeszcze światło, ale piętterko, na którym mieściły się sypialnie, było już ciche i ciemne. Aniela zasnęła. Co do tego Gabriel miał pewność, uważnie obserwując domek od ponad godziny. Na ten moment czekał. Czekał po wielokroć.

W oknie kuchni zamajaczyła smukła sylwetka Patrycji. Jeszcze pięć minut.

Wyciągnął komórkę. Wcisnął szybkie wybieranie pierwszego numeru. Odebrała nie Hanka, ale Dominika. Jej pracodawczyni wyjechała z ekipą w teren. To dobrze, nie musiał żonie kitu wciskać — ostatnio stała się przewrażliwiona na punkcie jego eskapad i coś za bardzo go o nie wypytywała. Teraz więc, zadowolony i odprężony, wysłuchał pełnej entuzjazmu relacji Adasia z minionego dnia, odebrał całuski od Lusi, rzucił kilka miłych słów Dominice i się rozłączył. Dowiedział się między słowami tego, co chciał: Łukasza w Zaborowie nie było.

Drugi przycisk.

— Cześć, stary, co u ciebie? Prowadzisz? Do Poczekajki? To spiesz się, spiesz, pewnie Patrycja czeka z utęsknieniem na twe prężne ramiona i nie tylko ramiona. — Zawtórował Łukaszowi śmiechem. — Gdzie jesteś? Ja? W Bieszczadach. Co robię? To, co lubię: namierzam niegrzecznych chłopców. Nieee, ty możesz się nie obawiać, jesteś grzeczny do przesady.— Znów musiał się w miarę szczerze roześmiać, mając wzrok wbity w okna żółtej chatki. — Jak dojedziesz, ucałuj ode mnie Patrycję. Z języczkiem! — Zaśmiał się na udawane oburzenie Łukasza po raz ostatni, lecz tym razem uważny słuchacz wykryłby w tym śmiechu cień fałszu i złośliwości. Łukasz jednak, po sześciu latach wciąż zakochany do nieprzytomności w swej żonie, nie zważał na takie niuanse. A Gabrielowi, który gościł go niemal dzień w dzień pod Zaborowskim dachem, ufał jak nigdy przedtem. Rozłączył się więc, przyspieszając w drodze do domu. Gabriel, spokojny, że mąż nie nakryje go sam na sam ze swą żoną, zapukał do drzwi. — Hej! — ucieszyła się na jego widok Patrycja, tak jak cieszyła się dziesiątki razy, bo Gabriel przez te sześć lat bywał w Poczekajce częstym gościem. — Co ty tu robisz? Nie ratujesz chabetek?

— Przerwa na papierosa — odparł, uśmiechając się tym swoim mrocznym, tajemniczym uśmiechem, który swego czasu zwiódł dziewczynę na manowce. — Zaprosisz mnie na herbatę?

— Tak, tak, przepraszam, jestem nieco roztrzepana.— Chwyciła go za rękę i pociągnęła do kuchni.

Siadł przy stole, patrząc, jak Patrycja krząta się, robiąc herbatę, smarując chleb masłem, krojąc ser i wędlinę... Od jego ostatniej niezapowiedzianej wizyty wypiękniała jeszcze bardziej. Szczupła, owinięta w puszysty szlafroczek, z włosami splecionymi w gruby warkocz, jeszcze mokry po kąpieli, rzucała gościowi co chwila a to ciepłe spojrzenie, a to uśmiech — niewinne, ot takie, jakimi częstuje się przyjaciół. Gabriel zaś każde spojrzenie i każdy uśmiech brał za cichą zachętę.

Wstał. Objął ją — stojącą przy kuchni — od tyłu. Nim się wywinęła, trzepiąc go po rękach, zdążył poczuć ciepło jej ciała i zapach włosów. Tak dobrze znane. Tak upagnione.

— Czyżby przybyło parę kilogramów?— zapytał, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiało rozpaczliwe pożądanie, jakie trawiło łądzwie.

Zaśmiała się, próbując ukryć tym zmieszanie.

— Jeszcze nie. Ale niedługo może przybyć. Spojrzał pytająco.

Umknęła na drugą stronę kuchni, sięgając do lodówki po sok malinowy. Zastąpił jej drogę. Zatrzymała się krok przed nim. Jeszcze niezaniepokojona, ale zbyt dobrze znał Patrycję. Dobrze też znał się na polowaniu, by nie spłoszyć zwierzyny.

— Cóż to za tajemnice przed najlepszym przyjacielem? — Odgarnął z jej policzka kosmyk włosów. Poczuł, jak zadrżała pod dotknięciem jego dłoni i uśmiechnął się triumfalnie w duchu. Może i Patrycja należała do Łukasza, ale jej ciało pamiętało pieszczoty Gabriela... — Chyba się mnie nie boisz? — w głosie łowcy zabrzmiało niedowierzanie, które próbującą go minąć dziewczynę zatrzymało w pół kroku. Znow stała przed Gabrielem, nie śmiąc podnieść na niego oczu. Oczu nagle pociemniałych z...— No? Jakiż to sekret ukrywamy? — Podniósł twarz dziewczyny, ujmując ją pod brodę, patrząc prosto w zielone, teraz niemal czarne, źrenice. Wiedział, że go pragnie. Próbowałaby zaprzeczać, gdyby zapytał o to otwarcie, ale oczy nie kłamały. A Gabriel nie był taki głupi, by pytać. — Mówisz albo całuję. — Nim zdążyła zaprotestować, już złożył na jej ustach delikatny pocałunek. Nic nieznaczący. Muśnięcie zaledwie.

— Powiem! Powiem!— Śmiechem próbowała pokryć coraz większe zmieszanie. A potem położyła dłoń na płaskim brzuchu gestem, jaki czyniły miliony szczęśliwychmatek przed nią.

— Ej, mała, chyba nie jesteś... Przytaknęła zarumieniona i szczęśliwa.

— Nie mów nikomu. Łukasz jeszcze nie wie. Gabriel objął ją ponownie.

— Moja mała, słodka mateczka-poleczka — wymruczał, uśmiechając się z czułością, ale uśmiech ten nie sięgnął oczu, czego Patrycja nie zauważyła.

Roześmiała się zmieszana i próbowała się wyswobodzić, ale mężczyzna przytrzymał ją za ramiona, a potem zjechał dłońmi na jej talię i przygarnął do siebie. Poruszyła się niespokojnie w jego uścisku.

— Gabriel — zaczęła — daj spokój. Nie powinieneś... nie powinniśmy...

— Wiem, przepraszam. Mam kłopoty i... Ciężko czasem samemu...— urwał. Spuścił głowę.

Ręka Patrycji sama wyciągnęła się ku czarnym włosom, palce wsunęły się między splątane kędziory. Westchnął, uśmiechnął się ni to z zażenowaniem, ni z politowaniem nad własną słabością.

— Będę jechał. Jeszcze raz przepraszam. — Ujął jej dłoń i przytulił do policzka.

— Jeżeli mogłabym jakoś pomóc...

— Bądź. Po prostu bądź. — Musnął jej miękkie, wilgotne usta.— Jak mogłem być takim idiotą...

— Pokręcił głową.

Ujęła w dłonie twarz mężczyzny, którego kiedyś kochała całym sercem, i rzekła głosem zduszonym przez wzruszenie:

— Nie byliśmy sobie przeznaczeni. Żegnaj, Gabriel. — Pocałowała usta, których smaku nie zapomni nigdy.— Wiesz, że kocham Łukasza.

— A ja kocham ciebie!— wyrwało mu się. W następnej chwili kłął w myślach, bo cały misterny plan uwodzenia legł w gruzach. Patrycja, którą już-już miał w rękach, zareagowała tak, jak się tego spodziewał: stanowczo odpychając go od siebie.

— Dostyc tego! — krzyknęła, gdy zrobił krok w jej kierunku.— Kochałeś. Może. Kiedyś. Ja kocham Łukasza. Nie pisz do mnie więcej. Nie przyjeżdżaj! — Z każdym słowem, coraz bardziej stanowczym, coraz silniejszym, oddalała się od niego. Gabriel, wściekły na siebie, swoją głupotę i w końcu na Patrycję, ale też rozpalony jej pocałunkiem i bliskością, ruszył za nią. — To koniec, Gabriel, rozumiałeś? — Oparła się plecami o kredens. Już nie miała dokąd

uciekać.

— Prowokujesz mnie, a potem, gdy jestem gotów, dajesz po łapach? — zapytał zimnym tonem, opierając się rękami po obu stronach jej ramion. — Dawno mogłaś to zakończyć. Pisałem, odpowiadałaś. Nigdy moje listy nie były ci niemiłe...

— Gabriel... — Patrycja jeszcze się nie bała. Przecież nie mógł zrobić jej krzywdy. Nie on!

— Przyjeżdżałem. Tyle razy mogłaś powiedzieć: nie przyjeżdżaj więcej. Ale nie. Zachęcałaś, bym „odwiedzał” cię jak najczęściej...

— Odwiedzał! Jesteś moim przyjacielem! Co ci dzisiaj odbiło?!

Co mu odbiło? Może narzucony na cienką koszulkę szlafroczek, który rozchyłał się zapraszająco przy każdym jej ruchu? Może ta delikatna woń konwalio wy ch perfum, którymi skropiła się, czekając na męża. Nie na niego, Gabriela, ale na męża! Zgrzytnął zębami. I smagnął ją słowami:

— Patrycja, czy ty jesteś tak głupia, czy tylko głupią udajesz? Po każdym „odwiedzinach” miałaś mokro w majtkach...

— Jak śmiesz...?!

— Mamuniu? — dobiegło naraz z góry. Patrycja pchnęła mężczyznę do sieni.

— Wynoś się! — Chciała wyrzucić go za drzwi, ale chwycił ją wpół i niemal zmiążdżył w uścisku. Szarpnęła się, ale po chwili pociemniało jej w oczach, a z ust wydobyło się słabe:

— Proszę... Zakneblował ją dłonią.

— Nic ci nie zrobię — zaszeptał. — Porozmawiamy tylko...

Głowa Patrycji opadła na piersi. Rozluźnił uścisk, by zwrócić ją twarzą ku sobie i... to był jego błąd. W jednej sekundzie była przytomna, w następnej orała mu twarz paznokciami, aż — klnąc ohydnie — próbował znów ją obezwładnić. Ale tym razem była szybsza: wbiła zęby w jego dłoń.

Zawył. I uderzył ją w twarz. Poprawił z drugiej strony. Wpadła między ścianę a drzwi. Chwycił ją jedną ręką za włosy. Drugą za gardło. Odgiął jej głowę, aż jęknęła głucho. Wcisnął kolano między jej uda. Znieruchomiła z odrazy i przerażenia.

— Nic ci nie zrobię — szeptał gorączkowo, jedną ręką sięgając pod szlafroczek, drugą zaciskając na gardle dziewczyny. Naraz zastygł w bezruchu.

— Mamuuuuuu! — Drobne stopki Anielki zatupotały nad jego głową. I to wyzwoliło w Patrycji prawdziwą furję. Kopnęła go z całej siły w piszczel, a potem... poprawiła kolanem. Najpierw między nogi, a gdy zaczął zwijać się wpół — w szczękę. Padł u jej stóp.

Oddychała ciężko, drżąc na całym ciele. Gabriel zaciskał zęby, by nie jęczeć głośno.

— Mamo! — stanowczy głos Anieli zabrzmiał w kuchni. Patrycja pochyliła się nad Gabrielem.

— Precz z mojego domu, łachudro!

Odepchnęła jego rękę i wróciła do kuchni, przekręcając w zamku klucz. I to byłby koniec, gdyby nie...

— Pokój temu domo...oo... co ty tu robisz, dziecię boże? — Plama pochylił się nad skuloną sylwetką. — O! Gabryś! O... — Księdzu widać zabrakło słów, bo też nie trzeba być jasnowidzem, by domyślić się, co przed chwilą zaszło w sieni. — Mam nadzieję — zaczął, pochylając się nad Gabrielem i stawiając go jednym szarpnięciem na nogi — że Patrycja...

— Patrycja ma się dobrze — wydusił tamten. — Niech mnie ksiądz puści!

— Puszczę, gdy zobaczę na własne oczy, że Patrycja ma się dobrze.

Załomotał do kuchennych drzwi.

— Wynoś się! — usłyszał głos kobiety. I drugi, nieco przestraszony: — To pan zbrodzień? — Anielki. — To ja, Plama, a nie żaden zbrodzień! — huknął swoim niepowtarzalnym basem.

— Słyszysz, mamuś? — ucieszyła się mała. — To ksiądz Plamka! Wpuścimy go? — Usłyszał, jak dziecko chwyta klucz.

— Niech on wyjedzie!— krzyknęła Patrycja.

Musiała szarpnąć dziewczynkę ku sobie, bo miała za- protestowała stanowczo, by w następnej chwili zapytać przestraszonym głosem:

— Mamuniu, ty płaczesz? Przeze mnie?

— No, panie Gabriel, wynoś się pan stąd. — Plama przeniósł wzrok z zamkniętych drzwi na mężczyznę. — Nie życzę sobie, by Patrycja znów przez pana hrabiego płakała.

— Płacze, bo jej dogodzić nie chciałem — rzucił Gabriel mściwie.

— I podrapała ci buzię z tego powodu? — Plama roześmiał się drwiąco. — Jedź pan do domu, panie Gab- riel, i dogadaj żonie. Swojej własnej, nie cudzej. No, już! — Chwyił mężczyznę za kołnierz, uniósł jak szczeniaka i wyrzucił za drzwi.

I może Gabriel by się opamiętał. Może zamknąłby przeszłość, pozwolił umrzeć temu choremu uczuciu, które z miłością niewiele miało wspólnego, żeby budować przyszłość razem z Hanką. Stworzyć ciepły dom dwójce przygarniętych dzieci, które jedną tragedię już przeżyły. Wszystko jeszcze zdawało się możliwe.

Gdyby nie Dominika...

Dominika miała szczęście — lub nieszczęście — urodzić się w rodzinie artystów. Wyraz ten należałoby wziąć w cudzysłów, bo artystyczna dusza z człowieka artysty nie czyni, ale tak zwykli o sobie mówić. Matka i ojciec dziewczyny poznali się na ASP, gdzie pani Jadzia pozowała do aktów, a pan Stefan naprawiał kontakty. Oboje byli malarzami, niestety, niedocenionymi. Ona „robiła” w abstrakcji, na której nikt się nie poznał, on zaś hmm... w ścianach — gdy przepił pieniądze ze skromnej pań- stwowej pensji, dorabiał pacykowaniem ścian tych od- ważnych, którzy zdecydowali się mu własne salony i sy- pialnie powierzyć. Zwykle nie otrzymywał za ukończone dzieło wynagrodzenia — więcej, to od niego żądano zwrotu kosztów poniesionych na zamalowanie „tego czegoś”, czym ścianę w artystycznym szale upstrzył. Ale nie samymi pieniędzmi malarz żyje! Dla Stefana Świtka chwilą największego uniesienia była ta, w której stawał przed dziewiczo białą płaszczyzną, roił w wyobraźni, jak owa płaszczyzna będzie wyglądała po miesiącu wytężonej pracy— a wyobrażeń tych sam Michał Anioł by się nie powstydził — i... no właśnie, rojeń tych wystarczało do pierwszej zaliczki. Drugiej już nie było.

Po latach takiego poniewierania małżeństwo niespeł- nionych artystów spełniło się w Zaborowie, gdzie pani Jadzia odziedziczyła ćwierć czworaka po babce. Spełniło się w dwóch kategoriach: picia oraz płodzenia dzieci. Rok w rok przychodziło na świat jedno malarztko, dopóki pan Stefan po pijaku rowerem pod samochód nie wjechał. Rower dało się wyklepać, Świtka nie.

Wdowa po panu Stefanie, w głębi duszy odetchnawszy z ulgą, zajęła się przepijaniem renty, dzieciaki zaś, również odetchnawszy z ulgą, zajęły się same sobą, czyli wreszcie zaczęły się uczyć, nieniekajone napadami szału swego zżartego przez delirium ojca. Miała bowiem cała siódemka niezwykły pociąg do książek, który zaszczepiła im najstarsza— Dominika właśnie. Skąd ten pęd do słowa pisanego u zwykłej wiejskiej dziewczyny? Mogła tylko przypuszczać, że z hrabiowskiej krwi, której kapka płynęła zapewne w każdym rodowitym mieszkańcu Zaborowa, przodkowie Gabriela Romockiego słynęli bo- wiem z jurności i żadnej kiecce nie przepuścili, jak mó- wiła szeptana legenda.

Takiż to barwny rodowód miała niania Adasia i Lusi. Nic dziwnego, że i w niej obudziły się demony, gdy pewnego dnia, zamiatając werandę Zaborowskiego dworu, ujrzała jego właściciela w całej zniewalająco męskiej okazałości. Nowy pan na Zaborowie podjechał pod opuszczony dwór nowiutką terenówką. Dominika odgarnęła zlepione potem włosy z oczu i... aż westchnęła. Takiego mężczyzny, mężczyzny w stu-dwustu-trzystu procentach, w swym krótkim życiu nie widziała.

Odziany od stóp do głów na czarno, z niedopiętym kołnierzykiem i niedogoloną twarzą, otworzył drzwiczki, wysiadł i obrzucił dziewczynę spojrzeniem tak chmurnym, że nogi się pod nieszczęsną ugięły. Doskonale świadom wrażenia, jakie na młodziutkiej sąsiadce zrobił, przeniósł oczy na dom.

— W jakim jest stanie?— zapytał niskim, zmysłowym głosem, mierząc dwór tak samo uważnym spojrzeniem, jak przed chwilą Dominikę.

— Ddbaliśmy o niego — zająknęła się. Ona: wygadana, pewna siebie, śliczna jak z obrazka, która mogła mieć każdego chłopaka, na jakiego zagięła parol, jąkała się jak wioskowy przyglup. Miss Wyszkowa straciła rozum dla niedogolonego oberwańca, starszego od niej na dodatek o ładne naście lat.

— Właśnie widzę — mruknął, patrząc na rozbite przez miejscowych łobuziaków dachówki i urwaną rynnę. Dominika nie widziała ani dachówek, ani rynny, tylko Gabriela Romockiego.— Zajmę się tym — stwierdził, budząc dziewczynę z przyjemnego zauroczenia. W jego głosie nie było już bowiem zmysłowości, lecz chłodna groźba: jeśli ktokolwiek podniesie rękę na moją własność, zajmę się tym.

Pan na Zaborowie zamieszkał w przybudówce, by nadzorować remont dworu. Stołował się u Świtków, a dokładnie rzecz biorąc u Dominiki. To ona od lat prowadziła dom, gotując, sprzątając, dbając, by młodsze rodzeństwo miało w co się ubrać i z czego czerpać wiedzę. Łatała również budżet rodzinny, zawsze bardziej niż skromny, dorywczymi pracami u sąsiadów. Zaborowianie chętnie zatrudniali u siebie dziewczynę, głośno ją chwaliąc za zaradność i pracowitość, po cichu zaś wspólnie czując nielekki los, jaki spadł na jej nastoletnie barki. Teraz też, mając swoje obowiązki na głowie, podjęła się karmić i opierać nie byle kogo, ale samego hrabiego. Ludzie sarkali, trochę z zawiści, że Świtkowie już wkupili się w łaski pana, trochę ze złości, że pan upatrzył sobie najładniejszą we wsi i już owija ją sobie wokół palca, co skończy się pewnie kolejnym Świciątkiem. Ale Dominika za nic miała ostrzeżenia i przestrogi. Lgnęła do hrabiego jak zziębnięte dłonie do futrzanych rękawiczek. Wiedząc, że po pierwsze: mężczyźni są wzrokowcami, po drugie: przez żołądek do serca, postanowiła

porozpieszczać sąsiada domowymi posiłkami klasy de luxe (z jakich słynęła na cały wyszkowski powiat), podawanymi w oprawie istic królewskiej — oprawie z pięknego młodego ciała. Zrywała się skoro świt, by świeżo umyte włosy spleść w dziewiczy warkocz, w parę minut nakładała sprytny makijaż, który był, ale jakby go nie było — tę sztukę zawdzięczała konkursowi na Miss Wyszkowa, potem staranne przymierzenie ciuchów odsłaniających akurat tyle wdzięków, żeby pobudzić wyobraźnię, ale nie aż tyle, żeby brał ją za pierwszą lepszą i... cóż. Mogłaby zacząć polowanie na hrabiego, gdyby nie drobna przeszkoda: otóż stała się nagle cho- rośliwie nieśmiała. Ona, Dominika, zwykle elokwentna i wygadana, urocza i uśmiechnięta, pod spojrzeniem hrabiego zmieniała się w spłoszoną, zarumienioną dziewczeczkę, co do dwóch zliczyć nie potrafi i na dodatek się jąka.

Porażka totalna! — wyrzucała sobie co wieczór, gdy jedyną jej zdobyczą był pełen pobjażania uśmiech Gabriela, jakimkwitował a to rozlany kompot, a to z wierzchu przypalone, w środku na wpół surowe bitki. Gabriel lubił robić wrażenie na pięknych dziewczętach. Tylko tyle i aż tyle, co do Dominiki, która nie była przecież głupia, coraz bardziej docierało.

Tak, była zakochana. Tak, roiła sobie, że z czasem piękny hrabia odwzajemni tę pierwszą wielką miłość

dziewczyny, która dotychczas żyła tylko domem i niekończącą się harówką. Ale nawet ona zaczęła zdawać sobie sprawę, że była to miłość beznadziejna.

Ta okrutna prawda spadła na Dominikę w dniu, w którym dziewczyna po raz pierwszy ujrzała... Patrycję Marynowską.

Zapamiętała dobrze ten moment, w którym pryskają Wielkie Marzenia, bo takich razów od losu się nie zapo- mina: właśnie wybierała kapustę na gołąbki, uśmiechając się tajemniczo w odpowiedzi na pytania sąsiadek, a są- siadkom nigdy nie było dosyć plotek z dworu, gdy nieco od niej starsza dziewczyna weszła do wiejskiego sklepiku, powiedziała nagle ucichłym tubylcom „dzień dobry”, po czym kupiła chleb, masło, wędlinę i... jedzenie dla kotów. Sama Sklepikowa zdziwiła się, że puszkę kitiketa w asor- tymencie znalazła.

Zdumiona i zaintrygowana zapytała nieznajomą: — Pani tu letniczka?

Wszyscy wstrzymali oddech, a już najbardziej Dominika, czekając na odpowiedź.

— Nie — odrzekła tamta. — Jestem narzeczoną Gabriela Romockiego.

I świat się Dominice zawalił.

Jak lunatyczka odłożyła kapustę. Wielkimi oczami patrzyła na nieznajomą, nie wierząc, że tak niepozorna istota zdobyła to, o czym Dominika marzyła przez wszystkie te dni: miłość Gabriela. Chwilę jeszcze łudziła się, że to związek z rozsądku czy musu, gdy nagle narzeczonego hrabiego... się uśmiechnęła. Ślicznie, promiennie, dziewczęco. A ten uśmiech, uśmiech szczęśliwie zakochanej, płynący z głębi serca, zmienił ją nie do poznania. Podziękowała Sklepikowej, zapakowała kocią puszkę razem z resztą zakupów, odgarnęła z policzka kasztanowy kosmyk, zagarnęła długą ciemnozieloną spódnicę, by wyminąć tarasującego drzwi Kalinowskiego i zniknęła w promieniach letniego słońca. I Dominika zrozumiała, że z Patrycją, istotą nie z tego świata, nie ma szans. Że w porównaniu z nią jest tylko wiejskim kocmołuchem.

— Witamy w Zaborowie — rzuciła takim tonem, jakby życzyła obcej nagłej śmierci i po prawdzie tak właśnie było. Bo tym, którzy odbierają nam marzenia, zdarza się życzyć wszystkiego najgorszego, nawet jeśli ku własnym marzeniom przeszli drogę przez piekło — jak Patrycja. Przez następne miesiące Dominika żyła jak w sennym koszmarze, lewitując na granicy rozpacz i nadziei. Śledziła Patrycję.

Spotykała ją, niby przypadkiem, a to w sklepie, a to na Zaborowskich drogach, czasem nawet zapuszczała się za nią nad rzekę, na co dotąd nigdy nie miała czasu, i — zaczajona w krzakach— wypatrywała na twarzy narze- czonej hrabiego gorzkiego uczucia porażki, a w oczach łez. Gdy rywalka była uśmiechnięta i szczęśliwa, Domi- nika pogrążała się w rozpacz. Gdy tamta smutniała i gasła, jej sąsiadka rozkwitała nową nadzieją.

I tak by to trwało aż do późnej starości obu dziewcząt, gdyby nie... Janka. To dzięki niej Dominika pozbyła się rywalki.

Już miała triumfować i od nowa zacząć polowanie na hrabiego, gdy okazało się, że Patrycja to pikuś. Nie mówiąc o Janeczce. Ich miejsce we dworze zajęła bowiem Hanna Jeziorowska, znana całej Polsce jako Melania z „Dwóch serc”. I to był naprawdę koniec marzeń o Gabrielu Romockim.

Hanka nie była tak głupia, jaką chciała się wydawać — już samo to, że wołała, by ją za piękną, ale głupiutką blondynkę uważano, było przejawem niepospolitej in- teligencji. Pierwszym zagrożeniem na drodze do opusz- czonego, zranionego przez Patrycję Gabriela nie była Janeczka — żadne Janeczki nie miały w zderzeniu z hu- raganem Ha Jot żadnych szans — lecz młodziutka, zako- chana sąsiadeczka, całkiem niczego sobie na dodatek. Może nie dorównywała urodą Hani, a niezwykłością Patrycji, ale upolowanie samotnego mężczyzny, o czym Hanka doskonale wiedziała, to tylko kwestia czasu i determinacji.

Gdy więc nastąpiła jako hrabina na Zaborowskim dworze, zrobiła to, co mądra kobieta czyni z potencjalną rywalką. Nie, nie wyrwała Dominice włosów i nie wyklęła oczu, przeciwnie: zagarnęła ją pod swe skrzydła, by mieć wroga na oku.

Gabrielowi wiele można zarzucić, z tych zarzutów powstałaby cała książka, trzeba było jednak przyznać, że miał honor i danego słowa nie łamał. Gdy przysięgał przed Bogiem wierność żonie, szczególnie żonie tak temperamentnej jak hrabina Romocka, wierności docho- wywał.



W przeciwieństwie do swych przodków nie dup- czył po kątach sąsiadek, mogła więc Hanka spać spokoj- nie. Jej jednak nie dawało spokoju cierpienie Dominiki. Dziewczyna wpadała do dworu pod byle pretekstem. Przysłowiowego cukru zawsze jej brakowało. Soli, mąki, jajek... Gdy pewnego dnia Dominika zapukała do drzwi i rozglądając się w poszukiwaniu Gabriela na wpół obłą- kanym wzrokiem, poprosiła o pożyczenie bochenka chle- ba, Hanka postanowiła działać.

Najsampierw w krótkich żołnierskich słowach uświa- domiła dziewczynie beznadziejność tej miłości, potem brak wzajemności i brak jakichkolwiek perspektyw na wzajemność. W następnych słowach szlochającą roz- paczliwie dziewczynę uświadomiła, co jej robi, jak ją dorwie z mężem w łóżku, by po chwili przytulić nie- szczęsną serdecznie, zwierzyć się szeptem z własnych zawiedzionych miłości i... zaproponować dziewczynie pracę w charakterze niani dla dwojga oczekiwanych lada dzień dzieci.

Dominikę w tym momencie zatkało. Zachłysnęła się własnym łzami, patrząc z niedowierzaniem na płaski brzuch Hanki. Ta uśmiechnęła się smutno:

— Nie z brzuszka, ale z serduszka. Dominika uniosła brwi.

— Nie możemy mieć z Gabrielem własnych dzieci. Zdecydowaliśmy się na adopcję — wyjaśniła Hanka. Nigdy nie przyznała się nawet przed samą sobą, jakim wyrzeczeniem z jej strony była rezygnacja z własnego małżeństwa, lecz Gabriel nie zgadzał się na żadne cuda nowoczesnej medycyny typu in vitro. Nawet badaniom się nie poddał, mimo błagań żony. Nie, bo nie. Czego Bóg nie dał...

— Bóg?! A co Boga obchodzą twoje plemniki?! — krzyczała Hanka, gdy Gabriel tym beznadziejnym ar- gumentem chciał kończyć kolejną dyskusję o dziecku. — Jeśli nie Bóg, to natura — odpowiadał zachmurzony. — Słabe geny giną, mocne...

— Co ty pieprzysz?! — wściekała się jego żona za każdym razem, gdy przytaczał kolejny, tak samo bez- nadziejny. — Świlkowie napłodzili siedmioro! I roz- mnażaliby się dalej jak króliki, gdyby starego szlag nie trafił! Świetne geny doprawdy! Dwoje alkoholików-pasożytów! Dlaczego... — tu wściekłość zamieniała się zwykle w straszny żal, głos się Hance załamywał i Gab- riel wychodził z domu, wsiadał do samochodu i odjeżdżał w siną dal, bo nie mógł znieść jej łez. I swojej podłości. Po paru miesiącach zgodził się na ustępstwo: adopcję rodzeństwa z Jeleniej Góry. Dziewczynkę i chłopca, któ- rych rodzice zginęli w wypadku. O nich właśnie wspo- mniała Hanka Dominice, prosząc ją o pomoc.

— Nie znam nikogo bardziej doświadczonego i od- powiedzialnego od ciebie — przekonywała dziewczynę, która wolałaby trzymać się od Zaborowskiego dworu z daleka, aż ta przeklęta miłość umrze z braku nadziei. Od czasu do czasu Dominika wpadałaby na Gabriela — wieś przecież duża nie jest — zamieniliby parę grzecz- nościowych słów, pośmialiby się z przypalonych bitek i niesionych kartofli, które mu serwowała, gdy on jeszcze był wolny, a ona w nim zakochana. I pozwoliłaby się podwieźć, gdyby on akurat przejeżdżał, a ona czekałaby na przystanku. Albo niosła ciężkie siatki z zakupami, albo... Dominika znów załaza się łzami.

— Nie płacz — w głosie Hanki, tak zwykle pewnym i zdecydowanym, zabrzmiało błaganie. I bezbrzeżny smutek. Otarła wierzchem dłoni łzy z policzka dziew- czyny. — On chyba nigdy nikogo nie kochał. Oprócz Patrycji...

Patrycja.

Pojawiała się w życiu Gabriela i Hanki — no i Dominiki — jak złotozielony huragan, burząc wypracowany latami porządek.

Patrycja — rozświergotana, szczęśliwa, zapatrzona w dwie miłości swego życia: Łukasza i Anielkę.

Nieznośna Patrycja, która nie dawała o sobie zapomnieć. Nikomu.

Kochana przez najbliższych, kochana przez przyjaciół, kochana przez czytelniczki, przez

Poczekajkan, przez... można by długo wyliczać. Nawet Adaś i Lusja, dzieci Romockich, nie mogły się doczekać cioci Paprycji, jej męża, córeczki, zwierzaków, wakacji w Poczekajce, bajek na dobranoc tak barwnych (a czasem przerażających), jak tylko barwne (i przerażające) wysnuć potrafi nieokieł- znana wyobraźnia pisarki...

Dominika nie powinna być jednak zazdrosna — Patrycja traktowała Gabriela jak przyjaciela. Ni mniej, ni więcej. Lecz dla Gabriela Patrycja była kimś więcej niż- li tylko była narzeczoną. Była wyzwaniem. Ona sama i jej miłość do Łukasza.

Mąż Patrycji, według wszelkich rankingów najprzystoj- niejszy aktor polskiej sceny, był jednocześnie najbardziej niedostępnym aktorem polskiej sceny.

— Wystarcza mi uwielbienie żony — powtarzał w wy- wiadach.

Kolekcjonował chwile spędzane w Poczekajce, w żółtej Chatynce Wiedźmy z ukochaną żoną i uwielbianą córeczką, niczym najcenniejsze, niepowtarzalne precjoza. Cieszył się każdą sekundą z dala od filmowego planu. Potrafił wymigać się z każdej imprezy, których w życiu artystycznego światka nie brakowało, by wyrwać się choć na parę godzin do domu. Do czekających nań dwóch kobietek.

Gnał w deszcz i śnieg, w ranki i wieczory, nie zważając na pełne zwierza bory, parę ładnych godzin w jedną stronę, by krótki, zawsze zbyt krótki czas— czasem tylko pół nocy, jedno przytulenie — być przy Patrycji i Anielce. Czuć całym sercem ich obecność.

Piękna i smutna, pełna łez, pożegnań i tęsknoty była to miłość.

Lecz trwała.

Do czasu— o tym przekonany był Gabriel. I Dominika. I chyba nawet Hanka. Tylko tamtych dwoje, Patrycja i Łukasz, zdawało się żyć w nieświadomości, a nikomu nie spieszyło się, by ich uświadamiać. Na razie. Zadzwoił na komórkę Dominiki dobrze po północy. Jeszcze nie spała. Odebrała telefon ze ściśniętym ze strachu sercem.

— Coś z Adasiem? Z Lusią? — to były pierwsze słowa kochającej dzieciaki dziewczyny.

Po nieco nieskładnej odpowiedzi swego pracodawcy wywnioskowała, że jest nieźle wstawiony. Ale z dziećmi wszystko w porządku. Wyjechały z matką do Jeleniej Góry, do dziadków.

— Nie lubię pić w samotności — dodał na koniec ni w pięć, ni w dziewięć. — Przyjdiesz?— To „przyjdiesz” nie było pytaniem ani prośbą. Było poleceniem służbowym.

— Jest późno, panie Gabrielu... — Dominika próbowała oponować. Po doświadczeniach z dzieciństwa nie znosiła pijanych mężczyzn. — Pani Hania...

— Pani Hania oczywiście się nie dowie — zapewnił. — Chodź, chodź. Coś ci pokażę.

Zaśmiał się tak jakoś... dziwnie, że dziewczyna zanie- pokoiła się nie na żarty. Może jednak coś się stało dzie- ciom? A może pani Hani?! Do niedawna małżeństwo Romockich wydawało się udane, ostatnimi czasy zrobiło się jednak we dworze nieco... głośno. Sąsiedzi nieraz mogli obserwować latające talerze, a wściekle wrzaski budziły po nocach połowę Zaborowa.

— Przyjdiesz?— ponaglił Dominikę Gabriel.

Dziewczyna, nie myśląc wiele, narzuciła na nocną koszulkę bluzę młodszego brata. Na widok cnotliwej siostry, która po jednym telefonie wybiegała z gołymi nogami w noc, rodzeństwo, oglądające do późna telewi- zję, zrobiło wielkie oczy i skomentowało: „Tylko błysz- czących kozaków do połowy uda i sztucznego futerka z lisów ci brakuje”, ale ona, nie zważając na ich kpiny, pobiegła ścieżką do dworu.

Gabriel, stojący na schodach z butelką whisky, jak zwykle na czarno, w rozpiętej koszuli i obcisłych bryczesach, wydał się Dominice piękny i pociągający jak nigdy, ale szybko w sobie ten zachwyty zduśił.

Dzieci? Pani Hania?— to jedno kołatało się po zanie- pokojonym umyśle.

Lecz on miał widać inne plany. Gdy wchodziła po schodach, coraz wolniej i wolniej, jedynie

stał i na nią patrzył. Ustąpił jej z drogi, a gdy już była w ciemnej sieni, zamknął za nimi drzwi, zagarnął dziewczynę wolnym ramieniem i zaczął całować. W pierwszej chwili zaskoczona, w następnej niemal mdła z rozkoszy. Podtrzymując jej uległe, chętne ciało, smakując gorących, spragnionych jego pocałunków ust, czując dłonie dziewczyny na karku, palce wplatające się we włosy, przyciągające go z przemożną tęsknotą, mrucał jak wielki dziki kocur, obłaskawiony jedynie na te parę uderzeń serca. Lecz w pewnym momencie uniosła ciężkie powieki i ujrzała w lustrze... no właśnie: skąpo odzianą tirówkę oddającą się mężowi pracodawczyni. Wstrząsnęło to Dominiką do głębi.

— Nie...— wyszeptała. — Nie!— powtórzyła już bardziej stanowczo, gdy wsunął rękę pod koszulkę. — Panie Gabrielu, proszę, nie!!! — Mimo że dodała to „proszę”, w jej głosie wyczuł prawdziwy gniew i puścił ją tak raptownie, jak zagarnął.

— Chodź — nakazał, popychając ją lekko w kierunku salonu. Próbowwała oponować, ale warknął wściekle: — Nic ci nie zrobię! Nie, to nie! Włóż to. — Cisnął w nią zawiniątkiem żółtym jak kurczątko. Zamrugła. Rozwinęła pakunek. Sukienka. Dziwnie znajoma.

Podniosła na Gabriela niedowierzające spojrzenie. — Nie włożę tego! To... to sukienka pani Patrycji! Po co to panu?! Dlaczego?!— Chciała odrzucić skrawek materiału, coraz bardziej wzburzona, ale mężczyzna zacisnął rękę na jej nadgarstku i powtórzył głosem zwiastującym furie:

— Włóż tę sukienkę. Bardzo cię proszę. W tym „proszę” nie było za grosz prośby.

— Panie Gabrielu, gdy ktoś mnie tu zobaczy... — zaczęła raz jeszcze błagalnym tonem.

— To od ciebie **zależy**, jak długo będziesz się krygować. Wszyscy wiedzą, że kochasz się we mnie bez pamięci i tylko czekasz na pretekst, by wygryźć Hankę... — To nie prawda!!! Idę stąd!

— Nigdzie nie idziesz — wycedził, zaciskając palce na jej ramieniu. Jęknęła z bólu, ale jeszcze się nie bała. — Przebierzesz się grzecznie w sukieneczkę, pstryknę parę fotek i jesteś wolna. Co ty na to?

— A jeśli się nie zgodzę?

— Dostaniesz po buzi, przebierzesz się w sukieneczkę, pstryknę parę fotek, wykorzystam cię i jesteś wolna. Dominika po raz pierwszy zaczęła się bać.

— Jeżeli przebiorę się i zrobi pan te zdjęcia... będę mogła odejść?

— Tak. Daję szlacheckie słowo honoru — odparł z emfazą i w następnej chwili z krzywym uśmiechem patrzył, jak dziewczyna, ocierając łzy, sięga po sukienkę, jak odwraca się doń plecami, by choć trochę ukryć nagość, narzucaciuszek i... Aż zmrużył oczy z ukontentowania. Może do Patrycji nie była uderzająco podobna, ale od czego jest alkohol? Pociągnął długi łyk i Dominika od razu spatrycjowała. A gdyby tak nie dotrzymać hrabiowskiego słowa i skorzystać z pięknej sąsiadeczki? Podetknął jej usznię whisky pod nos, bo była nieco roztrzęsiona, i patrzył, jak dziewczyna rozpaczliwym gestem przechyla butelkę, bierze jeden łyk, krztusi się, drugi...

— Wystarczy.— Wrywa jej butelkę, bo przecież chce, by była w miarę przytomna, bierze płaczącą cicho Dominikę za ramię i prowadzi do kominka, na którym wesoło trzaska ogień. Po drodze gasi światło. Ciemność rozświetlają tylko migotliwe płomienie. W tej roztańczonej ciemności może zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że to ciało, które ma pod ręką, należy do innej... — Proszę mnie nie dotykać! — wrywa go z marzeń głos dziewczyny. Nieco bełkotliwy, ale stanowczy. — Zmień ton — radzi w odpowiedzi — albo twoja rodzinka poszuka sobie innego lokum.

Dominika potulnieje. Pozwala położyć się na dywanie przed kominkiem, pozwala sobą komenderować: „ręka za głowę”, „zsuń nieco ramiączko”, „podciągnij sukienkę, przecież nie gryzie!” i zaczyna się jej ta dziwna sesja podobać. Trzaskający cicho ogień, złotoczerwone refleksy na ścianach, miękki dywan i poczucie nierzeczywistości, niski, hipnotyzujący głos

mężczyzny, za którym poszłaby na koniec świata, a wreszcie alkohol, przed którym pierzcha rozsądek, wstyd i poczucie przyzwoitości, sprawiając, że dziewczyna jest coraz odważniejsza. Sukienka wędruje coraz wyżej, ramiączka opadają, odsłaniając coraz więcej, oczy same zamykają się z narastającej rozkoszy i... znów uratowało ją lustro. Wielkie kryształowe zwierciadło w pysznej mosiężnej ramie, w którym nagle ujrzała siebie, jak w wyuzdanej pozie opiera się o gzyms kominka, prowokując Gabriela maślanym spojrzeniem. To spojrzenie natychmiast się wyostrzyło. Nastrój chwili prysł. Dominika, z krzykiem przerażenia, chwyciła bluzę i zarzuciła na ramiona. Gabriel wybuchnął śmiechem. Pod tym, pogardliwym śmiechem, który trwał i trwał, gdy mężczyzna przeglądał zdjęcia.

— Chcesz popatrzeć?

Tego było za wiele. Przyskoczyła do niego, wzięła zamach i... bez trudu chwycił jej dłoń, miażdżąc niemal nadgarstek. Zdusiła jednak jęk.

— Mam nadzieję, że nigdy jej nie odzyskasz — wycodziła z bezgraniczną pogardą. — Nigdy! Że będziesz zdychał w samotności z jej imieniem na ustach, a ona nawet nie przyjdzie, by rzucić grudę ziemi na twój grób. Puścił ją, odwrócił się do okna. Wychodząc, usłyszała: — Tak pewnie będzie...

Nikt nigdy nie powinien był dowiedzieć się o tym, co zaszło między nimi. Nikt. Nigdy. Jedna noc obłądu, za dużo wódki — to nie powinno zaciążyć na życiu młodej, dobrej przeciw dziewczyny. Dominika wymazała ten epizod z życiorysu, Gabriel również — przynajmniej taką miała nadzieję. On miał więcej do stracenia niż ona. Życie w Zaborowskim dworze toczyło się swoim tempem: raz zawrotnym, raz powolnym, w zależności od tego, ile energii miała czarcia dwójka: Adaś i Lusia. Tego dnia dzieciaki dokazywały aż miło. Dominika ledwo wlokła się za nimi, gdy w podskokach wracały znad Buga.

— Nisia, widziałaś to, widziałaś? — pytał co chwila podekscytowany chłopiec, wspominając taaaaką rybę, jaką w jego obecności złowił sąsiad. — Widziałaś, jak ją uwolniłem? Pomachała mi ogonem z wdzięczności! — Ona się tym ogonem pukała w głowę. Że taki głupi jesteś — zaśmiała się kpiąco Lusia.

— Zaraz ja cię puknę w głowę! — zaperzył się Adaś i rzucił w pogoń za siostrą.

— Nika, on chce mnie zabić! Ratuj! — wrzeszczała dziewczynka, uciekając dookoła rostej topoli.

— Adaś, uspokój się, Lusia, nie dokuczaj mu — Dominika wyrecytowała swoją kwestię.

Dzieciaki, nie zważając na to, pognały w kierunku domu i nagle... stanęły jak wryte przed furtką. Ich opiekunka również. Z domu dochodziły odgłosy kłótni. Żeby tylko kłótni: po szczęku tłuczonych naczyń można było sklasyfikować to, co się we dworze działo, jako pan-demonium. Dzieci przestraszone spojrzały po sobie. Dominika objęła je odruchowo i przytuliła.

— Ty skurwielu!!! Ty skurwysynu!!! — Hanka wypadła na ganek, chwyciła stojącą tam torbę podróżną i cisnęła nią o schody, aż puścił zamek i rzeczy Gabriela rozsypały się na stopniach.

— Wypierdalaj, zdrajco! Wynoś się z tego domu!!!

— To mój dom!!! — ryknął Gabriel. Chwycił Hankę za rękę i szarpnął w dół.

— Mamo!!!

Krzyk Adasia i Lusi na moment powstrzymały Gabriela. — Jak śmiałeś!!! Jak mogłeś!!! Z nią!!! Z żadną inną, tylko z nią!!! — Płacząc z nienawiści, próbowała uderzyć go w twarz, ale przytrzymał ją za nadgarstki i wykręcił, aż przyklęła z jękiem.

— Mamo!!! — krzyk Adasia i rozpaczliwy płacz Lusi, biegnących od furtki, nie od razu do nich dotarł. — Ufałam ci! A ty jeździłeś do niej!!! — Hanka zgięła się wpół, upadła na kolana i zaczęła szlochać.

— Uspokój się — wysyczał Gabriel, widząc nadbiegające dzieci, równie przerażoną Dominikę

i sąsiadów zerkających ciekawie zza parkanu. — Wszystko wytłumaczę...

— To wytłumaczysz, łachudro?! — cisnęła mu w twarz zdjęcie.

Dominika biegnąca za dziećmi stanęła raptownie. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Hanka musiała dowiedzieć się o tej nieszczęsnej sesji! To koniec!

Gabriel chwycił zdjęcie odruchowo i otworzył szeroko oczy, niedowierzając. A potem zacisnął powieki, z niena- wiści do samego siebie. I do... Patrycji, która na zdjęciu całowała go czule.

— A może to?! — Drugie zdjęcie, na którym to on całował. — Jak mogłam być taka głupia, taka ślepa! — Hanka łkała. — Jak mogłam nie widzieć, że wciąż ją kochasz. Że kochasz nie mnie, nie nas, a tę sukę... Dominika, myśląc, że Hanka mówi o niej, wstrząsnęła się, puściła rączkę Lusi i zrobiła krok w tył. A Gabriel zaczął starą śpiewkę faceta przyłapanego na gorącym, bardzo gorącym uczynku:

— To nie jest tak, jak myślisz, pozwól wytłumaczyć... Ale Hanka roześmiała się tylko przez łzy. Szyderczo. Z pogardą. Przeszedł więc z obrony do ataku:

— Skąd masz te zdjęcia? Śledziłaś mnie!!! — Tym razem to on chwycił żonę za ramiona i potrząsał z furją. — Jak śmiałaś mnie szpiegować?! To ma być zaufanie?! To jest zasrane małżeństwo! Nie zdradziłem cię, a ty nie dość, że sceny na oczach dzieci urządzasz, to jeszcze detektywów nasyłasz?! Jak śmiesz?! — Zamachnął się, by ją uderzyć, ale Adaś, ni to ze skowytem, ni ze szlochem, chwycił go za rękę i na niej zawisł.

— Nie bij mamusi! Nie bij mamusi! — rozkrzyczała się Lusia, łapiąc ojca za drugą rękę.

— Zabierz dzieci! — rzucił Gabriel do Dominiki, ale ta uciekła. Po prostu uciekła.

— Widzisz, co narobiłaś, ty idiotko? — zwrócił się spokojnym, zimnym tonem do żony. — Dzieci przerażo- ne, opiekunka odchodzi, a sąsiedzi mają o czym gadać, bo hrabinie zazdrość na mózg padła.

Hanka, jeszcze przed chwilą gotowa gardło mu przegryźć, nagle zmalęła, oklapła. Otarła oczy wierzchem dłoni, przytuliła Adasia i Lusię i ruszyła ku domowi.

— Między mną a Patrycją nic nie było! — krzyknął za nią Gabriel.

— Pieprz się — rzuciła przez ramię.

Trzymała w drżącej ręce szklankę z wódką, w drugiej zdjęcie swojego męża, całowanego przez najdroższą przy- jaciółkę, i łkała z bezsilności. I nienawiści.

— Dlaczego mi to zrobiłaś?! Miałaś wszystko... Łukasza, dom, dziecko... Własne dziecko!!! Dlaczego musiałaś odebrać mi jego? Gabriela? Po co on ci był? No, po co, ty podła suko?! —

Oparła głowę na ramionach i szlochała rozpaczliwie. — Nie wystarczyło ci, że przybiegał jak pies na każde skinienie, co? Że jeden telefon, a on rzucał wszystko i ruszał na pomoc swej ukochanej Patrysi. Nie. Musiałaś zaciągnąć go do łóżka. — Łyknęła haust wódki. Zakrztusiła się. Cisnęła szklanką o ścianę.

Adaś skulony pod drzwiami przyciągnął do siebie pł- czącą cicho Lusię.

— Co wy tu robicie? — wściekły syk Gabriela sprawił, że dzieci poderwały się na równe nogi.

— Nie wolno podsłuchiwać! — Chwycił Lusię za ramię i ścisnął tak, że dziewczynka zaskomlała z bólu. — Do swoich pokojów marsz! — Odepchnął dziecko, poczekał, aż oboje pierchną do swych sypialni i położył dłoń na klamce. Chciał wejść do środka, ale... rozmyślił się. Zamiast tego zbiegł po schodach do garażu, cisnął na tylne siedzenie nissana swój ukochany sztucer i wyjechał z piskiem opon w ciemną, deszczową noc.

Hanka patrzyła za znikającym samochodem. Gdyby teraz ktoś ujrzał jej twarz, przeraziłby się siłą uczuć, jakie zawładnęły tą łagodną zazwyczaj, beztroską kobietą. To nie była już Hanka Jeziorowska. Nawet nie Romocka, choć życie z Gabrielem wycisnęło swoje piętno na jej pięknej twarzy.

Usta miała ściągnięte, oczy lekko zmrużone, wzrok daleki. Odwróciła się powoli od okna, podeszła do biurka i wzięła do ręki oba zdjęcia. Z jakąś perwersyjną cieka- wością przyglądała

się im długą chwilę, a potem chciała cisnąć je na dno najgłębszej z szuflad, ale... również się rozmyśliła. Wyciągnęła zza książek butelkę wódki, uniosła w toaście:

— Tobie na pohybel, droga Patrycjo.

I zaczęła pić.

### ROZDZIAŁ III

W drodze powrotnej ze szpitala Patryk co rusz zerkał na Adasia. Zadziwiał go ten dzieciak. A nawet przerażał. Bo czy to normalne, by dziesięcioletni chłopiec w trakcie nudnej jazdy samochodem, zamiast wiercić się, marudzić, ziewać, jęczeć: a to pić, a to jeść, a to siusiu, by więc normalny dzieciak miał zachowywać się normalnie... rozwiązywał krzyżówki?! Właśnie o to poprosił Patryka, gdy przechodzili obok kiosku i mężczyzna zapytał: guma do żucia, komiks czy...

— Krzyżówkę „Supetek” — szepnął Adaś, rozglądając się dookoła, czy nikt nie słyszy.

— Krzy...?!

— Ciiii— Adaś przyłożył palec do ust, marszcząc groźnie brwi. — To tajemnica. Gdyby Luśka się dowiedziała...

— ...może przestałaby nazywać cię „głupek” — podpowiedział Patryk, całą siłą woli próbując zachować powagę.

— O nie! Niech już ona nazywa mnie głupkiem, byle nie podprowadzała moich krzyżówek!

— To Luska... też?

— Jest wstrętną geniuszką — westchnął Adaś. — Dominika w konspiracji kupuje mi te krzyżówki, bo moja genialna siostra pożera je niczym termit. I ciągle hasła podpowiada. „Cztery poziomo: australopitek”, „pięć pionowo: pitekaustralus”— Adaś, krzywiąc się niemiłosiernie, parodiował siostrę.

— W tej krzyżówce są takie hasła?! — zdumiał się po raz setny Patryk.

— Mniej więcej. Gdy czegoś nie będę wiedział, mogę zawracać ci głowę?

— O ile ja będę wiedział — mruknął mężczyzna, siadając za kierownicą.

— Wyglądasz na takiego, co wie — uspokoił go chłopiec. — W przeciwieństwie do Niśki. Już słyszę to jej: „nie zawracaj mi głowy!”. Moją głupią siostrę muszę pytać. — Nie taką znowu głupią — zauważył Patryk.

Adaś posłał mu urażone spojrzenie i zagłębił się w kratkach poziomych i pionowych. Co jakiś czas z tylnego siedzenia padały zadziwiające pytania:

— Zamach nie do wytrzymania?

— Słucham?

— Aha, to psotka...

— Co?!

— No, taka krzyżówka, co zmienia się jedną literę. Więc? — Co więc? — Patryk oglądał się przez ramię, próbując dojrzeć jakiegokolwiek koło ratunkowe.

— Oj, wujku...— Adaś kręcił głową. — Fetor albo odór. — Co?! Zamach nie do wytrzymania to fetor?! — ZAPACH! Przecież mówiłem, że zmienia się jedną literę. Fetor czy odór?

— A masz jakąś pomocniczą? — pytał biedny Patryk słabym głosem.

— Nie. To jolka.

— Fetor to Jolka?!

— Krzyżówka! Dzwonię do Lusi...

— Nie będziesz chorej siostrze głowy zawracał! — Ale ona lubi...

— Nie!!!

— No to do Nisi...

— Jej też nie!!!

Adaś milkł na jakiś czas obrażony, mamrocząc pod nosem niezmiernie hasła, by przerwać

ciszę jakimś: — Bicie „na tycie”?

— Co?!

Wreszcie Adaś położył mu ręce na ramionach i poradził ze szczerą troską w głosie:

— Wiesz co, wujku? Ty porozwiązuj trochę tych krzy- żówek, bo ci mózg zanika.

Patryk nie wytrzymał i zaczął się śmiać. I śmiał się dotąd, ocierając co chwila łzy, aż szczęśliwie wjechali na podwórko.

— Jakie mam terytorium?— chłopiec zadał nieśmiertelne pytanie.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Tym razem udamy się na objazd mojego terytorium. Tylko sztucer wezmę.

Buzia dzieciaka rozpromieniła się.

— Idziemy odstrzelić chore zwierzę?

Patryk miał nadzieję, że nie będą musieli, ale że jechali w „najdziksze ostępy”, jak to określił Adaś, a tam broń czasem się przydawała (poza tym musiał czymś wzmo- nić nadszarpnięty podczas podróży autorytet), wyciągnął z gabloty broń, pilnując, by dzieciak nie widział, gdzie chowa klucz, i dał wreszcie spragnionym dłoniom nacie- szyć się dotykiem, a oczom widokiem.

— Pamiętaj, mały, że z tego można zabić. Siebie, Lusię, Dominikę, mnie... Zobacz — odwinął kołnierzyk koszuli. Tuż nad obojczykiem czerwieniła okrągła blizna. Mały zrobił wielkie oczy, wyciągnął rękę i dotknął palcem nie do końca wygojonej rany. Podniósł na opiekuna pociem- niałe oczy. Ten pokiwał tylko głową.

— Pamiętka. Po sztucerze takim jak ten. Jeżeli zobaczę, że za bardzo kombinujesz, ukarzę cię i to tak, że obieranie ziemniaków będzie przyjemnością. Kapujesz?

Adaś skrzywił się lekko.

— Dobrze, że nie wiesz, co obiecała mi Niśka, gdy będę za bardzo kombinował. Bolało? — Raz jeszcze spojrzał na ślad po postrzale.

— Jak skurczybyk. Chodź, dzieciaku.— Mężczyzna potargał chłopca po ciemnych włosach.

Po chwili jechali terenówką przez las, zatrzymując się od czasu do czasu, a to dla zliczenia sągów drewna, a to sprawdzenia jakichś śladów, a to dla przyjemności. — A gdybyś spotkał kłusownika? — indagował chłopiec, spoglądając znacząco na futerał z bronią.

— W moim lesie nie ma kłusowników — mruknął Patryk. — Dawno wszystkich wystrzelałem.

— Naprawdę?!

Mężczyzna posłał chłopcu zdeglustowane spojrzenie, chociaż trochę prawdy w tym, co powiedział, było. W swoim rewirze trzymał wszystko twardą męską ręką: miejscowych szybko oduczył i kłusownictwa, i kradzieży drewna, tropiąc i karząc bez litości. Obcy został złapany i niemal zlinczowany przez samych mieszkańców Zmys- lonej, gdy w potrzask wpadła mała dziewczynka. Od tamtej pory praca leśniczego była czystą przyjem- nością. Nawet zwierząt nie musiał selekcjonować, zo- stawiając tę wątpliwą przyjemność chętniejszym kolegom. Od czasu wypadku, po którym została mu blizna pod obojczykiem i uraz do broni na resztę życia, wolał bezkrwawe łowy: z dobrym aparatem fotograficznym.

Teraz też, trzymając w rękach canona, którego nabył za horrendalne pieniądze, dał znak chłopcu, by podążał za nim jak najciszej. Adaś skinął głową i oczy mu zokrąglały z podekscytowania:na polanie, do której się podkradli, paś się, unosząc co chwila głowę, jeleni, niemal żywcem przeniesiony z landszaftu. Na widok zwierzęcia, a raczej jego poroża, chłopiec tylko sapnął.

Patryk uśmiechnął się samym kącikiem ust.

Już ja cię, smyku, nauczę przyjemności polowania, pomyślał, nastawiając ostrość. Podał bezszelestnie aparat dziecku, pokazał, gdzie zwolnić migawkę, i czekał, aż chłopiec sam uchwyci zwierzę w obiektyw. Aparat pstryknął cichutko. Byk poderwał głowę i spojrzał wprost

na nich. Po chwili pozostało po nim jedynie wspomnienie. — To było piękne — westchnął chłopiec rozmarzony, a Patryk po raz nie wiedzieć który mało się nie roześmiał, słysząc jego wypowiedź. Normalny dzieciak w tym wieku rzekłby, że coś było fajne albo super, albo zajebiste. Adaś zaś, i Lusia także, wypowiadali się w sposób absolutnie niezwykle i absolutnie zabawny. Najprawdopodobniej był to wpływ jego niezwyklej, zabawnej i egzaltowanej siostry. Bo przecież nie Gabriela, a już na pewno nie sierocińca.

— Wracamy do samochodu.— Klepnął zapatrzonego dzieciaka w ramię. — I do domu na jakiś obiad. Nim jednak siedli do obiadu...

— Oho, tata — mruknął Adaś, na widok zaparkowanego samochodu.— Ty wyciągaj lepiej tę spluwę.

Rzeczywiście. Mężczyzną, który wyszedł właśnie zza domu, był Gabriel Romocki. Patryk aż cały zeszywniał, widząc tego człowieka i mając w pamięci słowa, jakimi potraktował on jego siostrę, a także wykrzyknik z jej listu: **I — błagam Cię, braciszku — nie oddawaj dzieci je mu !**

Cóż, „tę spluwę” i tak musiał zabrać z samochodu do szklanej gabloty...

— Cześć, synku. — Gabriel podszedł do Adasia, który tkwił u boku Patryka w takim samym napięciu. — Nie przywitasz się nawet?

Chłopiec zrobił krok naprzód, przytulając się do ojca nieśmiało. Gabriel wyprostował się i stanął przed Pat- rykiem.

— Witaj.— Wyciągnął rękę, którą tamten, rad nierad, musiał uścisnąć. — Nie zaprosisz mnie do środka? — Wskazał brodą drzwi leśniczówki, których „bronila” wy- ciągnięta rozkosznie Pepsi.

Przechodząc, Gabriel przywitał się z psem. Bardziej serdecznie niż z własnym dzieckiem — przemknęło Patrykowi przez myśl.

— Zjesz z nami obiad?— zapytał rozglądającego się po kuchni gościa. — Adaś naobierał wczoraj ziemniaków dla całego pułku...

— Adam i ziemniaki?— zdziwił się Gabriel.

— Pod przymusem, ale jednak— roześmiał się Patryk, nastawiając patelnię. — Mały, bierz swój czaderski nóż i krój na plasterki. Ja muszę schować broń...

— Broń? Przy dziesięciolatku? — W głosie Gabriela zabrzmiał pomruk nadciągającej burzy.

— Jestem leśniczym, jeśliś nie wiedział — zgasił go Patryk.

— Fakt. Pokaż, co tam masz. — Wyciągnął rękę po sztucer.

Patryk się zawahał. Mógł odmówić i od razu miałby zdeklarowanego wroga, mógł też próbować zażegnać ewentualny konflikt, nie znając zamiarów Gabriela. Wybrał to drugie. Położył futerał na stole i otworzył. Gabriel gwizdnął.

— Piękny. Nie wiedziałem, że zwykłego leśniczego stać na takie чудо. Co to?

— Beretta Whitewing. I nie kupiłem jej z pensji. Do- rabiam jako grafik komputerowy.

— Ty? Grafik? No, no...

Patryk z trzaskiem zamknął futerał i wyszedł do drugiego pokoju, krzyknawszy przedtem:

— Adaś, zmniejsz trochę gaz, bo przypalasz!

— Gdzie Lusia?— Pytanie sprawiło, że wrócił natych- miast, rzucając broń na kanapę.

— Jedz, synu.— Gabriel spojrział na chłopca, który dłubał widelcem w ziemniakach, przesuwając je tylko, zamiast jeść.

— Nie mam apetytu— odmruknął dzieciak.

— Będziesz siedział dotąd, aż zjesz — odparł spokojnie Gabriel, kończąc swoją porcję.

Brązowe oczy Patryka zwęziły się leciutko, co było oznaką narastającej furii. Nie znosił, gdy pod jego dachem traktowano lepiej zwierzęta niż dzieci. — Wiesz, Gabriel, to twój syn, ale moja kuchnia.— Zdecydował się wejść w konflikt.



— Co przez to rozumiesz?

— Tutaj rządzą ja, a nie nieproszeni goście.

— Racja. Idziemy.— Gabriel wstał gwałtownie. Adaś znów się skulił.

— Tato, ja zaraz zjem. Zaraz skończę — zapewnił, próbując przełknąć pierwszy kęs szybciej, nim jego ojciec zabije wujka Patryka.

— Nie spiesz się, mały. — Patryk również wstał i kładąc po drodze rękę na ramieniu dzieciaka, ruszył za Gabrielem do salonu, zamykając za sobą drzwi. Gość obchodził pokój, przyglądając się zdjęciom. Nagle znieruchomiał wpatrzony w coś, co stało za szklanymi drzwiczkami zabytkowej biblioteczki. Patryk patrzył mu przez ramię. „Poczekajka”, „Zachcianek”, „Sekretnik”

— Gabriel wpatrywał się w stojące na honorowym miejscu unikatowe wydania wszystkich trzech książek Patrycji Marynowskiej.

— Skąd je masz? — zapytał dziwnym tonem. Nie było w jego głosie zwykłej ciekawości, był... Patryk nie miał czasu pomyśleć. — Skąd je masz? — powtórzył tamten. — Od autorki. Z dedykacją. Jest przyjaciółką mojej siostry, o ile pamiętasz.

Gabriel nie skomentował. Rozparł się na sofie stojącej naprzeciw kredensu i skinął na Patryka, by ten zajął miejsce w fotelu naprzeciw. Mężczyzna, tak potraktowany we własnym domu, usiadł, mrużąc wściekle oczy.

— Mów, czego chcesz, i wynoś się.

— Oddasz dzieci i już mnie nie ma. Rozstaniemy się bez rozlewu krwi.

— Skąd wiedziałeś, że są u mnie? — Patryk zadał pytanie, które nurtowało go od samego początku. Nikomu nie zależało, by dzieci wróciły do ojca, skąd więc ten tak szybko się dowiedział o ich powrocie do Polski? — Och, u mnie w Zaborowie wiem o wszystkim. Także o tym, że Dominika nagle wyjechała. Wystarczyło tylko zapytać jej matkę dokąd. A właśnie: gdzie Nisia? Patryk spojrzął na niego bystro.

— Chciałeś zapytać: „gdzie Lusia?”.

— Zwykle wiem, o kogo pytam, przyszywany braciszku mojej żony. — W głosie gościa było teraz zdecydowanie za dużo jadu jak na gust Patryka.

— Rozumiem, niedorobiony mężu mojej siostry: bliższa jest ci opiekunka niż córka. Z dwojga złego to lepiej. Dla córki.

Gabriel zamiast wybuchnąć gniewem, czego po cichu pragnął właściciel domu, uśmiechnął się z aprobatą: miał facet charakter i był wyszczekany. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie Patryka Jeziorowskiego. Mimo iż mętnie pamiętał go ze ślubu — barczystą, szczupłą sylwetkę, jasne włosy, spaloną na brąz twarz — to bliżej nigdy nie poznał. Teraz miał okazję.

— Pytam o Dominikę, bo prosiła, bym po nią przyjechał — rzekł, ciesząc się w następnej sekundzie kompletnym zaskoczeniem na twarzy przeciwnika.— Więc jestem.

— Nika? Wyjeżdża?! A... dzieci?!

— Dzieci razem z nią oczywiście.

— Miały zostać u mnie! — krzyknął Patryk.

— Sam nie dasz sobie z nimi rady.

— Więc zabierasz Dominikę?!

— Zakochany?— Tamten uśmiechnął się ponownie, ale tym razem Patryk nie dał się sprowokować. Nagle wszystko zrozumiał.

— Zaszantażowałaś ją! Czym? Jak ci się udało zmusić tę dziewczynę do powrotu? Do opuszczenia dzieci? — Ma swoje ciemne grzeszki... Patryk opadł na oparcie fotela.

— Ależ z ciebie bydlak — rzekł cicho. — Mojej siostrze musiało na mózg paść, żeby za ciebie wyjść.

— Kiedyś ktoś za takie słowa dostał po ryju — zauważył cicho Gabriel.

— Nie. To ty dostałeś po ryju. Wymyśl sposób na mnie lepszy niż szantaż i groźby, bo nawet

po wyjeździe opiekunki nie oddam dzieci.

— Zniszczysz życie dziewczynie, żeby zatrzymać dwójkę dzieciaków, z którymi nawet nie jesteś spokrewniony?— Gabriel był autentycznie zaintrygowany.

— Ciekawe, co na nią masz, że aż „zniszczysz”. — Różną ją.

Patryk, przewracając po drodze krzesło, jednym skokiem był przy Gabrielu i rzucał mu się do gardła w obronie czci dziewczyny, a raczej rzuciłby się, gdyby nie...

wymierzony w pierś jego własny sztucer. Gabriel z leniwym uśmiechem właśnie go odbezpieczał.

Patryk zastygł w bezruchu.

Do pokoju wpadł Adaś i skoczył, ni to ze szlochom, ni skowytem, między ojca a Patryka. Żadne słowo nie chciało przejść przez krtań zszokowanego dziecka. Przez dwie, może trzy sekundy wstrząśnięty był również Patryk, ale już w następnej odepchnął dziecko z linii strzału i chwycił za skierowaną w swą pierś lufę.

— Odpieprzyło ci?! — ryknął. — Puść to! Puść, psy- chopato!!!

Gabriel rozwarł zaciśnięte na spuście palce. Patryk cisnął broń do gąbłoty. Klucz poszybował przez otwarte okno — dwa dni będzie go potem szukał.

Dopał skulonego pod komodą dziecka.

— Zobacz, co zrobiłeś swojemu synowi!!! Myślisz czasem o kimś więcej niż o sobie?! Ej, chłopie, wstawaj, już okej. — Potrząsnął Adasiem za ramię, a gdy dzieciak spojrzał nań w miarę przytomnie, stanął przed Gabrielem, drżąc z furii na całym ciele.

— Wypieprzaj z mojego domu! Wynos się! Nie potrzebuję giwery, by cię stąd wyrzucić!

— Tatusiu, wyjedziemy z tobą. Pójdę się spakować. — Adam ruszył chwiejnie do schodów prowadzących na poddasze.

— Nigdzie nie wyjedziecie!— Patryk zatrzymał dziecko. — Wasza mamapowierzyła was mojej opiece i zostaniecie do jej powrotu!

Objął chłopca ramieniem i przytulił. Stali tak obaj, wpatrzeni w Gabriela. On siedział oparty o wezgielwie sofy, przyglądając się tej dwójce. Miał swoje plany i co do dzieci, i co do niańki, a teraz również co do Patryka... — Adam, wyjdź na chwilę, dokończymy rozmowę — zwrócił się do syna.

Ten spojrzał pytająco na Patryka, po czym wyszedł niechętnie.

— Nie jestem tak głupi, żeby przyznawać się do bliskich kontaktów czwartego stopnia z niańką. I to bratu mojej żony — rzekł. — Co nie znaczy, że Dominika to chodząca cnota. Jak mówiłem: ma swoje ciemne grzeszki. Chwilę czekał, aż Patryk zapyta o owe grzeszki, ale on widać nie był ich ciekaw.

— Łukaszowi...

— Ani słowa o Łukaszu! — przerwał mu Patryk takim tonem, że Gabriel umilkł.

Mierzyli się przez chwilę nienawistnym spojrzeniem. Patryk, który zwykle nie uprzedzał się do ludzi i darzył sympatią cały świat, do Gabriela czuł niechęć od pierwszego wejrzenia. Wcześniej nawet: od kiedy skończył czytać trylogię Patrycji. Wprawdzie w jej książkach *black heart* został w końcu zrehabilitowany, ale to, czego Gabriel dokonał wcześniej, wystarczyło Patrykowi, by wyrobić sobie o nim niezbyt pochlebne zdanie: Gabriel był wyrachowanym, egoistycznym sukinsynem i nawet miłość Hanki — pewnie ślepa, jak to miłość — go nie odmieniła.

— Cóż... — Gabriel wstał nagle. — Scen robił nie będę. Jakbyś już nie zrobił.

— Nie odprowadzaj mnie do samochodu. Sam trafię. Ruszył do drzwi. Adaś, skulony przy podłodze, by lepiej słyszeć, poderwał się na równe nogi.

— Zaraz, zaraz, nie tak prędko. — Patryk przytrzymał Gabriela za ramię. Coś mu się w oczach i uśmiechu tamtego bardzo nie podobało.

— O co ci chodzi? Przecież wyjeżdżam...

— Żeby wrócić?

Gabriel uśmiechnął się tylko i pochylił nad synem. — Chcę się pożegnać z Lusią. Gdzie ona jest?

— W...— zaczął Adaś. Patryk wpadł mu w słowo: — W lesie. Na jagodach. Będą wieczorem. Późnym — skłamał jednym tchem.

Gabriel wzruszył ramionami, wybierając numer Do- miniki.

Nie odbieraj... poprosił w myślach Patryk.

Nie odebrała. Komórka śpiewała gdzieś na poddaszu, widać dziewczyna ją zostawiła. Gabriel musiał to jednak naocznie sprawdzić — bez pytania gospodarza o zgodę wszedł na górę.

— Zadowolony?— zapytał zjadliwie Patryk, gdy gość schodził do sieni.

— Średnio — odmruknął Gabriel.

— Tatusiu, nie bądź zły! — błagał Adaś, biegnąc za ojcem przez podwórze.— Mamy przecież wakacje! Tu są świny i krowy... Proszę, nie bądź zły!

— Nie możecie tu zostać! Gdzie jest Luśka? — wysyczał Gabriel, łapiąc chłopca za ramiona i przyciskając do siebie w taki sposób, że stojący na ganku Patryk mógł to wziąć za pożegnanie, ale nie był taki głupi. Podszedł do nich i stanął przy chłopcu.

— Adaś, musimy iść po krowy. Chodź już, mały. — Tatuniu, tylko do końca wakacji... — Dzieciak prawie płakał.

Gabriel przeniósł mroczne i złe spojrzenie z syna na Patryka.

— Wpieprzasz się w bagno. — Dźgnął mężczyznę w pierś. — Ostrzegam cię, odpuść.

Wsiadł do samochodu, wahał się chwilę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu ruszył. Gdy samo- chód zniknął im z oczu, Patryk przyklęknął przy chłopcu i przytulił go z całej siły.

— Nic ci nie jest?

— Nie powiedziałem. — Adam płakał, kręcąc głową. — Nie powiedziałem.

— I bardzo dobrze— skwitował Patryk. — Gdzie mama kazała wam zostać? U mnie. Czyje słowo świętsze? Mamy.

— Zaraz potem twoje, a na końcu taty? — upewnił się chłopiec. — Ty tu rządzisz? No i Dominika?

— Właśnie tak — kiwnął głową mężczyzna, ale nagły chłód zdmuchnął uśmiech z jego twarzy. Wspomnienie słów Gabriela: „Rzną ją”.

A wydawałaś się taką świetną dziewczyną, pomyślał. — Idziemy po te krowy, wujku Patryku?

— Niebieskie oczy chłopca, jeszcze wilgotne od niedawnych łez, znów lśniły ufnie.

— Po krowy dopiero wieczorem. Musiałem coś wymyślić na szybko.

— Nieźle ci wychodzi kłamanie — rzucił z przekąsem Adam.— Ale tacie lepiej strzelanie, wierz mi, wujku. — Serio? Hmm...— Patryk się zamyślił. — Może sprawdzimy, kto lepszy? Twój ojciec daleko nie odjechał... Chłopiec spojrzał nań wielkimi oczami, a widząc, że mężczyzna żartuje, roześmiał się z ulgą. Resztę dnia wisiął na furtce, wypatrując niani z siostrą. Gdy wreszcie przyjechały, puścił się biegiem w ich stronę.

Patryk patrzył, jak mały peroruje, dodając opowiadaniu dramatyzmu a to markowaniem strzału ze sztucera, a to duszeniem Lusi, aż mała zaczęła się drzeć, a to malow- niczym potoczeniem się po drodze, gdy opowiadał, jak wujek Patryk jednym ruchem ręki zmiotł go pod kredens. Dziewczynka słuchała tego z przejęciem i rosnącym podziwem. Dominika patrzyła w milczeniu na majaczącą za płotem sylwetkę Patryka, wiedząc, że i on na nią patrzy.

Bała się. Bała się Gabriela i tego, co mógł im wszystkim zrobić. Ona jedyna знаła ciemną stronę tego mężczyzny, tę, którą ukrywał przed żoną, a którą tak wyraźnie dawało się odczytać między wierszami jego książek. Dominika wiedziała, że Gabriel, raz obrawszy cel, nie cofnie

się przed niczym. Tadeeterminacja, czy raczej szaleństwo, cechowała wszystkich bohaterów Gabrielowych powieści, a przede wszystkim jego samego.

Dla swej żony i dzieci miał twarz surowego, lecz oddanego męża i ojca. W „Archipelagu Mroku” ukazywał prawdziwe oblicze: dzikiego, niebezpiecznego drapieżnika, łowcy, wojownika, który nieraz wodził za nianią swych dzieci pociemniałymi oczami, pełnymi czegoś, co nie było sympatią, zachwytem czy choćby pożądaniem... Ale to już na szczęście nie jej zmartwienie. Z ulgą, choć gorzką ulgą, usłyszała pewnego wieczoru od Hanki: — Wyjeżdżam razem z dziećmi. Jesteś wolna.

I była wolna. Właśnie teraz.

Z nieśmiałym uśmiechem ruszyła w stronę Patryka. Przemóżne pragnienie, by ukryć się przed wstrętnym, niechcianym wspomnieniem w jego bezpiecznych ramionach aż dławilo w gardle. W myślach błagała Boga, by ten dobry, silny i piękny mężczyzna nigdy nie poznał jej przeszłości, a jeśli nawet, to żeby ona, Dominika, miała szansę sama mu o niej opowiedzieć. By Gabriel nie wszedł między nich dwoje, nie zniszczył tego cudu, który rodził się w sercu dziewczyny, tak jak zniszczył miłość Patrycji i Łukasza.

I jak ruszyła, tak nagle stanęła.

On wiedział.

Dominika odwróciła się na pięcie. Uciekać! Uciekać, nim ujrzy rozczarowanie i pogardę w błękitnych oczach. Nim usta wykrzywią się w grymasie wstrętu. Dopóki Patryk nie wypowie dwóch słów: Wynoś się!

— Ej, Nisia, kolacja w tamtym kierunku— usłyszała Adasia, ale nie zwolniła kroku. — Wujku Patryku, dokąd ona idzie?

Ale Patryk milczał. Nie poprosił, by wróciła. Nawet nie drgnął, patrząc na oddalającą się dziewczynę.

— Daleko w tej cienkiej kiecce nie zajdzie — mruknął do siebie i chciał wejść do domu, gdy poczuł w swojej dłoni ciepłą łapkę Lusi. Mała podniosła nań smutne oczy. — Pokłóciliście się? Weźmiecie rozwód?

— Jaka ona głupia... — Adaś przewrócił oczami. — Przecież nie mają ślubu!

— Tak? — Lusie nie zwróciła na brata uwagi, wpatrując się w Patryka.

Pokręcił bez przekonania głową. I wbrew sobie zawołał za Dominiką:

— Ostatni pekaes odjechał pół godziny temu. A auto- stopem cię nie puszcze. Wrócisz sama, czy mam się po ciebie pofatygować?

Dziewczyna musiała się uśmiechnąć.

— Pofatyguj się — mruknęła.

— Pofatyguj się! Pofatyguj, wujku Patryku! — zakrzyczała uszczęśliwiona Lusie.

— Ja muszę to zobaczyć — dodał Adaś, wdrapując się na płot.

— Nic nie będziesz oglądał, bo wasza niania właśnie wraca, prawda, nianiu?

Dominika jeszcze chwilę się wahała, by w końcu ku radości Patryka i rozczarowaniu dzieci zawrócić. — Ja...— zaczęła, stając przed mężczyzną, ale przerwał jej oschle:

— Nie teraz. Nie dziś. Miałem wystarczająco wrażeń i nie chcę wysłuchiwać twoich zwierzeń.

— Nie mam zamiaru nikomu się zwierzać! A już na pewno nie tobie!

— I całe szczęście — skwitował.

Gabriel wszedł do domu. Do cichego, pustego domu, jeszcze niedawno tętniącego życiem, tupotem dziecięcych nóżek, rozbrzmiewającego śmiechem dwojga małych mieszkańców, przekomarzaniem się jego żony... Tak, tak, to ty odebrałaś mi rodzinę i dom. Spojrzał na filmowe zdjęcie Hanki, tulącej się do Łukasza. Najwyższy czas, by odebrać dom i rodzinę tobie. Siadł na sofie, wyciągnął oprawny w skórę notes i bez pośpiechu zaczął go kartkować. Po chwili wybierał numer.

— Cześć, Tadziu, mam dla ciebie bojowe zadanie. Przygotuj wniosek o odebranie Hance praw rodzicielskich. Chcę dzieci z powrotem. Natychmiast!

#### ROZDZIAŁ IV

Mijał tydzień od powrotu Lusi ze szpitala. Dzieciaki dokazywały jak poprzednio, były może nawet weselsze i bardziej ruchliwe: ich niania nie miała już czasu na opalanie. Tylko Patryk pochmurniał z każdym dniem. Zbierał się do rozmowy z Dominiką i... nie było to łatwe. Nie było również łatwe udawanie, że nic się nie stało, że nic nie wie i wszystko jest jak dawniej. Zresztą i Domini- ka wzdragała się przed nieuniknioną rozmową, starając się schodzić Patrykowi z drogi.

Ta chwila wreszcie nadeszła. W spokojny sobotni wie- czór, pełen śmiechu dzieci, które po raz pierwszy w życiu drylowały wiśnie na przetwory i bardzo im się to zajęcie podobało. Szczególnie Adasiowi, który mógł bezkarnie strzelać wiśniami w dziewczęta.

— Adaś!

— Sama mi strzeliła!

— Ja ci zaraz strzelę!

— Nika, on we mnie strzela!

— Adam!

— Oj, one tak same z siebie!

Wtedy w kieszeni džinsów zadzwoniła komórka. Do- minika wyjęła telefon, zerknęła na wyświetlacz, posłała spłoszone spojrzenie Patrykowi — udał, że tego nie zauważył — i wybiegła z domu. Wyszedł cicho za nią. — Nie mogę wyjechać. Dzieci mnie potrzebują. — Szeptala ukryta za gankiem. — On nie da sobie rady beze mnie... — Umilkła na długo, słuchając. — Panie Gabrielu, proszę... Proszę mi tego nie robić... Błagam pana... Dobrze. Wrócę.

Wyświetlacz zgasł. Dominika stała długą chwilę ze zwieszoną głową. Łzy kapąły na piasek podwórka. Otarła je wreszcie gniewnym ruchem dłoni, odwróciła się, by wejść do domu, i aż krzyknęła, wpadając na Patryka. Miała zamiar umknąć na górę i zastanowić się w samotności, jak powiedzieć dzieciom — i jemu — że musi wyjechać i to nie na krótko, lecz na zawsze, ale Patryk chwycił ją za ramię w momencie, gdy zrobiła krok na schody.

— Nie tak szybko, moja panno, musimy porozmawiać. Pchnął ją w stronę ogrodu.

— Nie mamy o czym — zachnęła się.

— Owszem, mamy.

Pociągnął ją za rękę, na ławkę. W ciemności rozjaśnianej światłem na ganku widziała jego oczy i zarys szczęk, teraz zaciśniętych.

— Wyjeżdżam.

— Hola, hola, masz zobowiązania wobec Hanki. — Trudno...

— I wobec dzieci, nie mówiąc o mnie.

— O tobie?! A co mnie niby z tobą łączy?

— Niestety, a może całe szczęście, nic. Ciekawsze jest, co łączy ciebie z żonatym mężczyzną, tak się głupio składa, mężem mojej siostry.

— Nic! Nic nie łączy mnie z Gabrielem, przysięgam! Patryk parsknął śmiechem.

— Wiesz, jak się o tobie wyraził, niewinna owieczko? „Rzną ją”. — Dominika zacisnęła powieki, nagle pobladała. — Tak, tak, to o tobie. Czy nadal będziesz przysięgać...

— Nawet mnie nie tknął! Nigdy! Choć duszę bym kiedyś oddała za jedną jedyną noc z Gabrielem Ro-mockim! — Masz jeszcze szansę, pani hrabina za morzami, dzieci u mnie, chata wolna...

— Nie chcę żadnego Gabriela, tylko... — Umilkła, by nie powiedzieć za dużo.

— Powiedz mi więc, wytłumacz tak, bym ja, prosty samiec, zrozumiał, dlaczego on dzwoni, a ty rzucasz wszystko i do niego pędzisz. Co on na ciebie, do cholery, ma?!

— Zdjęcia — wydusiła wreszcie. Patryk uniósł brwi. — Zadzwoił któregoś wieczoru. Myślałam, że coś się stało dzieciom. Ale... on czekał na mnie. Z alkoholem i... — Przełknęła głośno na wspomnienie tamtego koszmaru. — Poprosił, bym przebrała się w pamiątkową sukienkę. Bo chce mi zrobić kilka zdjęć, że niby jestem taka śliczna, i robił mi zdjęcia w tej choleralnej żółtej sukience, takie... całkiem niewinne... artystyczne erotyki...

— Zaraz, zaraz, zamilcz! — Patryk chwycił się za skronie. Ona powiedziała coś bardzo ważnego! — Co on ci kazał zrobić? O tej sukience...

— Żebym się w nią ubrała...

— To wiem! Co to była za sukienka?!

— Pamiątkowa. Żółta. Nienawidzę od tamtej pory... — Milcz!

Wszystkie klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Kobieta, której w innych szukał Gabriel, była... Patrycja. Patrycja w żółtej sukience! On ją w dalszym ciągu kochał! Aż do chwili gdy — jak powiedział Adaś — wszystko się skończyło, Gabriel przestał szukać, zniem- widził podobną do Patrycji rudowłosą, zielonooką Lusię, a Hanka zaczęła pić.

— Dlaczego Hanka zaczęła pić? — zapytał rwącym się głosem.

— Przecież wiesz! — krzyknęła dziewczyna.

— Dlaczego. Hanka. Zaczęła. Pić — powtórzył. — Bo znalazła te cholerne zdjęcia! Oto dlaczego! Dominika wyrwała się i pobiegła do domu.

Do kolacji zasiedli w niezwyklej jak na tę gromadkę ciszy. Wszyscy troje widzieli zaczerwienione oczy Dominiki, ale tylko jedno z nich znało przyczynę.

Dzieci się w końcu rozgadały, jak to one, ale opiekunka pozostała milcząca, aż do czasu, gdy Patryk zaczął wspo- minać o krótkim wyjeździe.

— Ty, Nika, możesz odwiedzić rodziców, my pobłądzimy po Polsce.

Dzieliom rozbłyły oczy. Spojrzały na siebie porozu- miewawczo.

— Zaczniemy od... — zwiesił głos — Poczekajki! Odwiedzimy ciocię Patrycję... — Umilkł, patrząc na twarze otaczającej go trójki. I w oczach dzieci, i w oczach dziewczyny widział... szok, jakby rzekł coś absurdalnego. — Przecież jeździliście do Poczekajki w każde wakacje, prawda? W tym roku nie chcecie?

Nic nie rozumiał. Milczenie, wrogie milczenie, narastało. — W tym roku nie możemy — odezwała się wreszcie Lusia. — Przecież wydarzyła się tam strrraszna trrragedia!

Wypowiedziała to z takim namaszczeniem w głosie, że Patryk nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Pewnie pyton albinos zdechł...

— Czego się śmiejesz, idioto? — Słowa Adama sprawiły, że śmiech zamarł mężczyźnie na ustach. Spojrzył na chłopca groźnie, ale tym razem dzieciak nie przeprosił, a Dominika, zamiast go zganić, rzuciła sucho:

— No właśnie. Czego się idiotycznie śmiejesz? Bawi cię to?

— Ale... co? — wyjąkał skonsternowany. — Co się stało? — Cioci Patrycji umarło dziecko. To właśnie się stało — rzekła Lusia.

Patryk zachwiał się jak od ciosu. Przez chwilę trzymał się stołu, zupełnie ogłuszony.

— An... — słowo uwięzło mu w gardle. Odchrząknął. — Anielka umarła?

— Nie. Drugi dzidzius. Bartuś.

Zaczął się trząść. Nic nie mógł poradzić na to, że całe ciało zaczęło dygotać. Boże. Patrycja straciła dziecko. Łukasz! Łukaszowi umarł synek, a on nic nie wiedział! „Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale spróbuj pomóc Patrycji” — myślał, że to prośba o pomoc w zajęciu się dziećmi...

— Kiedy to się stało? — zapytał, gdy już mógł wydobyć głos.

— W kwietniu. Nie wiedziałeś, wujku?

— Gdybym wiedział, na pewno nie śmiałbym się idio- tycznie!

Dlaczego Hanka go nie powiadomiła?! Bo siedziałeś źłobie na odwyku, użalając się nad sobą, podczas gdy... — Jak to się stało?

— Umarł we śnie — wyjaśniła smutno Lusia. — Zasnął i się nie obudził.

To była zła noc. Księdzu Plamie nie wypadało wierzyć w upiory i złe duchy błakające się na krzyżówkach, a jednak mijając stary, powalony krzyż, którego jakoś nikomu z Poczekajkan nigdy nie przyszło do głowy podnieść, przeżegnał się jak zabobonna kobiecina, owinął się szczelniej płaszczem i przyspieszył kroku. Z daleka wabiło ciepłe przyjazne światło Pat-ryseiny kuchni i tam właśnie się udawał po długiej wieczornej wędrówce: na malinową herbatkę zakrapianą odrobiną rumu.

Zimny kwietniowy wiatr zajączał między ramionami krzyża, światełko zgasło. Plama przyspieszył kroku. Nagle spod Chatki ruszył samochód. Minał księdza, mało go nie potrącając, i zniknął w ciemnościach. Zaraz potem ujrzał Patrycję.

— Zatrzymaj go, Plamo! Zatrzymaj! Łukasz!!! — krzyknęła z taką rozpaczą, że Plamie niemal serce pękło. — Patrycjo, na Boga! (wybacz mi, Ojcze), co się stało?! — Odjechał... — Patrycja spojrzała na Plamę oczami tak smutnymi, jakby Łukasz odjechał na zawsze.

— Ej, dziewczyno— Plama klepnęła Patrycję w plecy, aż tamta straciła oddech — wróci za parę dni, jak to on. Życ bez ciebie nie może...

Patrycja pokręciła głową.

— Uderzyłam go. Uderzyłam Łukasza! — przytknęła wierzch dłoni do ust i zagryzła wargi, by nie wybuchnąć rozpaczliwym łkaniem.

— Widocznie zasłużył — burknął Plama. Znów zaprzeczyła.

— To ja. To trochę moja wina. Ja... Powinnam go przeprosić, ale... nie zrobię tego, bo...

— Jeśli zawiniłaś...

— Nie! Jak on śmiał! — wybuchnęła gniewem. — Jak śmiał uwierzyć w te podłe... — Urwała. Ramiona przygiął ciężar nie do uniesienia. Bez słowa minęła Plamę i po- wlokła się w stronę Chatki. Ruszył za nią, mając nadzieję, że w zaciszu przytulnej kuchni Patrycja zrzuci ten ciężar z serca, choć trochę, ale ona zatrzymała się przy furtce. — Łukasz odszedł.

Ksiądz nagle spowaźniał, czując, że między tym dwoj- giem zakochanych w sobie bez pamięci ludzi wydarzyło się coś bardzo złego. Stał obok Patrycji bez słowa, bez jednego gestu, czekając na jej zaproszenie, ale Patrycja po raz pierwszy nie uchyliła gościnnych podwoi Chatki, nie zaprosiła przyjaciela na herbatę i drożdżowe ciasto z masłem. Stała, wspierając się ostatkiem sił o furtkę, i milczała ze zwieszoną głową.

— Dopóki znów mu nie zaufam, dopóki nie nabiorę znów tej pewności, jaką miałam przez ostatnie sześć lat... on nie przestąpi progę mojego domu.

— To jest wasz dom— szepnął Plama.

— To b y ł nasz dom.

Patrycja, nie żegnając się, przeszła przez próg i zniknęła za drzwiami Chatki. Światło w kuchni zgasło nagle, a księdza otoczyła ciemność i tamto złe, bardzo złe przecucie. Powlókł się noga za nogą w kierunku pleba- nii... Nie powinien się wtrącać w prywatne życie Patrycji i Łukasza, ale był przecież nie tylko proboszczem i spo- wiednikiem, był ich przyjacielem! Zdecydowanym ges- tem sięgnął po komórkę i wybrał numer. Długo czekał, aż po drugiej stronie odezwie się ten, z którym pragnął odbyć krótką męską rozmowę nad kieliszkiem wiśniowej nalewki.

— Słucham? — zabrzmiał wreszcie odpychający głos Łukasza i wszystkie mądre słowa, którymi ksiądz za- sypywał mężczyznę w myślach, uwięzły Plamie w gardle. — Słucham! — powtórzył tamten, a Plama niemal widział, jak zaciska palce na telefonie i mruży wściekle oczy.

— Ma mi ksiądz coś do powiedzenia? Jeśli tak, to szybko, bo prowadzę!

— Chciałem zapytać — zaczął Plama, równie nie- szczęśliwy jak Patrycja — co się stało...

Usłyszał po drugiej stronie pisk opon i przekleństwo. I nagle przeraził się, że jego interwencja w tę niedobłą noc może przynieść jeszcze więcej nieszczęścia.

— Ją niech ksiądz pyta — głos Łukasza był zimny, choć Plama czuł pod tym chłodem taką samą rozpacz, jaka ogarnęła Patrycję. — Niech ksiądz zapyta moją żonę, co robiła... — urwał. — Proszę wybaczyć, ale muszę znaleźć jakiś hotel, skoro straciłem dom.

Rozłączył się.

Plama poczuł, jak ramiona przygarbią mu piąty krzyżyk, który za parę dni miał zacząć. Wszedł po paru schodkach, zapalił światło w zimnej kuchni, nastawił czajnik i usiadł ciężko za stołem, pograżając się w rozmyślaniach. Patrycja uderzyła Łukasza i wyrzuciła go z domu. Pewnie miała ku temu powody. Może... może oglądała ostatni odcinek „Dwóch serc”, w którym Łukasz... No tak, Łukasz zdradza. Ale przecież nie Patrycję! Owszem, miał zapewne i sposobność, i chętnie po temu, ale... nikt o zdrowych zmysłach, kto widział tych dwoje razem, nie zwątpiłby w miłość tego mężczyzny do tej właśnie, nie żadnej innej kobiety! Chociaż... miłość miłością, a grzech na człowieka czyha za rogiem...

Czajnik rozpoczął swój świdrujący zaśpię w. Ksiądz wstał, zdjął go z ognia, zalał pachnący napar, by za chwili — z powrotem zasiąść za stołem i nad szklanką herbaty z rumem zatopić się w rozważaniach nad słabością duszy. Godzinę później wciąż snuł te niewesołe rozważania, choć szklaneczka od dawna była pusta, gdy...

Drzwi rąbnęły o ścianę. Ksiądz poderwał się z krzykiem. Jego oczy rozszerzyło przerażenie. Patrzył na stojącą w progu Patrycję tulącą z całych sił maleńkie nieruchome ciało i... nie był w stanie się poruszyć, ani wypowiedzieć słowa. To ona przerwała tę straszną ciszę, i wyciągając ku księdzu ręce ze zwisającym bezwładnie chłopczykiem, wyszeptała:

— Ratuj moje dziecko.

Następne minuty i godziny Plama pamiętał jak przez mgłę. Rozpaczliwe próby reanimacji maleństwa, choć od pierwszej chwili wiedział, że dziecko nie żyje. Narastający jęk karetki. Ciszę między nim a Patrycją, przerwana nagłym wtargnięciem lekarza i sanitariuszy. Zamęt. Krzyki ludzi ze wsi, którzy nadbiegli ze wszystkich stron, zaciekawieni, przejęci i nagle milknący. A potem znów tę ciszę narastającą z każdym uderzeniem serca. Przerwaną rwącym się głosem lekarza:

— Pani Patrycjo... bardzo mi przykro...

Cisza. Pustka, która nagle wypełniła kuchnię. Oczy wszystkich zwrócone ku kobiecie klęczącej nad ciałem synka, tak malutkim, tak drobnym... I jej spojrzenie, które z trudem odrywa od dziecka i przenosi na księdza. I to Plama — nie Patrycja — czuje, jak świat spada nań całym ciężarem, gniotąc piersi nieznośnym bólem.

Nim straci przytomność, usłyszy jeszcze jej szept: — Gdzie jest teraz twój Bóg?

Odzyskał przytomność parę chwil później. Sanitariusz pochylał się nad księdzem, badając puls, ale cały czas zerkał gdzieś w bok. Plama z trudem odwrócił głowę w tamtym kierunku: obok przykrytego białym prześcieradłem dziecka leżała Patrycja.

— Na trzy! — krzyknął lekarz. Podłożyli ręce i przenieśli kobietę na nosze.

Ludzie rozstąpili się w milczeniu.

Sanitariusz ponownie pochylał się nad księdzem, ale Plama odgonił go machnięciem ręki i usiadł, patrząc bezmyślnie przed siebie. Tam gdzie leżał martwy synek Patrycji. Wstał ciężko i ukląkł przy dziecku. Wszyscy zgromadzeni w kuchni uczynili to samo. W tej przerażającej ciszy, nawet nie ciszy, próżni, modlili się bez słów do momentu, gdy podjechała druga karetka, aby zabrać Bartusia. Wtedy dopiero ktoś zapytał cicho: — Kto powie Łukaszowi?

Nikt się nie odważył. Plama pokręcił tylko głową, ocierając mokre policzki, i do dziś nie wie, od kogo Łukasz dowiedział się o śmierci synka.

Poczekajka widziała niejedną tragedię. A to się ktoś wieszał, a to przepadał z żoną sąsiada, a



to czyjaś córka wróciła z wielkiego świata „zaciążona”. Ot, życie. Ludzie żyli tu prosto, znosząc i radość, i smutek ze stoickim spokojem. Bóg dał, Bóg wziął.

Jednakże to, co spotkało Patrycję i Łukasza, wstrząsnęło wszystkimi.

Wieś ucichła.

Ludzie pozamykali się w domach, nie chcąc ani gadać, ani słuchać gadania.

Wszyscy wiedzieli, że przed śmiercią dziecka coś zaszło między doktorową a jej mężem. Anielka nie została wysłana w noc do Sołtysiny bez powodu. I w inny czas z lubością oddawaliby się ploteczkom na ten temat, wierząc gorąco, że Łukasz szybko wróci do żony, a Patrycja znów będzie się uśmiechać. Teraz jednak sąsiedzi kochający mieszkańców Chatki ukryli się przed bólem i rozpaczą w czterech ścianach własnych domów, szukając pociechy w bliskości małżonków i dzieci. To, co dotknęło tamtych dwoje, mogło przecież wydarzyć się każdemu z Poczekajkan.

Dzień pogrzebu, kiedy musieli wyjść, spotkać sąsiadów, a przede wszystkim zrozpaczonych rodziców, zbliżał się z każdą godziną tej strasznej ciszy.

I nadszedł.

Ktoś udekorował kościół i cmentarzyk białym kwieciem. Kto inny, na prośbę Plamy, zamówił i opłacił białą trumienkę. Łukasz nie był w stanie o tym myśleć — jeśli w ogóle w Poczekajce był, Patrycja zaś nie opuszczała dziecka. Nieżyjącego dziecka. Anielką zajmowała się Sołtysina. Pożegnać Bartusia przyszła cała wieś i okoliczni mieszkańcy. Znów w ciszy, zbici w milczące grupki. W pewnej chwili na cmentarnej ścieżce pojawił się mężczyzna. Ludzie obejrzeli się na nieznanego bez zainteresowania. I nagle...

— Ależ to pan Łukasz! — ktoś krzyknął zduszonym głosem.

Cała wieś spojrzała na nadchodzącego mężczyznę... Mąż Patrycji, jeszcze parę dni temu najprzystojniejszy z polskich aktorów, teraz wyglądał na człowieka umierającego. Schudł tak, że czarny garnitur zwiślał z przygarbionych ramion, cienie pod oczami i przyprószone siwizną włosy nadawały mu wygląd starca. I ten pusty wzrok człowieka, dla którego nie ma już nadziei... Plama otrząsnął się pierwszy. Ruszył ku Łukaszowi z wyciągniętymi rękami. Chciał ująć przyjaciela za ramiona, ale tamten uchylił się, jakby dłonie księdza parzyły. Plama cofnął się zmartwiony.

— Łukaszu... — spróbował raz jeszcze, ale mężczyzna pokręcił głową i stanął samotnie przy małym grobku, pustym i strasznym. Wbił oczy w wykop. Zamrugał. Po policzkach spłynęły łzy. Ludzie odwrócili wzrok. Kobiety zapłakały cicho. Mężczyźni zwiesili głowy.

Warkot samochodu, rosnący z sekundy na sekundę sprawił, że łzy nagle obeschły, znów zapadła cisza, a oczy wszystkich zwróciły się ku bramie. Czy to Patrycja z Bartusiem?

Alejką nadchodziła ku zebrany Berenika i Dziadek Aureliusz. Chcieli podejść do Łukasza, ale ksiądz zatrzymał ich gestem dłoni. Stanęli więc przy nim. Następnym samochodem przyjechali Hanka z Gabrielem. Oni również próbowali podejść do stojącego samotnie, pogrążonego w rozpacz ojca i również zostali zatrzymani.

Teraz czekano tylko na Patrycję.

Wysiadła z karawanu udekorowanego białymi stokrotkami, a z piersi wszystkich obecnych wyrwał się jęk niedowierzania. Jeżeli Łukasz wydawał się wrakiem człowieka, Patrycja była martwa za życia. Chudą, przezroczystą dłonią odgarnęła kosmyk włosów ściętych tak krótko jak nigdy dotąd i zaciskając zęby — nie wiadomo, czy z hamowanego płaczu, czy z wysiłku — uniosła wzrok. Widok wielkich oczu wypełnionych jedynie rozpaczą i nienawiścią przeraził zebranych. A najbardziej księdza. Zdecydowanym krokiem podszedł do kobiety, ujął ją pod łokieć i rzekł do dwóch mężczyzn w czarnych garniturach:

— Zaczynamy. A ty chodź, kochana.

— Poczekam na synka — odpowiedziała zduszonym głosem. Gdy Plama mimo to pociągnął ją

za sobą, po- wtórzyła: — Poczekam na dziecko.— Ujęła ramię księ- dza w dwa palce i zostawiając na tym ramieniu dwa siniaki, wyswobodziła się. W tym momencie mężczyźni, niosący trumienkę zrównali się z nią. Patrycja dotknęła dłonią białego drewna i tak, z ręką gładzącą ostatnią kołyskę jej synka, ruszyła ku mogiłce. Łukasz, do tej pory tkwiący w bezruchu, zrobił krok w jej kierunku, ale zatrzymał się, napotykając tamto spojrzenie. Nienawiść była przeznaczona dla niego.

Stanęli rozdzieleni trumną dziecka.

Plama próbował rozpocząć nabożeństwo, ale zapłakał po pierwszych słowach. Zastąpił go wikary.

A potem... Potem opuszczono trumienkę do grobu, a Patrycja upadła. I już nie wstała.

Jezu, Łukasz, co z tobą, bracie?! Tak bardzo ją kochałeś! — Patryk potarł piekące od niewyspania i łez oczy, zjeżdżając z zamojskiej przelotówki na drogę do Poczekaj ki.

Pamiętał dzień ślubu, na który został zaproszony jako brat drużny, ale tak naprawdę zaproszenie wysłał Łukasz — jego najdroższy i jedyny przyjaciel.

Pamiętał Patrycję sunącą środkiem kościoła w cudnej sukni i welonie okrywającym ją od stóp do głów, ale to nie suknia i nie welon zdobiły pannę młodą, lecz taka miłość do czekającego pod ołtarzem mężczyzny i takie szczęście, jakiego Patryk chyba nigdy nie widział u żadnej oblubienicy.

Pamiętał Łukasza, który patrzył na swą śliczną zakochaną żonę jak na najdroższy, najukochańszy podarunek— Boże, jak on tym dwojgu wtedy zazdrościł. Tej miłości, tego szczęścia...

Drogowskaz POCZEKAJKA 1 minął o czwartej rano. Powinien być nieludzko zmęczony po całonocnej podróży, ale wstrząśnięty do głębi nie czuł zmęczenia. Ręce cały czas drżały mu jak po dużej dawce kofeiny. Przed domkiem koloru serca margerytki zaparkował parę minut później. Chatka wyglądała jak wymarła. Okiennice były zamknięte. Przeszedł ścieżką do drzwi i nacisnął klamkę. Nie ustąpiła. Musiał zmącić ciszę pograżonego w żałobie domu dzwonkiem. Pod drzwiami zaskomlał pies. Patryk zadzwonił jeszcze raz.

Usłyszał na schodach kroki. Drzwi otworzyły się i Patryk stanął twarzą w twarz z Łukaszem.

Nie poznałby go, gdyby się nie spodziewał, że przyjaciel tak właśnie będzie wyglądał. Czarne, lśniące kiedyś włosy zmatowiały; oczy błyszczące niegdyś bezgraniczną miłością zgasty. Teraz przypominały dwie czarne dziury w wychudzonej, pokrytej wielodniowym zarostem twarzy. Stał w drzwiach i patrzył przez Patryka, jakby ten był powietrzem.

— Łukasz, poznajesz mnie? Mężczyzna skupił na nim wzrok.

— Poznają — rzekł obojętnie.

— Jechałem całą noc. Wpuścisz mnie do środka? Długie milczenie. Wreszcie drzwi uchyliły się szerzej.

Patryk wypuścił z ulgą powietrze i przeszedł przez próg. W sieni przywitały go dwa zaniedbane psy: Neska i Panda. Poklepał je po łbach, co przyjęły bez zwykłej wylewności.

— Możesz pościelić sobie w kuchni, nie mamy pokoju gościnnego. — Łukasz wskazał kozetkę i nim gość zdążył podziękować, ciągnął beznamiętnie: — Możesz się częs- tować tym, co znajdziesz. Nie wiem, co jest do jedzenia. Nie wolno ci otwierać okiennic, rozumiesz?! — wyrzekł z taką agresją, że Patryk aż się cofnął.

— Rozumiem. Nie otworzę.

Przez zamkniętą okiennicę próbował się właśnie prze- drzeć pierwszy promień świtu.

— Czy mogę... — To, co przed wyjazdem tutaj zdawało się proste: dotrze na miejsce, chwyci przyjaciela w ramiona, pocieszy go, potem razem spróbują uratować Patrycję — stawało się niemożliwe. — Czy mmogę zobaczyć Patrycję? — wyjąkał.

Łukasz najwyraźniej go nie poznawał, w przeciwnym razie...

— Moja żona umiera. Jeśli lubisz takie widoki, możesz ją zobaczyć.

Ruszył na górę, nie oglądając się za siebie. Patryk ze ściśniętym z przerażenia sercem ruszył za nim. W szerokim małżeńskim łóżku wyglądała krucho i bezbronne. Jak dziecko. Leżała bez ruchu, niemal przesiadująca, z zamkniętymi oczami i dłońmi maleńkimi jak u dziewczynki, ułożonymi wzdłuż ciała. Gdy podszedł do niej, wyszeptał parę słów powitania i ucałował nic nieważącą rękę, nie zareagowała.

— Napatrzyłeś się? — usłyszał za sobą głos Łukasza. Drgnął jak rażony prądem.

— Gdzie jest Anielka? — wyszeptał, nie odrywając oczu od spokojnej, nieruchomej twarzy kobiety.

— Nie wiem.

Patryk w pierwszej chwili nie zrozumiał. W następnej odwracał się na pięcie.

— Jak to nie wiesz? Pytam, gdzie twoja córka! — A ja odpowiadam: nie wiem. Zajmują się nią ludzie ze wsi.

— Łukasz, na miłość boską... — zaczął oburzony, ale tamten przerwał mu sycząc:

— Ty mi tu z miłością boską nie wyjeżdżaj, co? Boga nie ma w tym domu!

Patryk umilkł, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a Łukasz z każdym zdaniem popychał go ku schodom.

— Jeżeli po to przyjechałeś, by mi truć o miłości Boga i zaniedbywanym dziecku, zjeżdżaj. Jeżeli się napatrzyłeś na ludzkie nieszczęście wystarczająco, zjeżdżaj. Jeżeli chcesz mi powiedzieć, jaki to ze mnie szczęściarz, że została mi żona i córka, spier...

— Nie — przerwał mu spokojnie. — Zostaję. Ty ratowałeś mi życie pół roku. Ja nie poddam się po piętnastu minutach. Pójdę się przespać. Ty też się połóż. Później pogadamy. Albo pomilczymy.

Z niespokojnego snu, przeplatanego koszmarami o umierających dzieciach, wyrwał go brzęk naczyń, a potem muśnięcie ręki na policzku. Otworzył oczy i poderwał się. To była rączka, nie ręka.

Drobna, szczupła dziewczynka stała przy kozetce. W bladej twarzyczce, okolonej czarnymi pasmami włosów, płonęły migdałowe oczy. Poznał Anielkę, mimo że widział ją tylko raz, trzymając do chrztu. Poznał i w pierwszym momencie pomyślał: Jakie to piękne dziecko! Bo Lusia była urocza, jak to mała dziewczynka, natomiast stojące przed nim zjawisko było małą elfią księżniczką. Byłoby, gdyby nie oczy. Takie spojrzenie miały sarniątka przynoszone do leśniczówki: śmiertelne przerażenie, zagubienie i brak nadziei — to widział w oczach zwierzątek i to widział teraz w oczach chrestnej córeczki. — Dzień dobry, wujku Patryku — odezwała się cichutko. — Dzień dobry, skarbie. Wiesz, kim jestem? — Ucieszył się, że Łukasz jednak dbał o córkę na tyle, by przedstawić jej gościa. Uśmiech znikł z twarzy mężczyzny, gdy mała pokręciła głową:

— Nie wiem. Śniło mi się, że będzie na mnie czekał wujek Patryk. To ty, prawda?

— Tak, to ja, złotko. Mogę cię uściskać? Jestem twoim ojcem chrzestnym. Drugim tatą.

Kiwnęła główką, więc objął ciało dziewczynki będącej w wieku Lusi, ale chyba dwukrotnie od tamtej drobniejszej. Mała pozwoliła się przytulać, ale nie podniosła rąk, nie odwzajemniła uścisku.

— Przyjechałeś po mnie?

Postawił ją z powrotem przed sobą. Skąd to dziecko tyle wie?

— Jeżeli tylko twój tatuś się zgodzi, a ty zechcesz... tak, chcą cię zabrać do mojej leśniczówki. Do Lusi i Adasia.

Śmiertelne przerażenie ustąpiło na moment miejsca radości, ale to był tylko jeden błysk. Błysk zgasł. Ramiona opadły.

— Tatusia już nie obchodzę...

— Nie mów tak, dziecko!— przerwał jej równie przerażony. — On bardzo cię kocha!

— Posłuchaj, wujku — tym razem ona mu przerwała spokojnym, przyciszonym tonem— tata musi czuwać przy umierającej mamusi. W Domu Śmierci, tak teraz mówią na Chatkę, nie ma miejsca dla mnie.

— Kto tak mówi?!— Rozgniewała go bezmyślność ludzka.— I kto mówi, że twoja mama umiera? — Ludzie — ucięła.

— To ja ci mówię, że jest bardzo chora, ale może wyzdrowieć!

Pokręciła główką.

— Byłem tak samo chory jak ona i wyzdrowiałem! Po raz drugi w oczach dziecka pojawiło się coś jeszcze. Maleńka, nieśmiała iskierka nadziei.

— Naprawdę, wujku? Byłeś tak samo chory i nie umarłeś?

Przytaknął.

— I wiesz, kto mnie uratował? Twój tatuś!

— Naprawdę?

— Tak. A skoro raz mu się udało, to uda się raz jeszcze. Tylko musimy dać mu czas. — Anielka potakiwała każdemu jego słowu. — Dlatego cię zabieram: nie po to, żebyś nie patrzyła na umierającą mamę, ale żeby twój tata mógł ją ratować, spokojny o ciebie. Zrozumiałaś?

Kiwnęła główką.

Na schodach zadudniły ciężkie kroki. Po chwili ksiądz Plama zszedł do kuchni. Patryk pamiętał go jak przez mgłę jako jowialnego, pełnego życia mężczyznę, który nie tylko znajdował czas dla parafian, ale był też kierownikiem hodowli w zoo, no i serdecznym przyjacielem Patrycji. Teraz z jowialnego mężczyzny został cień. Jak ze wszystkich w tym domu.

— Nie chciałem pana budzić — zaczął na widok Patryka. — Proszę wybaczyć, ale nie kojarzę...

Patryk wstał, okrywając się kołdrą, nie spodziewał się zastać dziecka po przebudzeniu i miał na sobie tylko slipy.

— Jestem Patryk Jeziorowski, brat Hanki, ojciec chrzestny Anielki.

— A tak,przepraszam. Już pamiętam. Zrobię panu herbatę i jakieś śniadanie. Przed chwilą zmusiłem Łukasza, by coś przełknął. Położył się spać, więc teraz ja będę tu gospodarzył przez parę dni. Otworzymy okienko, kochanie?— zwrócił się do dziewczynki.

Patryk, niebardzo rozumiejąc ostatnie zdania, patrzył, jak mała kręci głową i szarpie przerażona za rękaw sutanny.

— Nie wolno, Plamo!

— Łukasz zabronił otwierać okna! — Patryk sprzeciwił się ostro. Czy ten ksiądz nie widzi, jak mała się boi ojca? — Właśnie, tatuś zabronił, bo dusza mamy ucieknie! Patryk jak stał, tak usiadł. Anielka nie bała się zakazu, bała się, że Patrycja odejdzie...

Po raz drugi tej doby wpił palce we włosy. Przerastało go to cierpienie, ten strach i ten obłęd. Chciał stąd jak najszybciej odejść, wrócić do swego ułożonego świata, choć teraz przewróconego do góry nogami przez dwójkę dzieci, odjechać i nie oglądać więcej przerażenia w oczach sześcioletniej dziewczynki i śmierci w oczach przyjaciela, brata.

Ksiądz tłumaczył dziecku, że dusze nie uciekają przez okna, ale mała trzęsła się na całym ciele, zagradzając mu drogę i rozkładając wątle ramionka.

— Trzeba przewietrzyć dom, skarbie...

— Będzie ksiądz wietrzył innym razem — przerwał mu Patryk gniewnie, przygarniając Anielkę do siebie. — Łukasz wreszcie zasnął. Nie wiem, na jak długo — zaczął tłumaczyć ksiądz. — Mam mało czasu, żeby ogarnąć dom, psy, dziecko...

— Jak to?— Tylko tyle zdołał wykrztusić.

— Łukasz nie śpi całymi dniami i nocami. Czuwa przy Patrycji, by być przy tym, jak... Czuwa przy niej. Gdy w końcu pada, niemal tracąc przytomność, ja i Sołtysina sprzątam dom. Inaczej wyrzuciłby nas. Nie znosi niczyjej obecności, rozumie pan?

Tak, teraz rozumiał. Najwyraźniej Łukasz tracił zmysły... — Dobrze— rzekł w końcu. — Proszę spokojnie sprzątać, my pójdziemy na spacer. Pójdziemy? — zwrócił się do dziecka. Spojrzało nań nieprzekonane. — Weź- miemy ze sobą psy i wykąpiemy je w rzece. Będą nam wdzięczne. Wybiegają się porządnie, a ty razem z nimi. I wiesz co?— Dziewczynka zastygła w oczekiwaniu.— Do Zmyślonej zabierzemy Neskę i Pandę-psy. Co ty na to?

W odpowiedzi zarzuciła mu rączki na szyję i ucałowała nieogolony policzek.

Ksiądz patrzył na to z niedowierzaniem, ale odezwał się wreszcie:

— Anielka, dziecinko, idź przywitać się z mamusią, a przez ten czas twój wujek ubierze się i zje śniadanie. Dziewczynka posłusznie zniknęła na schodach. Patryk ubrał się szybko. Tymczasem ksiądz zrobił mu kubek wonnej herbaty i postawił przed nim talerz z kanapkami. — Zabiera pan Anielkę? Patryk kiwnął głową.

— Jeśli Łukasz pozwoli.

— Jemu jest wszystko jedno.— Ksiądz wzruszył ramionami, a Patryk zakrztusił się kęsem kanapki. Z jakim spokojem duszpasterz o tym mówi, nie powinno go to bulwersować? Plama odczytał widać te myśli, bo dodał: — Łukasz czeka tylko na śmierć Patrycji, potem zrówna ten dom z ziemią i skończy ze sobą.

Ręka z kanapką sama opadła.

— Skąd... skąd ksiądz to wie?

— On nie robi z tego tajemnicy. Wszyscy wiedzą, że Łukasz śmierci Patrycji nie przeżyje.

— Ma jeszcze córkę!

— Wiesz, przepraszam, że przechodzę na „ty”, ale ja tu ze wszystkimi po imieniu jestem. Nie byłeś tu podczas tamtych dni. Nie widziałeś i nie słyszałeś, co tu się działo. Myślę, że Patrycja miała rację, rzucając mi to w twarz: tak wygląda piekło.

— Proszę opowiedzieć — rzekł cicho Patryk. — Jeżeli mam im pomóc, muszę wiedzieć...

Ksiądz potarł dłońmi twarz. Wspomnienie tamtych godzin i dni należało do najgorszych w jego życiu. — Tamtej nocy coś złego zaszło między nimi dwojgiem. Łukasz odjechał wzburzony, Patrycja wybiegła za nim, zostawiając śpiące dziecko. Gdy wróciła... — Plama otarł łzy, cisnące się do oczu. — Już nie żyło.

Patryk patrzył tępym wzrokiem w kubek.

— Czy dziecko... Anielka... była przy tym? Plama pokręcił głową.

— Sołtysina się nią zajęła. Zanim próbował...

— Co próbował?! Plama się zawahał.

— Kim dla nich jesteś?

— Jestem... byłem przyjacielem. Bratem.

— Mogę więc ci zaufać?

— Możesz. Łukasz uratował mi kiedyś życie. Ja oddałbym za niego swoje.

— On wtedy próbował... — Plama zamknął na chwilę oczy, starając się opanować. Tylko zaciśnięte szczęki świadczyły o ciężkim przeżyciu. — Dobrzy ludzie pilnowali Łukasza. Zdążyli go odciąć.

— O Chryste... Milczeli długie chwile.

— Musiał bardzo kochać synka... — szepnął Patryk. — Nie dlatego to zrobił. Patrycja zabiła go słowami. Po raz niewiadomo który ręka z jedzeniem opadła. — „Wybiegłam za tobą. Zostawiłam dziecko, by ciebie zatrzymać. Gdyby nie ty, Bartuś by żył”. To właśnie wyrzucała Łukaszowi, to powtarzała mu bez przerwy: zabiłeś naszego synka!

— Rany boskie!— Teraz Patryk przycisnął dłoń do oczu. — Usłyszeć takie oskarżenie...

— Potem było jeszcze gorzej. Bo wiesz, Patrycja osza-  
łała. Gdy przyjechała Hanka, usłyszała  
od Patrycji, że to ona zabiła Bartusia chorą zazdrością. Gdy Hania błagała przyjaciółkę o  
opamiętanie...

Księdzu stanęła przed oczami tamta rozmowa. I Hanka, krzycząca:

— Patrycjo, kochanie, jak możesz tak mówić! Kocham ciebie, kochałam twojego synka! Nigdy  
źle wam nie życzyłam. Patrycjo... Masz jeszcze drugie dziecko. Anielkę. To szczęście...

— Szczęście?! — W oczach Patrycji obłęd mieszał się z furią. — Jeżeli to takie kurewskie  
szczęście, to życzę śmierci twojej Lusi! Zostanie ci jeszcze Adaś na otarcie łez!

— Z Gabrielem rozmawiała w cztery oczy — ciągnął Plama.— Kazała mu wejść na górę, tam  
musiała mu powiedzieć coś równie strasznego, a na koniec pchnęła go na szklaną etażerkę.  
Gdy wpadliśmy do pokoiku, był cały we krwi, a Patrycja patrzyła na niego z tą zimną,  
obłąkańczą nienawiścią, tak jak patrzyła na każdego, kto przychodził mówić rozpaczającej  
matce, jakie to ma szczęście. Jaką to jest cholerną szczęściarą, bo ma i drugie dziecko, i męża,  
i domek...

Plama przerwał z goryczą, bo on też próbował tak pocieszać Patrycję.

— Myślę, że resztkami sił czekała jednak na przyjazd tych dwojga: Bereniki z Dziadkiem.  
Byłem wówczas tutaj, w kuchni. Zresztą ja wtedy ciągle tu byłem, pilnując ich obojga. Ledwo  
stanęli w sieni, zeszła Patrycja. Na ich widok zaczęła się śmiać, a ty nie chciałbyś, chłopie,  
usłyszeć takiego śmiechu. Widzisz ten nóż wbity we framugę? — Patryk spojrział tam, gdzie  
wskazywał ksiądz. Zwykły kuchenny nóż. — Przynieś mi go. Wstał, nic nie rozumiejąc, ale  
posłusznie podszedł do drzwi i chwycił za rękojeść. Pociągnął. Nóż ani drgnął. Patryk szarpnął  
w górę, w dół. Nic. Po paru próbach poddał się, wracając do stołu.

— Gdy Patrycja przestała się śmiać, wzięła ten właśnie nóż do ręki i powiedziała tamtym  
dwojgu, że jeśli kto- kolwiek z Kręgu przekroczy próg tego domu, wbije mu ten nóż w serce. Że  
wiedźmy zniszczyły życie jej i tym, których kochała, że każą sobie za spełnione marzenia  
płacić śmiercią dzieci i że ona je przeklina. I przeciągnęła sobie ostrzem po dłoni, po czym  
wbiła nóż we framugę. Berenika zachwiała się, jakby dostała prosto w serce. Dziadka zabrało  
pogotowie. Krąg przestał istnieć. — Wiesz, co mi powiedziała? — Plama urwał na chwilę.  
Podniósł na Patryka nieskończenie smutne oczy. — Że siedzę tu po to, by patrzeć, jak ona  
pokutuje za grzechy. Że cieszę tym oczami. Wtedy raz jeden podniosłem na nią głos. I kazałem  
Patrycji... — Plama pokręcił głową, nie mogąc wydobyć słów. — Kazałem jej modlić się o  
wybaczenie, bo grzeszy...— Patryk, wstrząś-

nięty do głębi, zdobył się tylko na kiwnięcie głową. — A ona roześmiała mi się w twarz.  
Powiedziała, że chce grzeszyć, że będzie grzeszyć, bo mając do wyboru Boga, który odbiera  
matkom dzieci, wybiera szatana, bo ten już nic gorszego jej nie robi. Ale tuż przed pogrzebem  
przyszła do mnie, żeby się pożegnać. I powiedziała mi — księdzu załamał się głos — że to jej  
wina, że to ona, matka, opuściła umierające dziecko. Że zasłużyła na potępienie i że nigdy nie  
spotka maleństwa, bo ono poszło do rajów, a ona trafi prosto do piekła za to, co zrobiła  
Łukaszowi, Anielce, Hance, wszystkim, którzy ją kochali... Ksiądz umilkł. Milczał i Patryk.

— Teraz jest spokojnie.— Odezwał się Plama po długiej chwili. — Możesz się niczego nie  
obawiać. Dopóki Łukasz śpi, ja będę zajmował się Patrycją: trzeba ją myć, przebierać,  
zmieniać kropiółki. Sołtysina sprzątnie dom, przewietrzy, jeśli zabierzesz dziecko na spacer...  
Gdy Łukasz się ocknie, wszystko się zmieni i dobrze byłoby dla ciebie i Anielki, byście byli  
daleko stąd.

— Ile to potrwa?

— Czuwa przez tydzień, czasem dłużej, by paść ze zmęczenia na dwa, trzy dni.

— Jak długo człowiek może tak funkcjonować i nie oszaleć?

— Nie wiem. Wiem, że on już jest na pół szalony, więc wolałbym, żeby was nie było, gdy...

Patryk pokręcił głową.

— Muszę z nim porozmawiać, nim wyjadę. Po to tu jestem: by uratować kogo się da.

— Uratuj choć dziecko z całej tej nieszczęsnej rodziny. — Nieszczęsnej. — Patryk zaśmiał się gorzko. — A wszyscy tak im właśnie szczęścia zazdrościli... Wstał, dopijając zimną herbatę, i poszedł na górę. Łukasz spał w pomiętym brudnym ubraniu. Anielka siedziała po stronie Patrycji, rozczesując włosy mamy długimi pociągnięciami szczotki. Mówiła coś przy tym cicho. Patryk czekał chwilę, aż zaciśnięte gardło przepuści słowa.

— Hej, koleżanko — rzekł półgłosem — jesteś gotowa? Uniosła poważne oczy i skinęła głową. Zabrali jeszcze szampon dla psów i wyszli na zalaną słońcem drogę Poczekajki. Mała wsunęła rączkę w dłoń mężczyzny, bez słów zacisnęła palce na jej kruchych paluszkach i obejrzał się na dom. Żółtą Chatkę zwaną teraz Domem Śmierci.

— Wujku Patryku, czy mogę przyjść jutro? — zapytała Anielka, gdy rozstawali się wieczorem, po całym dniu spędzonym razem. Mała oprowadziła go po wsi i okolicach. Pokazała wszystkie znane mu z powieści miejsca. Przed zapadnięciem zmroku po dziewczynkę przysła milcząca Sołtysina.

— Nie tylko możesz, ale musisz! — wykrzyknął z udanym oburzeniem. — Kto mnie oprowadzi po zoo? — Pójdziemy do zoo mamusi? — zrobiła okrągłe oczy. Na Boga, czy przez ponad miesiąc to dziecko spędzało czas tylko w tym domu, na plebanii i u obcych?! Powstrzymał się z komentarzami, przytakując. — Przyjdę więc rano i cię obudzę jak dzisiaj. Ale nie bądź nagi. Zaczerwienił się po cebulki włosów, a słuchająca tego Sołtysina aż sapnęła, chwyciła dziewczynkę za rękę i pociągnęła za sobą. Wyszły, nim zdążył krzyknąć za nimi „do widzenia”.

Siadł na kozetce, czując, jak jest wykończony. Nie fizycznie — spacerować z Anielką i hasającymi dookoła psami mógł całe dnie — lecz psychicznie. Czekala go najtrudniejsza rozmowa w życiu, a on nie był na nią gotowy po tym, co tu usłyszał...

Krząający się na górze Plama zszedł właśnie, by przygotować sobie i gościowi kolację. Zwykle sypiał na kozetce, dopóki Łukasz się nie ocknął, ale teraz jedyne wolne miejsce do spania w tym maleńkim domku było zajęte przez przybyłego znikąd dziwnego mężczyznę, który mógł uczynić wszystko albo nic. Już zrobił wiele: po raz pierwszy od tygodni córeczka Patrycji pozwoliła się komukolwiek przytulić, wyszła na spacer, trzymając kogoś za rękę — sama z własnej woli. Garnęła się całym spragnionym miłości i uwagi sercem do obcego płowowłosego olbrzyma...

— Mogę do nich zajrzeć? — Głos tegoż mężczyzny wyrwał Plamę z rozmyślań.

— Nie musisz pytać o pozwolenie. Masz większe prawo tu przebywać niż ja.

Miałbym, sprostował Patryk w myśli, gdybym nie wbił bratu noża w plecy.

Łukasz spał tak, jak zostawili go rano. Z jedną ręką pod nieogolonym policzkiem, z drugą zaciśniętą na dłoni Patrycji.

Patryk przeszedł cicho na drugą stronę łóżka i klęknął przy leżącej nieruchomo kobiecie. Trzydzieści lat temu on leżał tak samo. Uciekł przed cierpieniem nie mniejszym niż Patrycji, tak samo daleko. I pamiętał każdy dzień i każdą noc z tamtego cierpienia, mimo tych trzydziestu lat. — Patrycjo droga — ujął dłoń kobiety i przytknął do ust — jesteś tutaj obok i czekasz, aż pozwolimy ci odejść. Aż on, Łukasz, pogodzi się z twoją śmiercią i uwolni cię od cierpienia. Ale, kochana, zostań. Zrób to dla swojej córeczki, która tak strasznie za tobą tęskni i tak bardzo cię kocha. Nie sprawiaj jej tego samego bólu, który ty teraz czujesz. Wiesz, kim jestem. Wiesz, że znam twój ból, oszczędź go Anieli. Oszczędź też Łukasza. On za tobą pójdzie, ale... Pozwól mi cieszyć się odzyskanym bratem. I tobą. Wróć do nas, Patrycjo, jeśli w twoim sercu została choć odrobina miłości.

Przytknął jej dłoń do czoła i modlił się długo, klęcząc. Nagle uniosł głowę. Ciało kobiety

pozostało nieruchome, ale po policzku spływała powoli łza.

Łukasz obudził się następnego dnia wieczorem, gdy Anielka powędrowała do patrzącej na Patryka spode łba Sołtysiny, Plama pożegnał się i ruszył przygarbiony w stronę plebanii, a Patryk, zmęczony chyba jeszcze bardziej niż dzień wcześniej, wszedł na górę, by rzucić okiem, czy wszystko w porządku i porozmawiać z Patrycją. Wiedział, wiedział dobrze, że kobieta słyszy i rozumie każde słowo, że stoi obok swego nieruchomego, na wpół martwego ciała, widzi, słyszy, czuje... I czeka. — Byłem dzisiaj z twoją córeczką w zoo — zaczął, znów klęcząc przy łóżku z jej dłonią przy czole. — W twoim zoo. Pamiętasz: „Jaga nie umieraj?”. Tęsknię tam za tobą bardzo. Nie mogli się nacieszyć Anielką. Dyrektor — twój ukochany Dyrektor — pytał, czy może cię odwiedzić. Powiedziałem, że musi. Bo ty też tęsknisz i czekasz. Wrócisz donas, prawda? Do Anielki, do Łukasza... Jesteś im potrzebna do życia. Wróć, Patrycio. Łukasz tak bardzo cię kocha. Wróć do niego...

— A ty zamilcz — rozległo się syczenie z drugiej strony łóżka.

Patryk puścił dłoń kobiety i wstał. Wstał i Łukasz, spięty jak do walki, choć nikt go nie atakował. — Jak śmiesz mówić w tym domu takie rzeczy! Jak śmiesz mącić spokój tego miejsca! Zamiast pozwolić jej spokojnie odejść...

Patryk w paru skokach znalazł się przy Łukaszu i wychał mu te słowa z powrotem do gardła. Łukasz — wycieńczony i chudy jak śmierć, nie miał żadnych szans. Poszarpał się jeszcze chwilę, by pozwolić się zawlec na dół.

— Czego chcesz? — syczał tylko, patrząc na najdroższego niegdyś przyjaciela z dziką nienawiścią. Ten w odpowiedzi wepchnął go do łazienki, pod prysznic, i odkręcił wodę. Łukasz, prychając jak wściekły kot, usiłował się wyrwać, ale Patryk był nieubłagany.

— Rozbierzesz się i umyjesz sam, czy ja mam to zrobić? Ty mnie myślesz. Pora na rewanż.

— Zrobię to sam. Wyjdz.

Patryk pokiwał głową, cisnął na ubikację czystą koszulę i spodnie, i wyszedł, na wszelki wypadek warując przy drzwiach. Nie, nie dlatego, że Łukasz mógłby wyjść tak brudny, jak wszedł, ale dlatego, że mógłby w ogóle nie wyjść.

Woda, gorąca woda, zmywająca z udręczonego ciała brud i zmęczenie, płynęła długo. Czysta koszula pachniała słońcem. Umyte włosy truskawkami.

— Siadaj i jedz — przywitał Łukasza znienawidzony głos na progu kuchni, gdy tylko wszedł, wycierając lśniące od wilgoci włosy.

Patryk po raz pierwszy odetchnął z ulgą. Niewielka to była ulga i zaledwie płomyk nadziei, ale widok przyjaciela po kąpieli, jak gdyby nigdy nic wycierającego włosy, był... normalny. Łukasz wyglądał prawie normalnie.

— Długo tu będziesz siedział, pieprzona niańko? — warknął, opadając na krzesło.

— Nie. Jutro wyjeżdżam. Jedz. Będziesz miał mnie z głowy, jak skończysz kolację i pogadamy...

— Nie ma o czym gadać — przerwał mu tamten. — Więc długo będę siedział.

Łukasz wbił wściekle spojrzenie w talerz z gorącą jajecznicą na boczku. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł ciepły posiłek, ale mimo iż zapach był kuszący, nie miał apetytu. Gardło zacisnęło się w ciasny węzeł, żołądek w pięść. Każdy kęs wciskany na siłę do ust był torturą. Upił łyk herbaty. Malinowa. Taką zawsze piła...

Odrzucił widelec tak nagle, że Patryk podskoczył. — Nie męcz mnie — w głosie Łukasza zabrzmiało błaganie. — Odejdź i daj nam spokój. Zaopiekuj się tylko dzieckiem. — Powoli spojrzął przyjacielowi prosto w oczy. Tamten równie powoli pokręcił odmownie głową. — Nie jesteś mi nic winien. Ja nie czuję żalu. Po prostu odejdź. To będzie zadośćuczynienie.

— Śmierć za życie? — zapytał cicho Patryk. — Nie ma mowy. Dokończ kolację albo cię zmuszę.



— Dob... Dobrze— zająknął się Łukasz, widząc w oczach przyjaciela taką samą determinację, jaka była zapewne w jego własnych. — Zrób mi tylko zwykłą herbatę. Tej nie... nie mogę.

Patryk skinął głową i wstał, by zaparzyć nowy kubek. Wyszli w noc. Patryk prowadził, niosąc naręczce koców. W ogrodzie na trawie rozłożył jeden i rzucił krótko: — Kładź się.

Łukasz chciał walczyć. Wiedział, że czeka go najboleś- niejsza rozmowa od śmierci Bartusia i pragnął raczej umrzeć, niż wysłuchać przyjaciela, ale nie umiera się tak łatwo — to już zdążył sprawdzić. Na życzenie nie umiera się również. To nawet Ona już wiedziała. Położył się więc, pozwalając by tamten — teraz raczej kat niż przy- jaciel — okrył go kocem i położył się obok.

Milczeli. Łukasz, drżąc na całym ciele, Patryk, patrząc w gwiazdy.

— Nie ma większego cierpienia niż ból matki po stracie dziecka i ból dziecka po stracie matki — zaczął cicho Patryk.— Trzydzieści lat temu przywieziono do sierocińca chłopca, którego mama zginęła w wypadku. Nikt się specjalnie nie przejmował, że dzieciak nie śpi, nie je, siedzi w kącie i gapi się bezmyślnie przed siebie. Któregoś dnia nie wstał z łóżka i wtedy też nikt się tym nie przejął, ale gdy leżał tak dwa dni i zmoczył prze- ścieradło, nagle coś zaczęło się dziać. Najpierw ożywiły się „ciocie” — stłukły dzieciaka. Z nich przykład wzięli koledzy. W nocy, gdy ciocie spały, zaczęli się nad małym znęcać. Wiesz jak, ale jeszcze wtedy cięto nie obchodziło. Miałeś własne problemy: najbrzydszy, najbardziej znie- nawidzony i wyszydzany dzieciak w bidulu. Wytrzymałeś trzy dni, a raczej trzy noce. W tę ostatnią rozkwasiełeś twarz trzem z pięciu oprawców, nim was rozdzielono. Zostałeś ukarany, a dzieciak leżał, patrząc w sufit. Nikt go jednak nie śmiał już tknąć — ani ciocie, którym zagroziłeś policją, ani koledzy, bojąc się o swe nosy. Następnej nocy owinąłeś dzieciaka w kołdrę, wyniosłeś go na dwór, położyłeś na trawie i mimo że nie odezwał się ani słowem, nie podziękował, nie uścisnął ręki, za- cząłeś do niego mówić. I powiedziałeś w pewnej chwili: „Twoja mama jest jedną z gwiazd. Patrzy teraz na ciebie, a ty każdej nocy, gdy tylko niebo jest bezchmurne, możesz patrzeć na nią. Którą gwiazdą jest twoja mama?”, zapytałeś. Wynosiłeś tak dzieciaka noc w noc. Pamiętasz, jak cię nazywali? Ciotą. Zbokiem. Gejem. A ty, nie zważając

na to, brałeś małego pod pachę, kładłeś go na trawie pod nocnym, letnim niebem i nawijałeś godzinami o wszyst- kim: o sobie, o twojej matce, o bidulu, o szkole, o różnych nieważnych pierdołach, pytając za każdym razem na koniec: „Którą gwiazdą jest twoja mama?”. I pewnej nocy, jak już miałeś wstawać, dzieciak odezwał się cicho: „Widzisz te trzy, w jednym rzędzie? Moja mama jest tą środkową”, a potem wyciągnął do ciebie rękę i uścisnął. O tak.

Patryk wyciągnął do Łukasza dłoń i uścisnął. Mocno. Z całych sił. Tamten odpowiedział tym samym, a potem wybuchnął szlochem. Tak straszonym, że Patryk, przy- ciskając jego głowę do piersi, a czoło do włosów, sam zaczął łkać.

Siedzieli tak niemal do świtu. Łukasz na przemian kłął i rozpaczał, a Patryk obejmował go w milczeniu. Wresz- cie, gdy Łukasz opadł z sił, Patryk znów zaczął mówić, nie wypuszczając przyjaciela z objęć.

— Ja wtedy wszystko słyszałem, widziałem i czułem. Stałem obok, patrząc, co oni ze mną robią, ale było mi to obojętne. Wiedziałem tylko, że będę tak stał, aż wreszcie odejdę do mamy. Czekałem tylko na to, do chwili, gdy nie pojawiłeś się i nie zmusiłeś, bym wrócił. Dzięki tobie, Łukasz, miałem potem normalne życie, nowy dom, fajną mamę i ojca, popieprzoną siostrę, skończyłem pierwsze studia, drugie i wyrosłem na szczęśliwego faceta. To wszystko dzięki tobie — ucałował czarne włosy przyja- ciela.— I mówię ci to w jednym celu: Patrycja wszystko widzi i słyszy. Jest tuż obok, gdy ją myjesz, karmisz, klniesz, przepraszasz. Czeka, by odejść do synka, a ty czekasz, by odeszła. Byś mógł podążyć za nią, zamiast ze wszystkich sił próbować ją zatrzymać.

— Nie wiesz, jak strasznie mnie nienawidzi — wydusił tamten.— To wszystko przeze mnie. To ja zabiłem naszego synka. Nie wiesz, jakimi słowami mnie nazwała...

— Nie wiem. Jeżeli chcesz, to powiedz. I powiedz, jakimi ty ją teraz nazywasz. Co do niej mówisz, czekając noc w noc, dzień w dzień, aż zdechnie i cię od siebie uwolni? — Łukasz szarpnął się w jego ramionach. Cios był bardzo brutalny i bardzo celny.— Łukasz, tylko od ciebie zależy, czy Patrycja wróci, czy nie — powiedział Patryk wolno i dobitnie.

— Ona nigdy nie wybaczy mi tej śmierci. Nawet jeśli odzyska świadomość, nawet jeżeli nie będzie kopią szalonej Janki, ona...

— Łukasz — potrząsnął nim — to nie jest żadna „ona"! To Patrycja! Twoja ukochana! Miłość twojego życia i twoje Wielkie Marzenie! Pamiętasz? „Ty jesteś moim Wielkim Marzeniem, Patryczo". Cała Polska zna te słowa! Już jedno istnienie uratowałeś: dziecko, które straciło matkę. Uratuj teraz matkę, która straciła dziecko. Uratuj teraz siebie i uratuj własne dziecko. Weź Patrycję na ręce, połóż na słońcu, pokaż gwiazdy. Odnajdźcie gwiazdę waszego synka. Nawet jeżeli ci się nie uda, jeżeli Patrycja umrze, niech umiera w blasku słońca albo gwiazd i w twoich ramionach. Nie w tym pieprzonym grobowcu. Rozumiesz?— potrząsnął nim. Łukasz skinął głową. — Nim wyjadę, musisz mi przyrzec, że będziesz walczył o Patrycję. Kochasz ją przecież bardziej niż wtedy mnie.

— Kocham ją nad życie. Będę walczył.

— Pozwól, by odwiedzali was ci, którzy też ją kochają. Niech słyszy ich głosy, czuje dotyk...

— Pozwolę, ale... jeżeli ona słyszała to, co do niej mówiłem... — Zwiesił głowę jeszcze niżej.

— Patrycja żyje. A ty masz resztę życia, by nosić ją na rękach i powtarzać, jak bardzo ją kochasz. — Patryk uścisnął go mocno. Łukasz odpowiedział uściskiem. Wyjechali nazajutrz. Anielka, nim wsiadła do samochodu, została, ku jej niebotycznemu zdziwieniu utulona i ucałowana przez ojca, który nawet ogolił się przed śniadaniem.

— Nie gniewasz się, że wyjeżdżam, tatuniu? — wyszeptła, patrząc swymi pięknymi czarnymi oczami w bliźniaczo podobne oczy ojca.

— Nie, serdeńko. — Łukasz wtulił twarz we włosy dziecka, jeszcze nie do końca wybudzony z długiego koszmarnego snu na jawie.— Muszę zadbać o mamusię. Gdy wyzdrowieje, wrócisz i znów będziemy szczęśliwi. — Wujek Patryk zapewnił mnie, że potrafiś ją uzdrowić. — Będę się starał, kochanie. A ty staraj się dobrze bawić z Lusią i Adasiem.

Kiwnęła główką. Zapiął pas przy foteliku i podszedł do Patryka.

— Dziękuję, bracie — rzekł krótko.

Toyota ruszyła. Mała machała do malejącego na drodze mężczyzny, aż zniknął jej z oczu. Dopiero wtedy zaczęła cichutko płakać.

Przerażony Patryk spojrział raz i drugi we wsteczne lusterko.

— Może wolisz wrócić, kochanie? Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa...

— Wolę wrócić do zdrowej mamy, wujku. Tak sobie płaczę, z żalu za tatusiem, który teraz nie ma już nikogo. — Mylisz się, dzieciaku — rzekł Patryk z całym przekonaniem.— Tatuś odzyskał właśnie i swoją Patrycję, i swoją córeczkę. Kiedy go odwiedzimy? — Tym pytaniem stał ostatnie łyżki z buzi dziecka.

Łukasz wrócił do domu. Stał w progu, przyzwyczajając wzrok do panującego wewnątrz mroku. Dookoła panowała cisza, niemącona nawet obecnością dwóch psów— Neska i Pandapies pojechały do Zmyślonej. Łatwo było pograć się z powrotem w żalobie. Czekać na śmierć-wybawicielkę, ale jeżeli Patrycja miałaby umrzeć tylko dlatego, że jej nie pomógł, że nie walczył nią, jak lata temu o obcego chłopca... Jeżeli miałaby być winien także jej śmierci...

Rąbnął okiennicami o ściany z taką wściekłością, jakby to one niosły mrok. Sypialnię wypełnił blask słońca. Promień zatańczył na twarzy kobiety. Pierś uniosła się i opadła w leciutkim westchnieniu.

Łukasz zrzucił koszulę i spodnie, wsunął się pod kołdrę i przytulił do siebie tak dobrze znane i kochane ciało żony. — Jestem przy tobie, miła moja — szepnął, zanurzając twarz w

kasztanowe włosy, a potem zasnął spokojnie, tuląc Patrycję do siebie, jakby ani śmierć, ani mrok nie stanęły między nimi...

— Słuchaj, maluśka... — Patryk spojrział we wsteczne lustro. Znał w swoim życiu parę dzieci, z dwójką Hanki włącznie, ale tak spokojnego jeszcze nie spotkał. Mała siedziała nieruchomo drugą godzinę, patrząc po prostu w okno.— Zatrzymamy się na popas. Wiesz, co to jest popas?

Anielka kiwnęła głową.

— Mieliśmy krowę i konia, wujku Patryku — dodała. To wszystko wyjaśniało.

— Po postoju ruszymy dalej, ale nie do Zmyślonej, tylko do Zaborowa. Przede mną jeszcze jedna rozmowa. — Z cicią Hanią? — zapytała domyślnie.

— Nie. Ciocia jest chora, dlatego dzieciaki są u mnie. Muszę pogadać z Gabrielem.

— Ach... Ciocia wyzdrowieje?

— Oczywiście. Ale... ta rozmowa z wujkiem Gabrielem to może być... wiesz... taka męska rozmowa.

— Będziecie się bić? O kobietę? Aż się odwrócił. — O jaką kobietę, dziecko?!

— Mężczyźni jak się biją, to o kobietę — odparła. — Widziałam na filmach.

— Mam nadzieję, że nie będziemy się bić, a już na pewno nie okobietę — skłamał gładko, modląc się, by była to prawda. Znając jednak Gabriela i siebie... — Uprzedzam cię tylko, żebyś się nie przeraziła.

— Spokojna głowa, wujku. Mnie już niewiele może przerazić.

Mała powiedziała to zwyczajnie, bez emocji, ale Patrykowi ścisnęło się serce. To prawda: sześćioletniej dziewczynki, która widziała matkę wpadającą do grobu brata, nic nie jest w stanie przerazić.

Dwór w Zaborowie robił na przyjezdnych spore wrażenie: wiekowy, modrzewiowy, otoczony starodrzewem, zdawał się ostoją spokoju i bezpieczeństwa, ale Patryk znał go od innej, mrocznej strony. Dlatego też wysiadł z samochodu cały napięty.

— Proszę, proszę — to były pierwsze słowa Gabriela na widok Patryka.— Zamiast niańki przyjechał wujaszek... Drzwi samochodu się otworzyły. Coś w środku zasamotało i usłyszeli cienki, przerażony głosik: — Nie bijcie się, dobrze?!

— Kogoś tu przywiózł? — Gabriel spojrział tamtemu przez ramię. — Na Boga, to Anielka!

— Tak. Łukasz powierzył mi córeczkę. Muszę z tobą zamienić kilka słów i wolałbym zrobić to na osobności. — Nie bijcie się!

— Co to znaczy, „nie bijcie się”? Za kogo ty mnie uważasz? — zachnął się Gabriel.

— Nie chcesz tego wiedzieć — odparł Patryk. — Chcę z tobą pogadać i już nas nie ma.

— Jestem przyjacielem Łukasza i Patrycji — przerwał mu Gabriel stanowczo— i na pewno nie puszczę ich córki w nocną podróż. Wejdźcie. Prześpicie się w Zaborowie, rano ruszycie, dokąd tam sobie chcesz.

— Muszę z tobą...

— Wiem, wiem. Pogadamy po męsku, gdy dziecko zaśnie. Nikt nam w rozmowie nie przeszkodzi, gwarantuję.

Anielka zasnęła w pokoju Lusi na poddaszu, przykryta kołdrą w księżniczki, pod pięknym mansardowym oknem zasłoniętym tiulowymi firaneczkami. Patryk trzymał ją za rączkę dotąd, aż usłyszał spokojny, równy oddech dziewczynki.

Zszedł na palcach na dół. W jadalni czekał nań Gabriel. — Nim damy sobie po mordzie, siadaj i mów, co z nimi — wskazał wzrokiem krzesło naprzeciw, a Patryk nie musiał dopytywać, kogo ma na myśli.

— W ich sprawie przyjechałem — zaczął. — Kiedy miałeś ostatnie wieści z Poczekajki?

— Od czasu pogrzebu nie mieliśmy żadnych wieści — odwarknął Gabriel.

Patryk przyjrzał się mu uważnie. Książki Patrycji znał prawie na pamięć. Nie tylko dlatego, że dostał limitowane wydanie z dedykacją autorki, i nie dlatego, że był ojcem chrzestnym jej córki. Nie. Była w nich zawarta cała fascynująca historia dwóch mężczyzn i dwóch kobiet, a jedna z tych kobiet i jeden z tych mężczyzn byli mu szczególnie bliscy. Pośrednio więc — oczami Patrycji — znał na wylot siedzącego przed nim mężczyznę, czego ten zdawał się świadom. Widział przecież trzy tomy za szybą biblioteczki.

On więc znał Gabriela, Gabriel nie znał jego. Na wykorzystanie tej wiedzy przyjdzie być może czas... — Patrycja umiera. Łukasz walczy o jej życie — rzucił krótko i obserwował twarz Gabriela. Zastygła w maskę, ale w szarych oczach błysnęła bezgraniczna rozpacz. — Jakie — zaczął Gabriel i musiał odchrząknąć, bo głos go zawiódł — jakie są szanse?

— Nie wiem — uciął Patryk. — Ale wiem, że kochasz Patrycję, kochałeś ją i nigdy nie przestaniesz kochać... — Co ty pieprzysz, człowieku?! — poderwał się tamten. — Widzę, że prosisz się o mordobicie!

— Żółta pamiątkowa sukienka — zaczął cicho Patryk, patrząc prosto w szare oczy. — Zdjęcia... Awantury o ko- bietę, której szukałeś w innych... Bicie Lusi, bo jest podobna do tamtej... Gabriel — powstrzymał go ruchem dłoni, bo zaczął się podnosić — nie przyjechałem tu, by cię oskarżać, czy potępiać, chcę wam wszystkim, NAM wszystkim pomóc.

Ale Gabriel nie słuchał.

— Skąd o tym wiesz? Dominisia wychlapała?

— Nie — następne słowa Patryk wbił mu prosto w serce — twoje dzieci.

Gabriel jęknął z niedowierzaniem i ukrył twarz w dłoniach.

— Posłuchaj, nie przyjechałem, by zarzucać ci zdradę mojej siostry, o tym pogadacie we dwoje.

— Nie było żadnej zdrady!!!

Patryk nie zwrócił uwagi na jego protest.

— Mam do ciebie trzy prośby: przede wszystkim zrozum, że Patrycja nigdy nie będzie twoja. Nie szukaj jej już. Nie musisz, ona żyje i żyć będzie w Poczekajce, u boku twojego kumpla... Nie musisz jej szukać, ale musisz pogodzić się z jej odejściem. Bo zniszczysz życie twojej żony i twoich dzieci. I to moja druga prośba: dzieci bardzo cię kochają, do tego stopnia — Patryk umilkł, pokręcił głową — że chciały znaleźć tę kobietę, której szukałeś w innych, i sprowadzić ją do domu. Twój dziesięcioletni, naprawdę fajny synek i twoja sześciolatnia córeczka chcieli ruszyć w Polskę, by szukać kobiety, którą kochasz bardziej od żony.

Gabriel milczał.

— Daj im na razie spokój. Niech Lusia zapomni, że znienawidziłeś ją, bo jest podobna do Patrycji, niech Adasiowi przejdzie na ciebie złość, niech oboje przywrócą życiu to małe nieszczęście, które teraz śpi na poddaszu. Daj nam spokój. Daj spokój Dominice, bez niej będzie mi trudno poradzić sobie już nie z dwójką, lecz z trójką, a dzieci i tak oddam tylko Hance.

— Gdzie ona jest? — zapytał cicho.

— Nie wiem — odparł zgodnie z prawdą Patryk. — Na odwyku, tyle mi powiedziano, ale czy w Polsce, czy w Irlandii... — Pokręcił głową.

— Dlaczego ja ci wierzę?

— Bo wierzy mi twoja żona, wierzą twoje dzieci, wierzy dziewczyna, którą uwiodłeś, i wreszcie wierzy mi Łukasz. Wystarczy?

— Nika sama... Patryk uniósł dłonie.

— Jeżeli zaczniemy o Dominice, rzeczywiście skończy się to mordobiciem, a ja jestem

wykończony. Spędziłem dwa długie dni i dwie długie noce w domu śmierci. — Trzecia prośba? Patryk zawahał się. Mierzył uważnym spojrzeniem siedzącego naprzeciw mężczyznę, bo za chwilę będzie miał w nim albo przyjaciela, albo wroga.

— Ty wiesz — zaczął. — Wiesz, co zaszło tamtej nocy między Patrycją i Łukaszem. Wiesz, dlaczego Patrycja zostawiła śpiące dziecko i pobiegła za mężem. Gabriel milczał.

— A ja się tego dowiem. I jeśli przyłożyłeś do tego rękę... — Taak?

— Jeżeli to z twojej winy... Odstrzelę cię, Gabriel. Mężczyzna uśmiechnął się.

— Albo ja odstrzelę ciebie.

— Umowa stoi?— Patryk wyciągnął dłoń. Gabriel uściśnął ją bez wahania.

— Stoi.

Przyglądał się młodemu mężczyźnie z odrobiną szacunku. Miał facet charakter, to trzeba było Patrykowi przyznać. Wydawał się też mocno przejęty. Może...

— Jeżeli chciałbym... — zaczął ostrożnie. — Jeżeli pojechałbym tam... Myślisz, że mógłbym... zobaczyć... ją?

Patryk rzucił mu jedno uważne spojrzenie.

— Myślę, że Patrycji potrzebna jest teraz każda miłość. Nawet twoja.

Gabriel zmrużył z wściekłością oczy, słysząc tę obelgę, ale Patryk pokręcił tylko głową. Już wstawał, by pójść do pokoju na piętrze, gdy zatrzymało go pytanie:

— One naprawdę to powiedziały? O poszukiwaniu tej kobiety?

— Naprawdę, Gabriel. I przerażyły mnie tym do tego stopnia, że obiecałem wyruszyć na poszukiwania razem z nimi. W najkoszmarniejszych snach nie przypuszczałem, że znajdę ją tak szybko. Na wpół martwą. I... — zawahał się — chcę im powiedzieć, że tą kobietą, którejszukałeś, jest ciocia Patrycja czy raczej wspomnienie o niej. Bo ty kochasz wspomnienie, Gabriel, a jeżeli nie, to pokochasz albo wpakuję ci w serce cały magazynek.

To nie był krzyk. To było nieludzkie wycie. Patryk jednym skokiem był na nogach, w następnej sekundzie wpadał do pokoju obok, zapalając po drodze światło, gdzie, leżąc sztywno, z rączkami wyciągniętymi wzdłuż ciała, wyła Anielka. Mężczyzna przypadł do łóżka i chwycił małą w objęcia.

— Dziecko, co ci jest?!

W tym momencie do pokoju wpadł równie przerażony Gabriel, wpadł i osłupiał: półnagi facet tulił wyjąca dziewczynkę. Dopadł Patryka w takiej furii, jakiej nie czuł nigdy w życiu. Chwycił go pełną garścią za włosy, odgiął jego głowę do tyłu, aż chrupnęło i...

— Człowieku, odpiąłeś?! Puszczaj!!!

— Ty zbrojeńcu... — syczał Gabriel — puszczyć cię, gdy przyjedzie policja...

Dziewczynka umilkła i zaczęła cicho płakać.

— Puszczaj, debilu!!! Nie płacz, słoneczko, wujek jest przy tobie...— Patryk próbował sięgnąć małej rączki. Gabriel trzęsącymi się rękami wybierał numer.

— Wujek, w morrdę, dam ja ci wujka...

Anielka spojrzała wreszcie na nich i zaczęła płakać głośniej.

— Nie bij go, proszę! — Przypadła do Gabriela i zaczęła szarpać go za koszulę. — Nie zabijaj mi drugiego taty! Gabriel puścił włosy mężczyzny, ten natychmiast chwycił małą w objęcia, a Anielka wtuliła się weń całym ciałem, łkając cichutko. Ręka z telefonem opadła.

— To nie jest trumienka?— usłyszeli pytanie.

— Nie, skarbie, to pokoik Lusi.

— Było tak ciemno, myślałam, że to trumienka. — Już nigdy nie zgaszę światła. Przyrzekam. — Patryk, sam roztrzęsiony, całował włoski małej, czując na piersi jej łzy.

— Wstydziłam się poprosić, byś zostawił zapalone — podniosła na mężczyznę pełne przerażenia oczy. — To nie twoja wina. Zapomniałem. Przepraszam, skarbie.— Poglaskał ją po

policzku.

— Mogę z tobą spać? Tylko dzisiaj?

Patryk posłał wściekle spojrzeniem Gabrielowi. — Jeżeli wujek nie chwyci za telefon...

— Przepraszam — tamten podniósł ręce w geście poddania. Już wychodził, gdy zatrzymało go:

— Jakbym chciał to zrobić, wstrzymałbym się do Zmyślonej. W zaciszu mojej leśniczówki miałbym do wyboru dwie małe dziewczynki i chłopca.

— Powiedziałem, „przepraszam“!

Patryk bezgłośnie odpowiedział, co Gabriel może zrobić ze swoim „przepraszam“.

Śniadanie zjedli w przyjaznej atmosferze, choć uśmiechy, „proszę” i „dziękuję” były raczej na pokaz, dla Anielki, która mierzyła obu mężczyzn podejrzliwym spojrzeniem. — Kiedy będziecie rozmawiać po męsku? — zapytała wreszcie, a w jej głosie usłyszeli trwogę.

— Już rozmawialiśmy — uspokoił ją Patryk. — Chcesz kanapkę z nutellą?

— W nocy? Jak wujek ciebie bił?

Gabriel uciekł spojrzeniem, by w następnej chwili wysłuchać spokojnej odpowiedzi tamtego.

— Właśnie wtedy. Szkoda, że cię obudziliśmy. — Raczej dobrze, bo byś przegrał, wujku Patryku — zauważyła dziewczynka.

— Nieee... — Pokręcił głową ze śmiertelną powagą. — Nie mogłem walczyć z Gabrielem, bo ratowałem ciebie. — Masz rację — zgodziła się po krótkim zastanowieniu. — Jesteś niepokonany? Jak tatuś?

Odpowiedział jej... Gabriel:

— Tak. Wujek Patryk jest niepokonany. Więcej wolę nie stawać mu na drodze.

— To dobrze. — Dziewczynka westchnęła z ulgą, ale Patryk posłał Gabrielowi ponad stołem szydercze spojrzenie. Staną na swej drodze wcześniej czy później. Przecież obiecali to sobie.

Anielka już siedziała w samochodzie, gdy Gabriel zawrócił do domu i wybiegł po chwili z szarą kopertą w ręce.

— Dla Dominiki. Z podziękowaniem za opiekę nad dziećmi.

Patryk bez słowa wrzucił kopertę do schowka. Zajrzy, czy nie? — przemknęło Gabrielowi przez myśl.

Raczej nie. Ale na pewno zawartość dotrze do rąk dziewczyny i przypomni, gdzie jej miejsce. Gabriel

uśmiechając się lekko, rzucił do Anielki:

— Cześć, mała księżniczko, zobaczymy się niedługo. — I stanął na schodach, patrząc, jak odjeżdżają.

Parę godzin później parkował przed Chatką. Siedział jeszcze chwilę we wnętrzu samochodu, zbierając się w sobie, by wyjść, przejść przez tak dobrze znany ogród i zapukać do poczerwiałych ze starości drzwi. Gdy był tu ostatnio, skończył z kilkoma szwami na głowie. Co czeka go tym razem?

Czekał ksiądz Plama.

— Wybacz, ale ciebie nie wpuszczę — powiedział wprost.

— To chyba nie jest plebania? — zaczął wolno Gabriel, całym sobą usiłując powstrzymać gniew. — To dom Patrycji i Łukasza?

— Właśnie. Dom Patrycji. I ja cię do niego nie wpuszczę. Zrobi to Łukasz, o ile zechce.

— Jestem jego przyjacielem... — Gabriel cedził słowa. — O tym, czy jesteś, również zadecyduje on.

— Proszę mu więc przekazać, że przyjechałem i czekam w ogrodzie — wskazał brodą hamak.

— Teraz śpi. Nim jednak postanowię, czy cokolwiek mu od ciebie przekazywać, porozmawiamy we dwóch. Proszę przodem, panie hrabio. — Plama nieznośnym sprzeciwu

gestem wskazał ławkę pod oknem od strony sadu. Gabriel wzruszył ramionami i usiadł, rozparty i pewny siebie.

— Czego tu chcesz?— zaatakował ksiądz. — Patrycja zakazała ci wstępu do domu.

Gabriel przeniósł nań spojrzenie. Szare oczy zwęziły się lekko.

— To przeszłość. Przyjechałem wesprzeć Łukasza. — Zamierzasz przedtem wyznać mu, jak wspierałeś jego żonę przez ładne kilka lat?

Gabriel zacisnął szczęki.

— No, panie Romocki?— indagował ksiądz. — Listy, odwiedzinki, a na koniec gwałt...

— Nie doszło do żadnego gwałtu! — wybuchnął tamten. — Nie doszło, bo tak ci gębę podrapała, że przez tydzień w domu się nie mogłeś pokazać. Jak to nazywasz w swoim kodeksie honorowym? Odrzucona adoracja? Niechciane zaloty? Bo ja to nazywam prosto: gwałt na cudzej żonie. Zamierzasz więc opowiedzieć o tym Łukasza, czy ja mam to zrobić?

— A księdza nie obowiązuje tajemnica spowiedzi? — Azczego niby Patrycja miała mi się spowiadać? Z tego, że musiała bronić się przed tobą niemal do utraty przytomności? Zwierzyła się mi jako przyjacielowi i ja teraz, będąc jej przyjacielem, mówię ci: nie wejdiesz do środka. Chyba że Łukasz cię wpuści, a i to w mojej obecności.

— A dlaczego miałbym Gabriela nie wpuścić? — usłyszeli nagle.

Łukasz wyszedł z za węgła, jeszcze rozczochrany po niedawnym śnie, jeszcze trąc twarz, ale po raz pierwszy od wielu, wielu dni przytomny i... wypoczęty? Uśmiechnął się lekko. Gdy zasypiał i budził się, tuląc do siebie Patrycję, czas wrócił na swoje miejsce i oni dwoje też znaleźli się na swoim miejscu we wszechświecie. Tak teraz będzie codziennie. Z tym uśmiechem zwrócił się do zastygłych nieruchomo mężczyzn.

— Ostatnia szansa, panie Gabrielu: zostajesz, czy zjeżdżasz? — rzekł ksiądz.

Łukasz zmrużył oczy, niczego nie rozumiejąc. Gabriel wstał.

— Zostaję.

Wszyscy trzej ruszyli do domu.

— Pójdę przywitać się z Patrycją. — Gabriel już kierował się ku schodom na poddasze, gdy dłoń księdza, wielka jak patelnia, ściągnęła go z powrotem.

— Nie tak prędko, panie hrabio. Najpierw wyznasz przyjacielowi wszystkie grzechy, a ja będę się przysłuchiwał, czy to na pewno wszystkie, i pilnował, byście się nie pozabijali.— Pchnął Gabriela na krzesło przy stole, a Łukasz usiadł powoli, czując, że dzieje się coś bardzo złego. Takiego Plamy sobie nie przypominał... Ksiądz zajął trzecie krzesło i czekał ze wzrokiem wbitym w obrus.

— Kochałem Patrycję — wyrzucił z siebie desperacko Gabriel i umilkł.

Łukasz wzruszył ramionami.

— Nic nowego pod słońcem. Każdy ją kochał. Ale wtedy tamten wyciągnął sukienkę. Żółtą sukienkę, w której Patrycja wieki temu myła krowę Wiedźmę w truskawkowej pianie, nucąc: „Ląły, aj mister ląły...”. Łukasz uśmiechnął się do tego wspomnienia.

— Obaj się w niej wtedy zakochaliśmy. I ty, i ja — rzekł cicho Gabriel.

Łukasz przytaknął. Zawsze gdy przywoływał obraz Patrycji, widział scenę w ogrodzie. Ona w tej żółtej sukience... Zaraz, zaraz...

— Skąd masz tę sukienkę? — Poderwał głowę, wbijając wzrok w szare oczy.

— Wziąłem ją... Kiedyś...

— Ukradłeś mojej żonie sukienkę?! Idiota! — Łukasz parsknął śmiechem, ale gdy zrozumiał wagę tych słów, śmiech zamarł mu na ustach.

Ksiądz Plama nagle wstał i wyszedł do sieni. A kiedy wrócił... Cisnął na stół plik listów. I nie trzeba było grafologa, by stwierdzić, od kogo one są.

— Pisałem do niej, owszem — zaczął Gabriel niepewnie, ale z każdym słowem jego głos

twardniał. — Pisałem do Patrycji listy, a ona zwierzała mi się... Co tak patrzysz, Łukasz? Komuś musiała, skoro własnego męża widywała w domu tylko wtedy, gdy na pieprzenie mu się zebrało. Myślałeś, że jest taka bezgranicznie szczęśliwa? Już Hanka widywała mnie częściej niż Patrycja ciebie. Czy wiedziałeś, jaka jest wykończona opieką nad dzieckiem, a nieraz i trojgiem, pracą, pisaniem i prowadzeniem gospodarstwa? No i tobą od czasu do czasu, gdy wpadałeś tylko po to, by ją przelecieć?

Łukasz słuchał z niedowierzaniem, wiedząc, że jeśli teraz rzuci się na tamtego — a Gabriel prowokował go otwarcie — nigdy nie usłyszy całej prawdy.

— Wiesz, ile nocy przeplakała, patrząc, jak posuwasz tę... jak jej tam, tej nowej? ...Agniszę w swoim ukochanym serialu? Oczywiście zaraz mi powiesz, że jesteś aktorem i to tylko gra, ale powiedz to Patrycji, kiedy się obudzi. A przy okazji przyjmij wyrazy uznania: jeśli z Agnisią jedynie grałeś, wtykając jej język niemal do gardła, byłeś baaardzo przekonujący. — Gabriel zaśmiał się mściwie, widząc, jak Łukasz zaciska powieki.

Agnieszka, przeklęta, napalona krowa, która nie chciała zrozumieć, że Łukasz kocha swoją żonę i nie zamierza jej zdradzać. Przeklęta Agnisia-kurwisia, która rozbudzała go pod kołdrą wbrew jego woli, celowo i bezwstydnie, aż reżyser musiał zwracać jej uwagę, że to plan filmowy, a nie burdel. A Łukasz jak niepyszny gnał po zdjęciach do toalety, by wsadzić łeb pod zimną wodę. I nie tylko łeb... — Nigdy nie zdradziłem żony — wycedził. — Nigdy! — przeniósł wzrok na księdza, który jednak patrzył przed siebie.

— Nie, nie, to była tylko doskonała gra aktorska — zakpił Gabriel.

Łukasz poczuł się nagle zaszczuty i pokonany. Patrycja była nieszczęśliwa i pocieszał ją ten... ten...

— Nie! — krzyknął nagle. — Patrycja nigdy nie zwróciłaby się do ciebie. Od zwierzeń miała Hankę! Łżesz!

— On czytał listy Hanki — rzekł cicho Plama. — Ale pisał do twojej żony. Zapytaj, co było w tych listach. Chyba nie chcę wiedzieć! — oczy Łukasza pociemniały. — No, Gabriel, powiedz, co przysyłałeś żonie przyjaciela, bo ja powiem.

— Pisałem — rzekł tamten, nagle pokorny — że ją Kocham, że zawsze kochałem i żałuję jej straty. Prosiłem, by wróciła.

— Pisałeś coś takiego do mojej żony?!

Łukasz z całej siły zacisnął palce na blacie stołu, z trudem panując nad rosnącą furią. Dziką, ślepą furią.

— W ostatnim liście wysłał jej zdjęcia — rzucił nagle ksiądz.

Łukasz oniemiał.

Gabrielowi włos zjeżył się na głowie.

— Jakie zdjęcia? — wydusił.

— To TY przysłałeś mi te zdjęcia?

— Jakie zdjęcia?! — krzyknął Gabriel. — Nie przysłałem żadnych cholernych zdjęć!

— Gdy zaczęła odsyłać listy nieotwarte, przyjechał tutaj. Łukasz ponownie znieruchomiał. Nagle zrobiło mu się zimno. Przed sobą miał kogoś, kogo przez siedem lat uważał za przyjaciela. Kogoś, komu odbiła palma na punkcie jego żony, kto pisał do niej listy miłosne, kradł jej sukienki i kto... przyjechał tutaj.

— Co jej zrobiłeś? — zapytał niemal szeptem. — Nic! Broniła się jak wściekła!

— Próbowaleś zgwałcić moją żonę?

— Sprowokowała mnie!

Zabiję go, stwierdził ktoś, kto był teraz Łukaszem. Zabiję, chwycę go, o tak, za włosy, potem rozwalę mu nos o stół, o, właśnie tak, pieprznę nim o kredens, aż posypie się szkło i tym szkłem przejadę mu po gardle — czyjaś dłoń pochwyciła rękę Łukasza ściskającą szkło i



trzymała w żelaznym uścisku, choć miotał się jak wściekły. Ofiara zaczęła się podnosić. Uderzył łokciem, aż znów zalała się krwią. Kopnął w spłot słoneczny — zachłysnęła się powietrzem i zgięła w pół. Potem między nogi — zajęczała. Bij tak, by nie zabić — drugi głos odpowiedział usłużnie. Spłot, by tracił oddech, i jądra, by bolało. Raz po raz. Mógłby tak bez końca, gdyby nie został odciągnięty przez te same ręce, które powstrzymały go przed poderżnięciem tamtemu gardła.

— Łukasz! Łukasz! — Ktoś raz po raz powtarzał jego imię nagłaco, potrząsając nim i tłukąc po twarzy. — Opamiętaj się! Łukasz!

Zamrugał. Czerwona mgła opadła. Ksiądz Antoni, widząc, że mężczyzna przytomnieje, odetchnął z ulgą. Posadził go przy stole. Otarł mokrym ręcznikiem krew z twarzy i rąk. Przytrzymał za ramiona.

— Już? W porządku, chłopie?

Łukasz skinął tylko głową, ocierając rękawem łzy. Stał nad klęczącym Gabrielem.

— Czy wiesz, co zrobiłeś? Czy wiesz, głupi gnoju, co nam... co JEJ zrobiłeś? Przeszlibyśmy, ja i Patrycja, przez to nieszczęście, przez śmierć Bartusia. Jakoś byśmy przez to przeszli, gdybym w tamtą noc jej nie opuścił. Gdybym jej nie oskarżył o zdradę, mając za dowód TO zdjęcie — chwycił Gabriela pełną garścią za włosy, podniósł jego głowę i podetknął pod oczy wymiętą fotografię. — Nie ja ci to wysłałem — wycedził tamten. — Ani tobie, ani jej nie wysłałem żadnych zdjęć! Musiałbym na łeb upaść... — umilkł nagle. I zbladł jeszcze bardziej niż Łukasz przed chwilą. — Nie... Ona nie mogła tego zrobić. Nie Patrycji! — wyszeptał. — Mogła mścić się na mnie, ale nie na niej!

— Kto? — w głosie Łukasza nie było już ciekawości. Tylko śmiertelne znużenie.

Gabriel milczał. Siedział ze zwieszoną głową i milczał. Łukasz usiadł naprzeciw niego, przegarnął palcami włosy. — Ty wiesz, co to znaczy kochać — odezwał się cicho tamten. — Wiesz, co znaczy szukać tej jedynej w innych kobietach. Zapiliś się niemal na śmierć po jej stracie. Spróbuj mnie zrozumieć i pozwól się z nią pożegnać. Tylko po to przyjechałem.

— Chyba żartujesz... — Łukasz spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem. — Gdyby nie Plama, grałbyś przyjaciele domu, spędzałbyś z Patrycją całe dni, może brałbyś ją, gdy ja spałbym obok — ona przecież nie broniliby się tym razem. O nie, nie, p r z y j a c i e 1 u, nie zbliżysz się do mojej żony, do mojego domu i do mojej córki na krok.

— Do twojej córki akurat się zbliżę, bo jest z moimi dziećmi — prychnął ironicznie tamten, a Plama przestraszył się, że Łukasz znów będzie próbował Gabriela zaszlachtować. Ten jednak poderwał się, szukając kłuczyków.

— Jadę po nią.

— Przestań, człowieku, opanuj się! — Plama chwycił go za ramię. — Teraz ty masz obsesję?!

— On jest niebezpieczny!

— Gdyby był, Patrycja nie wahałaby się i powiedziałyby ci już dawno. Ja o tym wiem od lat i jakoś żyję. Żyje także ona i Anielka.

— Mam więc go puścić? Ot tak?

— Nie ot tak, bo zdrowo go obileś, ale masz go puścić. Łukasz, śledzony przez dwie pary oczu, wstał, cisnął zdjęcia i sukienkę do kominka, polał benzyną i podpalił. Ogień buchnął na pół kuchni.

— To koniec. Nie chcę już więcej słyszeć o zdjęciach i sukienkach. A ty — wskazał Gabriela — wynoś się z tego domu. Zobaczę cię choć raz w tej wsi, usłyszę choć raz, że tu byłeś, i sfajczę dwór w Zaborowie z tobą w środku. Zrozumiałeś?

ROZDZIAŁ V

Cała trójka wysypała się na podjazd, uprzedzona, że przyjeżdżają.

Gdy tylko samochód się zatrzymał, dzieci rzuciły się do Anielki, Pepsi do Neski i Pandypsa, a Nika stała dwa kroki dalej, chłodno popatrując na wysiadającego męż- czyznę i ciepło na witającą się trójkę.

— Locha czeka na ciebie. Musisz ją ochrzcić, bo każde zwierzę powinno mieć imię. — Lusią już ciągnęła małą do chlewni. — Może Sophia Loren?

— Jak będę mówił do ciebie „idiotko”, to się nie obrażaj. Ty możesz mówić do mnie „głupku”. Ale niezbyt często — instruował Anielkę Adaś, a Patryk z trudem powstrzymywał śmiech.

Na progu chlewni dziewczynka się odwróciła, odszukała mężczyznę wzrokiem i posłała mu pełen wdzięczności uśmiech. Uśmiech małego znękanego człowieka, uratowanego od śmierci, rozjaśnił piękną twarzyczkę dziecka, a serce mężczyzny zalał ciepłem. Znikła w mro- ku za Lusią, popychana niecierpliwie przez Adasia. — Dobry samarytanin z ciebie— odezwała się z prze- kąsem Dominika. — Trójka obcych dzieciaków, dwa dodatkowe psy. Podniesiesz mi uposażenie?

— A jakże. Premia od byłego pracodawcy. — Mężczyzna uśmiechnął się z przekąsem, podając Dominice szarą kopertę. Wyciągnęła odruchowo dłoń i... znieruchomiła. Nic od Gabriela nie chciała. Żadnych kopert, żadnych pieniędzy. Pragnęła stać tutaj, na skąpanej w słońcu drodze przed leśniczówką i nie czuć bijącego od szarej koperty chłodu.

— Weź je. — Pokręciła głową, cofając rękę. — Kup nową krówkę albo kurę, jeśli na krówkę nie wystarczy. — Ja chcę kucyka! — wtrącił stanowczo Adaś, który nagle się przy nich zmaterializował.

— Taa, i będziesz nogami po drodze szorował — zaśmiała się drwiąco Lusią. — Głupek na osle.

— A chcesz w łeb za tego głupka?! — Adaś chwycił małą za ramię, Patryk sięgnął do chłopca i w tym momencie koperta wypadła mu z ręki, a jej zawartość rozsypała po drodze. Spojrzał nań. Przez jego twarz przemknęło niedowierzanie i szok. Zgarnął zdjęcia jednym ruchem dłoni, nim zainteresowały się nimi dzieciaki, po czym wręczył cały plik oniemiałej Dominice i minął ją bez słowa, wbiegając po dwa stopnie do domu. Dzieci prze- niosły nic nierozumiejące spojrzenie z zatrzaśniętych z hukiem drzwi na Dominikę. Była tak samo zszokowana jak Patryk.

Znał tylko jeden sposób, by rozładować furię, jaką teraz nim targała. Szarpnął szufladę biurka, chwycił rękojeść noża, podrzucił, łapiąc za ostrze i cisnął nim przez całe pomieszczenie. Nóż wbił się w drzwi dużego pokoju z hukiem wystrzału. Patryk zmrużył brązowe oczy z mści- wą satysfakcją.

— I jeszcze w twoje zepsute serce, dziwko. Gdyby w drzwiach stała Dominika, dostałaby prosto

w serce.

— Iwśliczną główkę, dupo pana hrabiego. Nóż wbił się wyżej.

Odetchnął. Wyszarpnął ostrze z poharatanego drewna i odwrócił się, by schować nóż na miejsce. Dominika stała na progu kuchni z twarzą mokrą od łez. Musiała słyszeć każde słowo.

— Artystyczne portrety?— zaśmiała się cynicznie na jej widok.— Całkiem niewinne?! To zwykłe ordynarne porno, a nie erotyki!!! Jesteś... jesteś...

— Wiem, słyszałam — ucięła. — Zepsutą dziwką i dupą pana hrabiego. A tobie głównie do tego. Idę się spakować. Odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę. Pół godziny później, gdy Patryk skończył obierać ziemniaki na obiad, zbiegała z torbą przerzuconą przez ramię, mając oczy czerwone od płaczu, ale twarz spokojną.

Nie powiedzieli sobie nawet „do widzenia”.

Minutę później do kuchni wpadły przerażone dzieci. — Wujku, chodź szybko! Dominika odchodzi! Musisz ją zatrzymać!

— Skoro chce odejść, nie będę jej zatrzymywał — odparł beznamiętnie.

— Wujku, chodź! No chodź! — Adam i Lusia dotąd szarpali go za ramię, nie pozwalając dokończyć obierania, aż wstał i pozwolił się ciągnąć do furki.

W dali, na drodze pod lasem, znikła powoli postać w błękitnej sukience. Patrzył, jak odchodzi, i miał zupełną pustkę w głowie i w sercu.

— Goń ją, wujku! No, na co czekasz?! — gorączkowały się dzieciaki. — Przecież sam nie dasz sobie z nami rady! — Pokłóciliśmy się — rzekł nagle. — Ani ja nie chcę, żeby wasza niania została, ani ona.

— Och! — Z trzech małych piersi wydarł się jęk. — Może przeprosimy ją za ciebie? — zapytała Anielka. Pokręcił głową.

— To raczej ona powinna przeproszać mnie.

— Może więc przeprosimy ciebie za nią? — indagowała mała.

Ponownie pokręcił głową.

— Jeżeli jesteś na nią wściekły, możesz zbić mnie — bohatersko wypalił Adaś. — Paskiem.

— Albo mnie — zaoferowała się drżącym ze strachu głosikiem Lusia.

— I mnie. — Anielka dorzuciła na szalę bohaterstwa i swoje poświęcenie.

— Nie będę nikogo bił! — wybuchnął Patryk, odrywając wzrok od znikającej błękitnej sylwetki.

— Jeżeli tak bardzo ją kochacie, możecie biec i ją przeproszać, w moim imieniu nawet — prychnął, dodając w duszy, że to ostatnie, o czym marzy, ale dzieci były zbyt inteligentne, by się tego nie domyślić.

— Bardziej kochamy ciebie wujku, bo ty jesteś rodzina — odparł dzielnie Adaś, choć głos mu się łamał. — Właśnie, choć adoptowana. — Lusia uścisnęła dłoń mężczyzny, ale oczy miała pełne łez. Przez tyle lat zdążyła pokochać opiekunkę bardziej niż obcego do niedawna mężczyznę.

Patrzył na ból dzieci odprowadzających wzrokiem niknącą w dali sylwetkę i wreszcie, klnąc pod nosem, ruszył do samochodu.

— Wy zostajecie! — uprzedził, gdy w podskokach pobiegły za nim.

Odjeżdżając, widział we wstecznym lusterku, jak czekają, wisząc na płocie i zastanawiał się, co ma powiedzieć dziewczynie.

Zajechał Dominice drogę, tak że musiała się zatrzymać. Przez cały czas po jej policzkach płynęły łzy. Wyskoczył z samochodu.

— Dlaczego...?! Dlaczego to zrobiłaś?!

— Co?! — krzyknęła gniewnie. — Co niby takiego zrobiłam?! Myślisz, że sama wkleiłam siebie do pornosów?! Ufasz bardziej panu hrabiemu, który niejednej życie zniszczył, niż mnie?! Więc pieprz się, Patryk! Sam! Mężczyzna milczał, bo dotarły do niego słowa Dominiki. Miała rację: co za problem, choćby dla niego samego, wykorzystać niewinne zdjęcia dziewczyny w żółtej sukience do ordynarnego fotomontażu, by szantażować ją potem po sądny dzień. On sam miał na sumieniu parę takich numerów. No, może nie takich...

Dominika otarła gniewnym ruchem oczy. Gdy chciała go minąć, odruchowo wyciągnął do niej rękę, przytrzymał za ramię i... Dłoń sama wsunęła się w długie jasne włosy, przyciągając twarz do jego twarzy. Usta odnalazły słone od łez wargi dziewczyny, zlizwały tę wilgoć. Cofnęła głowę, ale nie pozwolił jej umknąć, całował dotąd, aż zmięknęła w jego ramionach i aby nie upaść, zarzuciła mu ręce na szyję, wtulając się weń całym drżącym od niedawnego płaczu ciałem.

Oparł się plecami o samochód, pociągając ją na siebie. Silna, władcza dłoń mężczyzny przesunęła się po gładkim, szczupłym udzie, podwinęła błękitną sukienkę w granatowe kwiatki i trafiła w sam punkt rozkoszy, aż dziewczyna jęknęła przeciągle, zaciskając powieki. Była gotowa na jego przyjęcie nie mniej, niż on był gotów na jej zdobycie.

Mógł... mógł wjechać w las... wziąć ją w samochodzie... albo choćby tutaj, na pustej drodze. Kobiety nie miał wystarczająco długo, by sam się potem przed sobą z tego wytłumaczyć. Ale

były jeszcze dzieci, które wprawdzie nie widziały ich, ale z drżeniem małych kochających serc czekały na ich powrót.

Ciało dziewczyny, gorące i spragnione, lgnęło do niego. Jego ciało wyrwało się do niej...

— Jezu...— jęknął, tuląc Dominikę z całych sił. — Nie możemy tutaj... teraz... Dzieci czekają. Ale później... w nocy...

Oderwał ją od siebie półprzytomną z pożądania. Spojrzała nań z niedowierzaniem, rozedrgana, niezaspokojona i zła. — Dzieci czekają? — wycedziła wolno. — Dobra wymówka. — Poprawiła sukienkę. — Nie będzie żadnego „później”. Wbrew temu, co o mnie sądzisz, nie daję czterech liter pracodawcom.

— I bardzo słusznie. Na szczęście nie jestem twoim pracodawcą, a one naprawdę czekają. Czy rzeczywiście myślałaś, że z własnej woli bym po ciebie gnał? — Sądząc po tym — spojrzała ze znaczącym uśmiechem na jego przyrodzenie — owszem.

— Jeden do jednego. Wsiadaj. Wahała się.

— Kochają cię. Wsiadaj!

W tym momencie zza zakrętu wypadła zdyszana trójka, a Patryk podziękował sobie w duchu, że na czas zdołał się opanować.

— Dwa do jednego dla ciebie — szepnęła. Parsknął śmiechem.

— Widzisz, Aniela, to się nazywa sieczkarnia. Tym tniemy tutaj pokrzywy, bo wujek prowadzi ekololo... ekologiczne! gospodarstwo— instruował młodszą dziewczynkę z mądrą miną Adaś.

— Pokrzywy są zdrowe i dobrze robią na włosy, dlatego dajemy je świniom. — Na włosy?! — zdumiała się Anielka.

— Na zdrowie — sprostował Adaś. — Dorzucamy do ciętych pokryw ospy...

— Wietrznej?!

— Nie, zbożowej. Sparowanych ziemniaków... — Jak to „sparowanych”? — Anielka pokręciła głową, a Patryk słuchający tej wymiany zdań przygryzał wargi, by nie parsknąć śmiechem. Jedno parsknięcie i wyla- tuje!— jak uprzedziły go dzieciaki. — Dobieracie je w pary? Te ziemniaki?

— Tak: oczko do oczka!— prychnął Adaś. — Boże, co ja mam z tymi kobietami... Na parze je w parniku gotujemy!

— Ahaaa... I do pociętych pokryw, i do ospy nie- wietrznej...

— I mleka dolewamy— dorzuciła Lusia. Patryk wlał do wiadra świeżutkie mleko prosto od Toffi.

— A potem mieszamy... mieszamy... — Dziewczynka zanurzyła ręce po łokcie w ciepłej brei.

— A te pokrzywy nie parzą? — Aniela miała wielkie oczy, które zdawały się mówić, a nawet krzyczeć: ja też tak chcę!

— Nie parzą, bo podczas cięcia łamią się włoski jadowe — uświadomił ją Adaś głosem pełnym wyższości. — Ja też tak chcę! — wypaliła w końcu i przyłączyła się do uszczęśliwionej Lusi. Mięszając, mięsza-jąc... Patryk dolał mleka do wiadra Adasia.

— Czemu nie doimy Daisy?— zapytał naraz chłopiec. — Bo niedługo zostanie mamą — odparł mężczyzna. — Będzie miała cielaczka?! — Lusia zaklaskała umle- czonymi rączkami, aż białe kropki zawisły na kształno- wych włoskach.

— Na razie randkę.

— Przyjedzie BYK?!

Patryk uniósł brwi. Z każdym pytaniem pograżał się bardziej...

— Tak jakby— odparł po dłuższej chwili.

— Kiedy?! Kiedy?!

— Jutro przed południem...

Nazajutrz Tomek inseminator przywiózł byka w pipecie dla Daisy. Uścisnął dłoń gospodarza, puścił oczko Domi- nice i ruszył do obory. By niemal przewrócić się na progę z wrażenia.

— Coś...coście jej zrobili? — wykrztusił.

Patryk zajął mu przez ramię. I zapłakał. Dominika zatkała usta dłonią.

Daisy miała na głowie wianek z margerytek, grzbiet przystrojony firanką i...

— Ona ma tusz na rękach! — wykrzyknęła ze zgrozą Dominika. — Skąd mieliście...?!

— Pożyczyłam. — Lusia wyszła przed Anielę i Adasia, biorąc winę na siebie.

— Bez pytania?! Dla krowy?!

— Oj, ty na randkę z Patrykiem godzinami a to oczka, a to usteczka, a Daisy głupiego tuszu żałujesz? — Lusia pokręciła głową.

— Szkoda, że nie buchnęliście szminki! — wykrzyknęła ze złością Dominika. „Ty na randkę z Patrykiem godzinami...”, no też coś!

— Buchnęliśmy — rzucił Adaś. — Ale w twojej szmince wyglądała kiepsko. Ty nieco lepiej— dodał łaskawie. Patryk nie wytrzymał i wybiegł z obory. Po chwili usłyszeli ni to śmiech, ni płacz.

— Gdzie jest byk?— zapytała rzeczowo Anielka. — Zaspał — ucięła Dominika i wyszła, zachowując resztki godności, tudzież powagi.

Tomek inseminator, widząc wpatrzony w siebie trzy pary oczu, przytaknął pospiesznie i poszedł w ślady dziewczyny.

— I po ślubie — westchnęła Lusia. — Biedna Daisy, zostanie starą panną...

— Ciocia Paprycja — Adaś zamyślony spojrzał na Anielę — umiała miłosne nalewki warzyć. Wiem, bo

podprowadziłem mojej mamie „Poczekajkę” i tam właś- nie było o nalewce. Miłosnej. Może by tak temu bykowi... Lusia, której Adaś czytał „Poczekajkę” ocenzonej, pokręciła głową:

— Przecież byk zakocha się w tym, kto mu nalewkę podrzuci! Boże, kto ci dał rozum...

— Masz inny pomysł?! — rozszłościł się Adaś. Lusia zmrużyła zielone oczy i uśmiechnęła się łobuzersko. — Skoro nie byk do Daisy, to Daisy do byka. Wieczorem, gdy wszyscy usną...

— To i wy usniecie — usłyszeli głos Patryka. — Bo jeśli nie...

— I po ślubie. — Lusia westchnęła ponownie.

— Biedna Daisy...— zawtórowała jej Anielka.

W Zmyślonej zapadał wieczór. Dzieci, najedzone, wy- kąpane i ubrane w kolorowe piżamki słuchały bajki, jaką czytała im na dobranoc Dominika. Patryk słuchał jednym uchem, pracując na komputerze. To było coś o zajączkach, całym mnóstwie zajączków. Oderwał zmęczony wzrok od ekranu, przeciągnął się i splótł ręce na karku. Zajączki budowały tamę. Szło im to kiepsko, bo nie chciały zamoczyć łapek. Patryk parsknął śmiechem. Kto pisze takie bajki?

— Jak się będziesz śmiał, to wylatujesz na dół! — usłyszał gniewny głos dziewczyny.

— Właśnie! To nic śmiesznego dla zająca: mokre łapy— dodał Adaś.

Lusia nie odezwała się, bo chrapała słodko od parunastu minut, a Anielka w ogóle była małomówna. Patryk pokręcił głową.

Gdyby mu miesiąc temu ktoś powiedział, że będzie miał wkrótce żonę i trójkę dzieci, zabiłby tego kogoś śmiechem, a dziś właśnie słuchał, jak w pokoju obok adoptowana żona czyta adoptowanym dzieciom bajkę. I nie wyobrażał sobie, by było inaczej. Co się stanie, gdy któregoś dnia wróci z obchodu i nie przywitają go głosy dzieci? Nie wyjdzie mu na spotkanie jasnowłosa Dominika?

Potał dłońmi zmęczone oczy. Trzeba się będzie z tym pogodzić. Adaś i Lusia należą do Hanki, Anielka do Patrycji, a Nika do samej siebie. Ciekawe, co dziewczyna robi, gdy dzieciaki usną... Poczł w spodniach, co on by zrobił...

— Idź ty lepiej napić się zimnej wody, chłopie — mruknął do siebie i szedł na dół.

Po kolacji było już pozmywane. Psy odgrodzone bramką, by nie próbowały się dzieciom

pakować do łóżek, spojrzały na Patryka prosząco. Skinął na nie i wyszedł w noc, posiedzieć pod gwiazdami, które lśniły tak blisko i tak wyraźnie, że mógł po nie sięgnąć. Nie zdążył rozsiać się w bujanej huśtawce, gdy zadzwonił telefon. Ucieszył się, widząc imię na wyświetlaczu.

— Cześć, bracie — usłyszał w następnej chwili. — Jak Anielka?

— Super. Chyba już trochę odżyła. A co z tobą? — O Patrycję zapyta w następnej kolejności. Nie podobał mu się głos Łukasza.

— Słuchaj, był u mnie Gabriel...

— Wiem. Sam go do was wysłałem.

— Wysłałeś?!

— Tak. Po drodze do Zmyślonej wstąpiłem do Zaborowa i hmm... pogadałem z nim po męsku. Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Łukasz? Coś nie tak?

— Byłeś u Gabriela z moją córką? — wycedził tamten. — Nie. W McDonaldzie ją zostawiłem. Oczywiście, że z nią!

— Wiesz, kim on jest? — znów to cedzenie pojedynczych słów. — Wiesz, co on robił?

— Wiem — odburknął Patryk, choć nie był pewien, czy rzeczywiście wie. — Miał szajbę na punkcie twojej żony. — I pojechałeś do niego z moją córką?! — ryknął tamten. — Łukasz, opanuj się, co?! Do tej pory nie wiedziałeś nawet, gdzie podziewa się twoja córka! A Gabriel kochał się w twojej żonie, nie w córce, i wcale się mu nie dziwię. Sam bym się zakochał.

— No, w morrrrdę, nie...

— Zazdrosny jesteś, człowieku, czy co?! — ryknął Patryk.

— Oczywiście, że jestem!

— Ale nie o Patrycję! O to, że w niej się wszyscy kochają, nie w tobie, panie Olgierdzie Jakiśtam! Strzał był widać celny, bo po tamtej stronie zapadła cisza. — Przywieź ją z powrotem.

— Ani myślę! Nie będzie się poniewierała po obcych, gdy tutaj jest wśród swoich, szczęśliwa. Ty masz inne zadanie, niż zajmować się Anielką.

— On będzie przyjeżdżał do swoich dzieci, nie pozwolę, by zbliżył się...

— Spokojna głowa. Jego dzieci będą przed nim chronił równie skutecznie jak twoje.

— Nie znasz go tak dobrze jak ja...

— Poznałem wystarczająco dobrze. Mało mi ze sztucera w pierś nie wypalił. Powiedziałem: zajmij się sobą i Patrycją. Dziecko jest bezpieczne.

— Patryk... Masz u mnie dług. Teraz domagam się jego spłaty.

— Spłacę go. Aniela wróci do was cała, zdrowa i szczęśliwa.

— Ufam ci, bracie.

Rozłączył się, a Patryk opadł na oparcie huśtawki. Może Łukasz ma rację? Może ta obsesja była niezdrowa? Czy Gabriel może porwać małą, by mieć namiastkę jej matki? Wstrząsnął się cały. Bądź co bądź własną córeczkę znienawidził tylko za to, że do Patrycji była podobna... Wbiegł po parę stopni na górę, by sprawdzić, czy dzieci są w komplecie, i na szczycie schodów niemal zbił z nóg ich opiekunkę. Odruchowo pochwycił ją wpół, a ona przytknęła mu palec do ust.

— Przed chwilą zasnęły.

Zastygli tak, nie wiedząc, co dalej. Czy powiedzą sobie „dobranoc” i rozejdą się do swoich pokojów, czy... skoń- czą to, co zaczęli przy samochodzie.

Patryk przełknął głośno, wpatrzony w przyciągające go jak magnes usta dziewczyny, ale ona oparła ręce na piersi mężczyzny, odsuwając go lekko.

— Nie chcę, żebyś uważał mnie za łatwą, po tych zdjęciach... i samochodzie...

— Nie uważam cię za łatwą! — wykrzyknął półgłosem. — Uważam cię za piękną!  
Zaśmiała się cicho, ale pokręciła głową.  
— To może wszystko skomplikować. Jeden telefon i zniknę z twojego życia razem z dziećmi.  
— By pojawić się z powrotem w życiu Gabriela? — Nie chciał tego powiedzieć! Bóg mu świadkiem, że nie chciał! Ale powiedział...  
Dziewczyna wybuchnęła słusznym gniewem.  
— Ty parszywa świnio! Jak śmiesz?! Za tę nieszczęsną sesję będziesz mnie piętnował do końca życia?! Żeby mnie chociaż wtedy zaliczył, miałabym jakąś przyjemność, a tak...  
— Ja bym mu zaliczył! — wywarczał.  
— Święty Patryku, a ile TY miałeś dziewczyn na jedną noc, co?!  
Wyrwała się, ale pochwycił ją za nadgarstki.  
— Przepraszam, Nisia, jestem idiotą i mam niewyparzoną mordę. Wybacz mi. Miałem... Niech policzę... Setkę, może więcej?  
Osłupiała.  
— Miałeś setkę dziewczyn?  
— Może sto dwadzieścia? Coś koło tego...  
— To ja dopiero dwóch facetów, wliczając w to pół pana Gabriela i połowę ciebie, i muszę się tłumaczyć, a ty...?! Kpisz sobie ze mnie! — krzyknęła z jeszcze większą pasją, widząc wesołe ogniki w jego oczach.  
— Okej, kpię. Jestem nieco bardziej doświadczony. Trzysta. Plus minus sto.  
— Idiota — prychnęła, kręcąc głową. — Puść mnie, zaparzę sobie jeszcze mięty.  
Zeszli na dół razem.  
— O czym rozprawialiście po kolacji z Adasiem i Lusią? — Top secret — odparł, siadając naprzeciw niej z kawałkiem chleba posmarowanym świeżym domowym masłem.  
— Powinnaś wiedzieć o wszystkim, co dotyczy dzieci — zauważyła.  
Akurat o tym nie, odparł w myślach, bo po kolacji zabrał dzieci do ogrodu i oznajmił podekscytowanej dwójce, że odnalazł zaginioną kobietę.  
Jak do tej pory nie mogły usiedzieć w miejscu, tak teraz znieruchomiały wyczekująco.  
— To ciocia Patrycja! — wypalił, nie chcąc dłużej trzymać ich w niepewności.  
— Ciocia? — w głosie Adasia było wyraźne rozczarowanie. — Nieee... Przecież by jej nie szukał. Każdy wie, gdzie ciocia mieszka.  
— Ale wasz tata nie szukał samej cioci i nie kochał jej, bo przecież jest żoną wujka Łukasza, ale... — teatralnie zawiesił głos — wspomnienie. Wspomnienie cioci, gdy jeszcze była wolną, młodą dziewczyną i kochała waszego tatę. Rozumiecie? Jak film. Tata kochał film 0 cioci Patrycji.  
— Ahaaa... — odparły zgodnym chórem.  
— I co my teraz zrobimy? — zmartwił się Adaś. — Ciocia nigdy się do nas nie przeprowadzi...  
— Przecież tatuś kocha film, a nie ciocię, głupku! — szturchnęła go Lusia.  
— To mu kup ten film, idiotko!  
— Spokój na pokładzie! — wkroczył Patryk, nim dzieci zaczęły protestować, że nie są głupkiem ani idiotką. — Nie trzeba kupować żadnego filmu. Wasz tata pojechał do Poczekajki, żeby się z tym wspomnieniem pożegnać. Wróci do domu, już wolny od wspomnień, spotka się z waszą mamą, pogadają, przyjadą po was  
iznów będziecie żyć szczęśliwie w Zaborowie. Dzieci umilkły, zastanawiając się nad tym, co powiedział. — To można pozbyć się wspomnień? — W głosie Adasia zabrzmiało powątpiewanie.  
— Pozbyć nie, ale można się z nimi pożegnać. Pozwolić im odejść — wyjaśnił poważnie.  
— To tak jak oddać film do wypożyczalni — wyjaśniła bratu Lusia. — Gdy stąd wyjedziemy,

będziemy bardzo tęsknić za wujkiem Patrykiem i Marilyn Monroe, ale będziemy ich mile wspominać. Na zawsze pozostaną w naszych sercach. W naszych wypożyczalniach. Patryk z trudem utrzymał powagę.

— Nie wiem, jak Marilyn to znieśie...

A teraz miał przed sobą czekającą na odpowiedź Nikę i... milczał. Nie powtórzy jej rozmowy z dziećmi.

Jego milczenie oczywiście uraziło dziewczynę i wieczór skończył się na chłodnym „dobranoc” zamiast na upojnej nocy. Ale Patryk, wyciągając się później w pustym łóżku, pomyślał, że po pierwsze, Dominika nie wyjeżdża, po drugie, już on się postara, by została na dłużej, a po trzecie, nie był może tak piękny jak Łukasz, ale jeśli już zapragnął jakiejś kobiety...

## ROZDZIAŁ VI

— Wujku Patryku! Zaganiaj, zaganiaj!— Lusią biegła w jego kierunku, za nią Anielka, machając rączkami. Patryk wyciągnięty w cieniu przydrożnej gruszy uchylił powieki. Oprócz dziewczynki biegło ku niemu stadko owiec. Jakby jego owiec...— przechylił głowę. Co one, na litość boską, mają na szyjach?! Apaszki?!

— Wujkuuu!— zawył z daleka Adaś. — Zaganiaj! Bo je stracimy!!!

Daleko nie uciekną, pomyślał Patryk i chciał osunąć się z powrotem na miękką darni, ale jego wzrok przyciągnęła Dominika biegnąca za dziećmi (i owcami).

Była śliczna. Nie mógł oderwać od dziewczyny zachwyconego spojrzenia. Podkasła błękitną sukienkę, skacząc przez trawy. Wymachiwała rękami jak Anielka, próbując krzyknąć: „Do mnie, maluśkie!”, ale słowa nie mogła wykrztusić, zaśmiewając się do łez. Jeszcze jej nie widział tak szczęśliwej i beztroskiej.

Zarumieniona ze zmęczenia padła obok Patryka, a dzieci (i owce) pognały dalej.

— Co wyście im na szyjach powiazali? — zapytał mężczyzna, próbując nie gapić się maślanymi oczami na uroczą towarzyszkę teraz, gdy była tak blisko.

— Bandanki. — Dominika znów parsknęła śmiechem.— Dla odróżnienia. Porzeczką ma czerwoną, Jeżynką — niebieską, a Gruszką — żółtą.

— Niby moje owce, moje własne, dotychczas szczęśliwie bezimienne owce to teraz Porzeczką, Jeżynką i Gruszką?! Czy to pomysł? Oczywiście Lusi?

— Oczywiście. Masz świnię Marilyn Monroe i Sopię Loren, i trzy owce-owocki. — Dominika padła na trawę, chichocząc. — W bandankach.

Patryk uniósł się na łokciu, rozejrzał bystro, czy dzieci nie widzą — te zniknęły za przydrożnymi krzakami bzu — i pochylił się nad Dominiką, zdecydowany posmakować jej roześmianych ust. Były pyszne! Dziewczyna umilkła, oddając pocałunki...

— Wujkuuu!— tuż nad nimi sprawiło, że odskoczyli od siebie jak oparzeni. — Zaganiaj! Zaganiaj!

Wypadło na nich stado owiec, a potem stado dzieci. — Zaganiaj, zaganiaj!— zakwiliła Dominika, krztusząc się ze śmiechu.

Najtrudniej było pozbyć się właśnie czarciąt. Z jednym byłoby trzykrotnie mniej kłopotu, z trójką, która oblepiała przez cały boży dzień a to Dominikę, a to Patryka, a to oboje naraz, okazywanie sobie czułości, drobne miłe gesty, których tak byli złąknieni, nie mówiąc już o przytulaniu czy namiętnych pocałunkach — to wszystko, co zwykle czynią zakochani, było awykonalne.

W dzień któreś z dzieci zawsze się przy nich kręciło niczym przyzwoitka. W nocy zaś...

Nie raz i nie drugi w pogoni na szczyt rozkoszy Dominika z Patrykiem zastygali w bezruchu, zatykając sobie nawzajem usta, bo któreś z trojga małych lunatyków szukało niani, trapione nocnymi zmorami. Patryk z jękiem rozczarowania przemykał nago do swojej sypialni, Dominika, chichocząc w poduszkę, choć miała chęć płakać, musiała tulić Lusię czy Anielkę,



zamiast być tuloną przez Patryka.

Dzieci stały się wyjątkowo czujne — jak to dzieci. Oczywiście nie miały nic przeciwko zgodzie i rodzinnej atmosferze, która nagle zapanowała w Zmyślonej, w miejsce ciągłych sprzeczek i utarczek między opiekunami, ale...

— I widziałyście, jak on ją całował? — Adaś wykrzywił paskudnie twarz.

— Bo oni się tak koochoaaajająaa— Lusie przewróciła oczami. — A ty im zazdrościsz! — krzyknęła do brata. — Sam chciałbyś całować się z dziewczyną, ale ciebie nawet Toffi nie chce!

— A ty chcesz? W łeb? — Adaś zeskoczył z płotu i pognął za siostrą, która piszcząc, uciekła do domu. Patryk ledwo zdążył odskoczyć od Dominiki pochylonej nad zlewem, w którym musitowała myć naczynia, a tak naprawdę próbowała utrzymać się na nogach, omdlewając od palących dotknięć i pocałunków mężczyzny. Lusie wpadła w momencie, w którym on udawał, że ogląda fotografię na ścianie, dziewczyna zaś, zarumieniona jak dojrzałe jabłuszko, poprawiała sukienkę. — Aha! — wykrzyknęła mała. — A wy znów się miliciele! Buzibuzi i łapu-capu!

Dominika posłała żalosne spojrzenie Patrykowi. Jak bardzo chciałaby dokończyć to łapu-capu, choćby bez buzibuzi. Mężczyzna roześmiał się i wyszedł, zagarniając ramieniem Lusie.

— Chodź, ty mały wredny żandarmie. Natniemy pro- siakom pokrzyw...

Gabriel pożegnał rozmówcę, odrzucił telefon i rozparł się na sofie z rękami pod głową. Dom był tak cichy, że słyszał skrobanie myszy na strychu. Ciszy tej nie mąciło podśpiewywanie Patrycji, mamrotanie Janki, beztroska paplanina Hanki czy w końcu śmiech dzieci. Nawet psa jego żona — niedługo była żona — zabrała.

Gdy wyjechała, odetchnął z ulgą. Był znowu wolny. Ale... ta wolność zbrzydła Gabrielowi po paru dniach. Pokochał wieczny harmider, choć nie przyznałby się do tego nawet na spowiedzi. Pokochał utarczki Adasia i Lusi, swoich wspaniałych, przemądrych dzieci, choć pewnie miały dla nich jedynie surowe słowo. Tak. Powrotu dzieci pragnął ponad wszystko, chociaż jego intencje nie do końca były czyste, co przyznawał sam przed sobą, myśląc o Hance. Hance, która...

Jak mogłaś?! — po raz tysięczny przemknęło Gabrielowi przez myśl. Zaciśnął zęby, by nie kłać głośno. Czy twój przeżarty wódą mózg pojmuje, co zrobiłaś?!

Nie. Mimo że po wizycie Patryka wahał się, czy przeprowadzić sprawę do końca, teraz był pewien, że nie wolno mu się cofnąć. Hanka musi zapłacić za to, czego się dopuściła. I nigdy więcej nie zobaczy dzieci. Już on, Gabriel, się o to postara. Zepsuta, mściwa alkoholiczka nie zasłużyła ani na jego miłość, ani na miłość Lusi i Adasia.

W domu i na podwórku było podejrzanie cicho. Ale w oborze działo się coś ciekawego. Pepsi siedziała na progu, przechylając głowę, Adaś siedział obok psa, miętosząc włochate ucho.

Patryk niezauważony przez towarzystwo stanął w podcieniu, z rosnącym zdumieniem obserwując następującą scenę: na zydelku, u boku krówki Toffi, siedziały mocno do siebie przyciśnięte, bo stółek był nieduży, Dominika z Lusią. Dziewczyna najwyraźniej usiłowała udoić choć kapkę mleka do stojącego między kolanami wiadra. — Nie tak! — Lusie pokręciła głową z dezaprobatą. — Cycki jej urwiesz!

— Lusie! Nie wyrażaj się! To wymiona, nie „cycki”! — Wymiona to Toffi ma tutaj, na górze. To, za co ciągniesz, to cycki — odparła dziewczynka.

— Strzyki, jeśli już — poprawił ją Adaś.

— O właśnie — zgodziła się łaskawie Lusie. — I nie ciągnij, bo dam po łapach! — krzyknęła na opiekunkę, bo ta znów próbowała udoić parę kropli. — To się zaciska. Paluszek po paluszku...

— Mała stanęła za nianią, objęła jej dłoń swoją i zaczęła zaciskać palce na strzyku biednej

Toffi. Mleko spłynęło szeroką strugą. — Widzisz! — Lusia zaśmiała się triumfalnie.

— Paluszek po paluszkę, mówisz — mruknęła Dominika. — I Patryk cię tego nauczył oczywiście.

— Oczywiście — przytaknęła radośnie dziewczynka. — I też stał za tobą i obejmował twoją rękę...

— Oczywiście — powtórzyła Lusia, zaciskając palce Dominiki po raz drugi. Żeby łatwiej jej było sięgnąć, niemal położyła się na dziewczynie.

— I wisiał ci na plecach?

Patryk osłupiał. Schował się za ścianą i słuchał dalej. — Nie wisiał — tym razem Lusia zaprzeczyła. — Nie musiał. Sięga, gdzie wzrok nie sięga! — wypaliła. Patryk zakrztusił się śmiechem.

— Ale nie sięgał... nigdzie indziej? — indagowała ostrożnie Dominika.

Żeby ją po ciebie nie sięgnął, Patryk chciał rzec na głos, ale uprzedziła go Lusia:

— No coś ty! Wujek nie jest pedofilem! Patryk znów osunął się po ścianie, zatykając usta.

— Całe szczęście — usłyszał głos Dominiki. — A wiesz, kto to jest pedofil? — upewniła się, sącząc dydaktyczny smrodek.

— Wiem — odparła dziewczynka z dumą. — To osobnik, który dotyka miejsc intymnych — wyrecytowała. — I wujek, pokazując mi, jak się doi Toffi — w tym momencie trzepnęła opiekunkę po ręce, a krowa poprawiła ogonem — zaciskał tylko paluszek po paluszkę, a na koniec pocałował mnie tutaj — pokazała czubek głowy — bo wujek to porządny człowiek, nie żaden ZBOK. Tym razem Patryk nie wytrzymał. Zaczął się tak śmiać, aż mu łzy pociekły.

Oburzona i zawstydzona Dominika chciała się poderwać, ale Lusia przytrzymała ją za ramię i rzekła protekcjonalnym tonem:

— Nie zwracaj na niego uwagi. Mężczyźni mają podśluchiwanie we krwi. I nie ciągnij za ten cycek! Wujku, pokaż Dominice, jak to się robi, bo Toffi szaleju dostanie. Lusia zrobiła miejsce Patrykowi, wybiegając w podskokach za Adasiem i Pepsi, Patryk zaś, ocierając łzawione oczy, pochylił się za plecami Dominiki i ujął jej dłoń.

— Słyszałaś, co mówiła Lusia — rzekł półgłosem — paluszek... po... paluszkę...

Zarumieniła się. Pochyliła głowę, zakrywając policzki włosami.

— Dzielna dziewczynka — uśmiechnął się, gdy do wiadra strzyknęło mleko, i pocałował ją w czubek głowy. — Jeśli w plecy wbija mi się to, co myślę... — zaczęła zaczepnym tonem.

— Nie — przerwał jej Patryk. — To nie to, co myślisz. To klucze od dzwonnicy — i znów wybuchnął śmiechem. Dziewczyna odtrąciła go gniewnie, więc ocierając łzy, wstał i wyszedł z obory.

Dominika została sama. Z głupią miną i pustym wiadrem. — No, no, ależ udój panience wyszedł — usłyszała naraz sympatyczny głos. Zamrugła wyrwana z bezmyślnego zapatrzenia w dno wiadra. Przed nią stał, uśmiechając się jowialnie, wąsaty, umundurowany policjant. — Majewski jestem — zasalutował z galanterią.

— Dominika, niania dzieci — odparła odruchowo. Uśmiech na twarzy policjanta nagle zgasł.

— A właśnie... dzieci... — podrapał się zafrasowany po głowie, zdjawszy uprzednio czapkę. — Patryk w domu? Machnęła ręką w niesprecyzowanym kierunku. Prawdę mówiąc, mogła wskazywać nawet na Marsa, aspirant Majewski słusznie zaczął poszukiwania gospodarza od najgłośniejszego miejsca w całym obejściu: kurnika. — Nie rzucajcie się tak na te kwoki, stresu się nabawią — usłyszał głos Patryka i uśmiechnął się. — I będziecie jajek szukać pod iglakami albo w krzakach bzu. Łagodnie, spokojnie, wsunąć rękę pod kurkę, pomacać, pomacać i... auć! jak cię sieknę, zarazo! Cześć, Janek. — Patryk skinął głową policjantowi, podnosząc do ust krwawiący palec.

— Macanie widzę nie wyszło. — Policjant zaśmiał się wesoło. — Za mało ćwiczysz. — Puścił

oczko, wskazując zaczerwienioną Dominikę.

— Wujek mało ćwiczy, bo kury to sprawa kobiet — odezwała się poważnym tonem Lusja. — Od paru tygodni ja wymacuję jajka, a teraz ten głupek — wskazała głową brata — do moich obowiązków się dorwał i oto rezultat: wujek jest ranny. Choć, dobry człowieku — ujęła Patryka pod łokieć. — Założę ci plasterek.

— Pozwól, dziewczynko, nim porwiesz swego pacjenta na OIOM, że zamienię z nim parę słów na osobności — sprzeciwił się aspirant Majewski i coś w jego słowach kazało dzieciakom posłuchać, bo zniknęły w sekundę. Patryk nie miał wątpliwości, że — ukryte gdzieś sprytnie — nie uronią ani słowa z ich rozmowy.

— Przejdźmy się — zaproponował i natychmiast usłyszał gdzieś zza worka ze zbożem jęk zawodu.

Wyszli we dwóch na ścieżkę prowadzącą nad staw. — Jesteś moim kumplem, Patryku — zaczął policjant. — Jakiegoś Gabriela Romockiego, co se „hrabia” dopisuje przed nazwiskiem, nie znam, a za sądami nie przepadam, więc nagiąłem trochę procedurę. Tylko mnie nie wkop. — Mów — rzekł Patryk, czując, jak włosy na karku jeży mu niedobre przeczucie.

Policjant wyjął z raportówki wymiętą kartkę, rozproszował ją i streścił w jednym zdaniu:

— Sąd Okręgowy w Wyszkuwie, wiesz, odbiera ci dzieciaki i powierza prawowitemu opiekunowi, owemu Gabrielowi hrabiemu Romockiemu.

Patryk zmiął w ustach przekleństwo. To tak odpłacasz się za opiekę nad Lusją i Adasiem?

— Nim po te dzieciaki przyjedzie ten tam hrabia, wiesz, pomyślałem, że powinieneś wcześniej o tym wiedzieć. — Dzięki, Janek. Nie zapomnę ci tej przysługi. — Patryk, starając się ukryć rozpacz i bezradność, uściśnął ramię przyjaciela.

— Raz ja tobie, raz ty mnie.

Patryk przygryzł wargę, zatopiony w myślach. Co ma robić? Co on ma robić? Czekać na Gabriela, który z nakazem sądowym odbierze mu dzieci, czy...

— Wiesz, na twoim miejscu wziąłbym zaległy urlop i zabrał dzieciaki na wycieczkę. Nie mogłeś przecież wiedzieć o wyroku sądu, bo mnie tu jeszcze nie było. — Ahaa... — Patryk spojrział na policjanta z odrobiną nadziei. — A kiedy będziesz?

— Jutro. Bo pismo wpłynęło do kancelarii przed piętnastą. Nawet nie miałem czasu okiem na nie rzucić... Patryk uśmiechnął się mimowolnie. Życie w małych miejscowościach miało ten urok, że w chwili zagrożenia jednego członka społeczności stado solidarnie stawiało w jego obronie. Najpierw jednak trzeba było do stada się wkręcić, co Patrykowi zajęło ładnie parę lat.

— Jutro przyjdę z nakazem, dzieci nie znajdę, więc wezwę cię listem poleconym do osobistego stawiennictwa, a to, jak wiesz, trwa i trwa. Przez ten czas coś na pewno wymyślisz.

Patryk uśmiechnął się po raz drugi.

— No, to ty macaj swoje kokoszki, byle skutecznie — policjant puścił oczko — a ja do domu na obiad skoczę. Jutro pisemko na moim biurku się znajdzie i przyteleportuję się tu ponownie.

— „Przyteleportuję”? — powtórzył Patryk. — Co ty ostatnio czytasz?

— Fantasy. Nie ma to jak dobre fantasy w tym zakichanym świecie.

Patryk przytaknął z przekonaniem, uściśnęli sobie dłonie i policjant odszedł, żegnając się po drodze z podniekscytowanymi dziećmi i zaniepokojoną Dominiką. Gdy tylko odjechał, uśmiech Patryka zgasł.

— Co się stało? — zapytała cicho dziewczyna. Spojrzął na nią z nagłą rezerwą. Czy może jej zaufać?

Chyba nie ma wyboru. Przecież związał się z Dominiką na dobre i na złe, choć o zaręczynach jeszcze żadne z nich nie śmiało napomknąć. Tak. To będzie znakomity sprawdzian lojalności.

— Gabriel uzyskał nakaz powrotu dzieci do domu. Musimy uciekać.

— Uciekać?! — Adaś usłyszał ostatnie słowa. — Uciekać! Słyszycie, dziewczyny? Uciekamy!!!

Jupi! Jupi! Idę się spakować! — I zniknął w domu, łomocząc butami na schodach.

— Naprawdę, wujku Patryku? — Lusia patrzyła na mężczyznę wielkimi oczami. — Przed kim musimy uciekać?

Patryk przeklął się w myśli za niewyparzony język. Przeraził dziewczynki śmiertelnie, bo i Anielka też miała wystraszone oczy. Chciał coś zmyślić naprędce, wcisnąć dzieciom jakąś gadkę szmatkę, ale... sprawa była za poważna, by je okłamywać.

— Przed waszym tatą — rzekł po prostu. Lusi zadrżała broda.

— Ooch... Przed tatą — szepnęła zmartwiona. — On nas będzie gonił? Dlaczego?

— Chce was odzyskać. Kocha was przecież.

— No taak. To dlaczego uciekamy? Patryk spojrział na Dominikę, ona na niego.

— Wasz tatuś jeszcze nie jest gotowy do opieki nad dwojgiem diabląt — rzekła Nika stanowczo. — Wkurzycie go raz, drugi i znów zacznie się na was wściekać, a mnie wtedy nie będzie.

— Ooch... A gdzie będziesz, jak nie z nami? Dominika zarumieniła się po cebulki włosów.

— Z Patrykiem.

Serce mężczyzny, dotąd ściśnięte ze zmartwienia, nagle odtajało. Ujął dłoń dziewczyny i podniósł do ust. — No tak. To nie mamy wyjścia — przerwała im tę chwilę czułości Lusia. — Musimy uciekać! Idę się spa- kować.

Na placu boju zostali oni dwoje i... Anielka.

— Uciekniemy do Poczekajki? — zapytała cicho. — Tatuś może by się ucieszył...

— Nie, maluśka, twój tatuś ma inne zadanie. Ja porwę was... do Nadziei!

— Do Nadziei?! — zdziwiła się dziewczynka. — Jest taka maleńka wioska, daleko stąd, jeszcze mniejsza od Zmyślonej...

— I od Poczekajki?

— I od Poczekajki. Tam ukryjemy się do czasu, aż będę mógł wytłumaczyć sądowi, że Adaś i Lusia powinni zostać ze mną, i z Dominiką rzecz jasna, do czasu, aż wróci ich mamusia.

— Jasne! — Buzię Anielki rozjaśnił uśmiech. — Idę się spakować.

— To może i my pójdziemy? — rzucił w przestrzeń Patryk, gdy dziewczynka zniknęła. — W Nadziei już na pewno nie będziemy ani minuty sami. Co ty na to? Nie czekał na odpowiedź. Pociągnął dziewczynę do sadu, by za stertą zeszłorocznych gałęzi wziąć ją na miękkiej, pachnącej słońcem trawie.

— Wujku Patryku, a ten głupek zabrał ze sobą lupę! — wypaliła Lusia, gdy tylko Zmyślona zniknęła za lasem. Widać nie mogła bez sprzeczki wytrzymać nawet kilo- metra.

— A chcesz w du... pupę za tę lupę? To znaczy za głupka?

— Adaś, po co ci du...pu...lupa? — zająknęła się Anielka. — Przecież uciekamy — odparł chłopiec z godnością. — I będę nas śledzić.

— No tak — zgodziła się dziewczynka. — To chyba im potrzebna lupa, a nie nam?

Adaś umilkł. Zabrakło mu argumentów.

— Przez lupę będzie wypatrywał taty — prychnęła Lusia. — Chyba pryszczę na twoim nosie! — rozeźlił się Adaś. — Nie mam pryszczy!

— Pokaż! — pochylił się nad nią ze złowieszczym narzędziem. Lusia zaczęła się szarpać i drzeć, aż Patryk musiał zadysponować:

— Pół godziny dla książki!

— Ja nie mam książki...

— A może być krzyżówka?

— Mogę pograć w grę? Nisia, pożycz komórkę. — Nie wzięłam telefonu.

— Jak to nie wzięłaś? Przecież musisz mieć swój telefon, w razie gdyby wujek Patryk... no, umarł.

Patryk spojrział wymownie na Adasia, potem przeniósł wzrok na Dominikę.

— Ten złośliwy gnom ma rację. Wracamy...

— Nie powinno się wracać na początku drogi — zaproponowała Dominika.

— Chyba nie wierzysz w te brednie?

Nie odpowiedziała. Patryk zawrócił.

Chcąc nie chcąc odszukała ukrytą przed wyjazdem komórkę, pokazała załodze, że mogą spać spokojnie, i z westchnieniem rezygnacji — dobrze jej było bez „smyczy” pana hrabiego — wróciła do samochodu, od razu uciszając Adasia grą, Lusię krzyżówką, a Anielkę blokiem rysunkowym i kredkami. Sama mogła trzymać Patryka za rękę. I bardzo się to obojgu podobało. Przed wieczorem podjechali pod stareńką leśniczówkę w kolonii Nadzieja. Kolonia składała się z owej leśniczówki i jeszcze jednego gospodarstwa, przez płot, od czasu do czasu nawiedzanego przez letników.

Przed gankiem czekał na całą ósemkę, bo przecież Neska, Pepsi i Pandapias przyjechały z nimi, wąsaty, potężny leśniczy Paweł, przyjaciel Patryka ze szkolnej ławy, który zahuczał basem, gdy tylko dzieci wysypały się z samochodu:

— Kogóż my tu mamy? Dwie małe księżniczki i młody książe!

— Jeżeli już, to hrabia i hrabianka — sprostował Adaś z godnością. — Aniela jest bez papierów. Ale też równa babka.

Leśniczy wybuchnął śmiechem.

— Wasza Miłość pozwoli — otworzył na oścież drzwi, wpuszczając dzieci do środka, a potem, kręcąc z roz- bawieniem głową, patrzył, jak na dzień dobry przemeb- lowują mu dom.

— My śpimy z Dominiką! — Dziewczynki ciągnęły jedno z łóżek do małego pokoiku na poddaszu. Adaś usiłował je powstrzymać, ciągnąc z drugiej strony: — Nika śpi z Patrykiem, a ja zajmuję ten pokój! — A my?! A my?! — Aniela podskakiwała jak wojow- niczy wróbel. — Gdzie się podziejemy?! Tu są tylko dwa pokoje!

— I stajnia!

— Sam sobie śpij w stajni!!!

— Hmm... to niegłupi pomysł. — Adaś podrapał się po głowie. — Dawajcie materac.

— Wujkuuu!!! Wujku Patrykuuu!!! Weź mu powiedz!!! — Cisza na pokładzie! — zadysponował Patryk. — Paweł, masz przedsmak tego, co cię czeka w najbliższych dniach.

Leśniczy nie odpowiedział. Nie był w stanie, zanosząc się śmiechem.

— Na parterze jest mały pokój. My go zajmiemy. — Patryk przygarnął ramieniem Dominikę. — Dziewczynki, wasz jest ten, a Adasia...

— Jawolałbym w stajni — chłopiec odważył się prze- rwać przewodnikowi stada.

— Chyba w kurniku — szepnęła złośliwie Lusia. — Jak cię zaraz... — zaperzył się chłopiec, przyska- kując do siostry. Zatrzymało go ramię Patryka. — Wiem, wiem — westchnął, nim męzczyzna zdążył wyrzec choć słowo. — Obieram ziemniaki. Panie Pawle, gdzie tu jest kuchnia? Ma pan czaderski nóż?

Późno w noc, gdy wszyscy zasnęli zmordowani wyda- rzeniami mijającego dnia, Dominika odważyła się odebrać sms, który przyszedł wieczorem. Wystarczyło, że zerknęła na nadawcę, by w następnej chwili wyłączyć komórkę i ukryć głęboko wśród swoich rzeczy, tak by nie wpadła przypadkiem w ręce Patryka.

Teraz drżącymi dłońmi włączała telefon i otwierała sms od Gabriela.

„Jeżeli nie powiesz, gdzie są dzieci, twoją rodzinę zlicytuje komornik, a ty pójdziesz siedzieć za współudział w porwaniu”.

Wstrzymała oddech, by w następnej chwili rozplakać się z bezradności. A jednak posunął się do szantażu... Już mniejsza o groźbę więzienia, ale Gabriel zażąda spłaty kredytu, a przecież żadne z nich nie zdobędzie ot tak dwudziestu tysięcy!

Nie namyślając się długo, bo też nie było nad czym myśleć, знаła Gabriela na tyle, żeby wiedzieć, iż spełni obietnicę, wystukała: „Kolonja Nadzieja”.

Już miała wysłać wiadomość, gdy stanęły jej przed oczami jasne oczy dzieci, dobra, piękna twarz Patryka, zalane słońcem pola i łąki Zmyślonej. Ten jeden sms i straci to wszystko.

Co ja mam robić?! — Przytknęła komórkę do ust. Wstała, przemknęła na palcach przez ciemny pokój gościnny, jeszcze ciepłą od węglowej kuchni sień, by wyjść w noc tak jak stała: w cienkiej koszulinie. Psy ruszyły za nią.

Szła przed siebie, nie zważając na meandry i rozwidlenia drogi. Nadzieja.

Dla nich— dla Patryka i Dominiki nie ma nadziei. On nigdy nie wybaczyłby jej tej zdrady. Nigdy. Wiedziała, że wahał się, nim zabrał ją ze sobą. Sama być może postąpiłaby mniej szlachetnie, nie ufając do końca komuś, kto nieraz zawiódł zaufanie. A jednak Patryk zawierzył jej po raz kolejny. I tak się odpłaca. I jemu, i dzieciom, i Hance...

— Nie mam wyboru!— rzuciła przez zaciśnięte zęby.— Stracimy dach nad głową! Zresztą może wyrzucić nas w każdej chwili, pieprzony, cholerny Gabriel! Niech cię szlag trafi, panie hrabio! I mnie też...

W tym momencie potknęła się. O Neskę. Suka zabiegła dziewczynie drogę i ani myślała puścić Dominiki dalej. Pandapies położyła się tuż obok i zerknęła spod grzywki, gotowa ruszyć Nesce z pomocą, gdyby więzień zamierzał uciekać. Pepsi nigdzie nie było.

Dominika otrząsnęła się z rozpacz i rozejrzała przytomnie dookoła. Las czy raczej bór stał cichy, ciemny i groźny. Gdyby nie dwa psy czuwające nad nią, dostałaby zawału.

— Wracamy— szepnęła przerażona tą nienaturalną ciszą. Psy poderwały się natychmiast. Ruszyła w powrotną drogę i... stanęła na najbliższej krzyżówce.

W prawo, w lewo czy przed siebie?

Psy skręciły w prawo i zawróciły, gdy stała niezdecydowana.

— No chodź! Chodź, chodź, chodź! — zaszczekała Neska.

Dominika, chcąc nie chcąc, ruszyła za psem, by po paru kwadransach stracić nadzieję, że kiedykolwiek wyjdą z lasu.

Dygotęła od nocnego chłodu, koszula lepiała się do ciała całkiem przemoczona, poranione stopy rwały niemiłosiernie. Gdyby nie psy, nieodstępujące jej na krok, skuliłaby się pod jakimś drzewem i została tak na wieki w tym obcym, wrogim lesie, ale Neska z Pandą-psem wracały, gdy tylko Dominika zwalniała.

Kiedy zmęczona usiadła ciężko i ukryła głowę w ramionach, dopadły do niej i szczekaniem, trącaniem nosami, ciągnięciem za koszulę zmusiły, by wstała i szła dalej. Nie było zmiłuj się. Zaczęło świtać, ciemność lasu rozjaśniła pierwsza zapowiedź blasku, gdy usłyszała dalekie szczekanie, a zaraz po nim ludzkie głosy. Wołali ją. Ale nie była w stanie przyspieszyć. Resztkami sił wlokła się w kierunku nawoływań. Pepsi, która nadbiegła z naprzeciwka, mało jej nie przewróciła, skacząc, skowycząc, płasając pod nogami dziewczyny w tańcu radości, do jakiego zdolne są tylko kochające psy. A potem nadbiegł Patryk. Chwycił dziewczynę w ramiona i tulił długie, długie chwile, by w końcu oderwać się od niej, okryć kurtką, wziąć na ręce i zanieść do domu.

Nie padło ani jedno słowo, ani jedno pytanie. Patryk nie chciał wiedzieć, dlaczego dziewczyna, którą pokochał, wyszła z domu w ciemny las.

Awantura wybuchła przy śniadaniu, gdy tylko leśniczy Paweł pożegnał się i ruszył w teren.

— Muszę wracać do Zaborowa — rzekła cicho Dominika, nim Patryk zaczął pytać.

Wszyscy czworo: mężczyzna i dzieci, poderwali głowy. Na twarzach malowało się niedowierzanie i... strach. — Dlaczego?—jęknęła Lusja. — Daliśmy ci w kość? Dominika pokręciła głową.

— Muszę wracać — powtórzyła z uporem. Patrzyli z rosnącym zdumieniem, jak wstaje od

stołu,

odnosi talerz, przechodzi do sypialni, w której jeszcze przed godziną tuliła się rozpaczliwie do Patryka i... za- czyną pakować swoje rzeczy do torby podróżnej. Nagle Adaś wybuchnął:

— Nigdzie nie wracasz! Wystarczy, że straciłem matkę i ojca! Jeśli wyjedziesz...

— Muszę, Adaś — przerwała mu. Dzieciak wstał, rzucił: — Po moim trupie! — I wybiegł z pokoju.

— Dlaczego nam to robisz? Dlaczego IM to robisz? — w głosie Patryka słychać było narastający gniew. — Znów pan hrabia zadzwonił, a ty rzucasz wszystko i... — Wyjdźcie, dzieciaki — nakazała, a gdy dziewczynki opuściły sypialnię, wysyczała do mężczyzny, którego zdążyła pokochać całym sercem: — Wyjeżdżam nie dla hrabiego, a wręcz przeciwnie. Jeszcze raz rzucisz taki tekst, a...

— I co zrobisz? Uciekniesz po raz kolejny? A ja będę gnał za tobą jak głupi?

Pragnęła wytłumaczyć mu, dlaczego musi zniknąć z ich życia, dopóki Gabriel ma nad nią władzę, dopóki poprzez nią ma władzę nad dziećmi i nad samym Patrykiem, ale... Musiałaby się przyznać, na co jej matka pożyczyła od hrabiego pieniądze. Duże pieniądze. Było to ponad siły Dominiki. Milczała więc. A to milczenie doprowadziło Patryka do furii.

— Mam dosyć! Mam tego dosyć! Ciągłe tajemnice na linii: Dominisia—Gabryś! Dokończ pakowanie i wynoś się! Wracaj do swego pana, który gwizdnie, a ty... — Wujku Patrykuuu! Wuuuuju! Jesteś tam? Bo Adaś zniknął. Może już nie żyje!

Oboje— Patryk i Dominika — poderwali się na równe nogi i po chwili wpadali na ganek.

— Gdzie on jest?! Zabiję szczeniaka! — Patryk rozglądał się po podwórku, nie wiedząc, w którą stronę ruszyć. — Dokąd poszedł? — zwrócił groźne spojrzenie ku Lusi, ale mała pokręciła tylko głową. Za to Pepsi przybiegła z trampkiem w zębach.

To jest Adaś! — krzyczały z dumą orzechowe oczy. Patryk chwycił za telefon.

— Paweł, wracaj. Tak, teraz. Musisz zająć się dziećmi. Adaś uciekł. Pewnie pobiegł na dworzec. Nie. Dominika właśnie wyjeżdża. Oj, nie pytaj, tylko przychodź! — rozłączył się, narzucił na ramiona kurtkę i sięgnął po kluczyki od samochodu, gdy zatrzymał go ostry głos Dominiki:

— Luśka, gdzie on jest? Dziewczynka pokręciła głową. — Nie udawaj, że nie wiesz! — Dominika pochyliła się nad małą groźnie, ale dziewczynka zacisnęła tylko usta. — Dobra.— Dominika wyprostowała się nagle. — Ty i Aniela, idziecie do łóżka; tam będziecie czekać na nasz powrót. Patryk i ja ruszamy na poszukiwania. Do lasu, choć nie jest to bezpieczne, bo Patryk nie zna tych okolic. Będziemy szukać Adama i błędzić... Nie wiem jak długo. Pewnie z tydzień. Jeśli po tygodniu nie wrócimy... Patryk chciał przerwać zdumionym: „Co ty wymyślasz?!", ale Dominika wiedziała, co robi. Już po jej pierwszych słowach stanowczość Lusi osłabła. Gdy dziewczynka usłyszała „tydzień", zdecydowała się powiedzieć: — Jest w budzie. Przecież Pepsi przyniosła jego trampka. Patryk już nie słuchał, wypadł na dwór, dobiegł do niezamieszkanego psiej budy i po chwili wyciągał opierającego się chłopca, mrużąc przekleństwa przeplatane obietnicami, co też on Adasiowi nie robi.

— Wujku— dobiegło z ganku — nie morduj mojego brata!

— No, co masz mi do powiedzenia? — wycedził, patrząc Adasiowi prosto w oczy. Chłopiec nie zmieszał się, nie odwrócił wzroku.

— Musiałem — powiedział. — Inaczej wyrzuciłbyś Dominikę.

— Owszem! Jej już nie ma! — krzyknął Patryk doprowadzony po raz któryś tego ranka do ostateczności. — Więc nas też nie ma. Nie, nie! Nie będziemy uciekać! Po prostu sobie z nami nie poradzisz. Jesteś w porządku, wujku Patryku, ale Dominice do pięt nie sięgasz. Wiesz, w opiece nad dziećmi.

Patryk oparł się o budę, całkowicie pokonany przez bezlitosny, chłodny osąd

dziesięcioletniego chłopca. — Twoja niania powinna wyjechać. Nie dogadam się z nią, rozumiesz?

— E tam— Adaś machnął z pobłażaniem ręką — dogadasz się. Mama powiedziała kiedyś, że ty dogadasz się z każdą, bo jesteś jak nowa kasa.

— Co?!

— Kasa. Nowa.

Patryk zamrugał i nagle się roześmiał. Casanovą! To Hance, a nie Dominice należało się lanie! Adaś też się uśmiechnął, widząc, że naprędce wymyślony plan odniósł rezultat. Teraz Nisia i wujek pogodzą się, i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie...

— Nie ma mowy— mruknął Patryk, poważniejąc. — Dominika wyjeżdża pierwszym pokaesem.

— To ja następnym. — Adaś wzruszył ramionami. — I tym razem Pepsi nie ściągnie mi buta z nogi. Ot co! — Z rękami splecionymi na piersiach pomaszerował do domu. Nie zdążył zniknąć w drzwiach, by resztę przedpołudnia spędzić karnie w łóżku, bo na podwórze przed leśniczówką wjechał granatowy volkswagen.

I nagle ucieczka Adasia stała się mało ważnym epizodem. — Dzień dobry — zagaił sympatyczny na pierwszy rzut oka policjant, obrzucając Patryka, Dominikę i troje dzieci uważnym spojrzeniem. Na dzieciach zatrzymał wzrok. — Adaś, Lusia, Aniela, do domu! — nakazał Patryk nieswoim głosem.

— Jest leśniczy?

— W terenie. Pan do Pawła?

— Raczej nie — odparł z wahaniem policjant, a Patryk poczuł, że lada moment eksploduje mu serce, tak mocno zaczęło walić. Dzieci! Ratować dzieci! — Starszy aspirant Jan Morawski, czy pan Patryk Jeziorowski? Mężczyzna skinął głową.

— Mam nakaz sądowy. Lucja i Adam Romoccy pojedą z nami.

— Nie. Ma. Mowy.— Patryk cofnął się na ganek, zagradzając sobą wejście do domu. Z dwojgiem policjan- tów— z samochodu wysiadła właśnie kobieta w cywilu, ale widać było, że i ona jest na służbie — nie miał szans, dzieci musiały jednak widzieć, że o nie walczył. Że ktokolwiek walczył o dwoje małych znękanych ucieki- nierów.

— Proszę pana — odezwała się policjantka łagodnie — nie jest pan ich opiekunem prawnym, nie może pan zatrzymać dzieci wbrew woli ich ojca.

— Są u mnie na życzenie matki.

— Matka dzieci została tymczasowo pozbawiona władzy rodzicielskiej.

— Słucham?! Ten bydlak odebrał Hance dzieci?! — Patryk w sekundę był przy kobiecie, wrywał jej z ręki nakaz, czytał i... Kajdanki zatrzasnęły się na jego nad- garstku. Szarpnął się wściekle.

— Proszę nie stawiać oporu, bo pana aresztujemy — wycedził policjant.

— Nic wam nie zrobił! — Dominika nagle ożyła. — Puśćcie go! — Rzuciła się z pięściami na policjanta, ale zatrzymała ją kobieta.

— Jeżeli dobro dzieci leży wam na sercu, oddacie je bez scen— rzekła cicho.

— Nie oddam ich!— ryknął Patryk i... rąbnął policjanta w szczękę. Ten oddał. Dużo skuteczniej: Patryk padł u jego stóp bez przytomności.

— Mordują wujka!!! — rozległo się z ganku. Zadudniło na schodach. Dzieci ruszyły na pomoc Patrykowi, szarpiąc policjanta za mundur, odciągając go, kopiąc i gryząc, gdzie popadło. Dominice udało się wyrwać. Podbiegła do nieprzytomnego.

— On nie oddycha!

Na jej krzyk wszyscy zamarli w bezruchu.

— No i go zabili — rzekła Lusia.

Policjant klęknął przy Patryku, z drugiej strony policjantka — uśmiercenie Bogu ducha winnego



człowieka na oczach dzieci... Na to tylko czekała Dominika. Chwy- ciła za rękę Lusię, za drugą Anielę i czmychnęła w las. Adaś pognał za nimi.

— Stój! Stój, bo...

— Przecież nie będziesz strzelał — syknęła policjantka. — Ja poczekam na Pawła, a tego tutaj, o, już się budzi, do samochodu i na komisariat. Posiedzi na dołku czterdzieści osiem godzin to spokojnie. A dzieciaki daleko nie uciekną.

Nie uciekły. Gdy tylko ujrzały, ukryte za krzewami, że ledwo żywego Patryka ciągną do radiowozu...

— Oddajcie wujka!!! Nie zabierajcie go!!!

— Pojedziemy z wami, tylko wypuście wujka Patryka!!! — Dominika, zrób coś! Powiedz im!!!

— Wujkuuuu!!!

Dzieci obstąpiły radiowóz, tłukąc piąstkami w szyby. Dominika patrzyła, jak próbują prosić, błagać, grozić policjantowi, który właśnie odpalał silnik. Po chwili biegły za odjeżdżającym na sygnale samochodem, płacząc, krzycząc, machając rączkami... Odwróciła się, by policjantka nie widziała łez. Serce pękło jej na tysiąc kawałków.

Dom był cichy, jak wymarły. Adasia i Lusię zabrano następnym radiowozem.

Przy stole w ponurym milczeniu jadł obiad leśniczy Paweł. Anielka ukryła się w swoim pokoiku, odpowiadając grzecznie na prośby i pytania Dominiki:

— Nie jestem głodna, dziękuję. Wolę pozostać na górze, dziękuję. Nie nudzi mi się, dziękuję.

A w tych cichych odpowiedziach wyrażał się cały ból, rozpacz, strach i jeszcze coś... obcość i gniew małej dziewczynki tracącej w tak krótkim czasie tych, których pokochała. Była grzeczna w stosunku do Dominiki, ale tylko grzeczna. Straciła do opiekunki, która po prostu przyglądała się, jak policja zabiera Patryka, całe zaufanie. Dopiero gdy na górę przyszedł dobroduszny olbrzym, leśniczy Paweł, zaczęła cichutko płakać.

Mężczyzna tulił dziecko, obiecując — jak to zwykle dorośli — że wszystko będzie dobrze, i to, te zdawkowe słowa pocieszenia spowodowały, że ta cicha, delikatna dziewczynka wybuchnęła gniewem.

— Nic nie będzie dobrze!!! — Aniela skoczyła na równe nogi, zaciskając dłonie w pięści. — Nic a nic! Tak mówicie, ciągle i ciągle, ale jest coraz gorzej! Umarł mi brat, umierają mama i tata, a teraz pobiliście ostatniego, który mi pozostał! A ona, ta buzi-buzi, stała i patrzyła! Nienawidzę cię!!! — krzyknęła w kierunku Dominiki. — Nic nie będzie dobrze... — i rozszlochała się.

— Owszem, będzie — rozległo się na schodach. Dominika odwróciła się na pięcie. Aniela wypadła z pokoju, by po chwili tonąć w ramionach Patryka. Wziął dziecko na ręce, minął dziewczynę, nie obdarzając jej nawet przelotnym spojrzeniem, i zniknął w pokoju na poddaszu, zatraskując za sobą drzwi. Dominika stała jak wmurowana, nie mogąc zrobić ni kroku. Czekała na... Liczyła, że... Próbowała... Drzwi otworzyły się nagle. Wyszedł z nich leśniczy. Obrzucił Dominikę chłodnym spojrzeniem i rzekł:

— Nie jest tu pani mile widziana.

— Gabriel zabrał dzieci — rzucił Patryk do telefonu, gdy tylko Łukasz odebrał.

— No i?

— Jak to „no i”?! To cię nie obchodzi?!

— Nie.

Patryk oniemiał na parę uderzeń serca.

— To bydlę... — zaczął wzburzony.

— To bydlę jest ich ojcem, czyż nie?

— Chrzanię takiego ojca!

— Ja też jestem ojcem — przerwał mu Łukasz. — I nie życzylbym sobie, byś przetrzymywał

Anielę wbrew mojej woli.

— Ej!— Patryka aż zimny dreszcz obleciał od nagłego podejrzenia.— Nie mów, że to nie Dominika, ale TY zdradziłeś panu hrabiemu, gdzie się ukryliśmy! — Owszem, ja — odparł Łukasz spokojnie. — I mówię ci jak komu dobremu, że porwanie jest karalne, ciebie w kryminale nie chcę widzieć, a Gabriel ma prawo... — W dupie mam prawo! Dzieci się go boją! Chciały zostać ze mną! Nie pozwolę, by znęcał się nad Lusią tylko dlatego, że jest podobna do twojej żony! — Słucham? — w głosie Łukasza zabrzmiało naraz zero absolutne.

— Tak, słuchaj, słuchaj! Ten popieprzeniec zniechęcił sześćioletnią dziewczynkę, bo nie mógł dopaść Patrycji! W dalszym ciągu uważasz...

— Dzwonię do Marynowskiej. — Łukasz rozłączył się bez pożegnania.

Pani Halina przyjechała do Zmyślonej następnego dnia. Przywitała się serdecznie z Anielką, którą — to było widać — uwielbiała, a potem — ledwo odetchnęła po długiej podróży — przeszła do rzeczy.

— Mamy małe szanse, panie Patryku, chyba że... ROZDZIAŁ VII

Leśniczówka w Zmyślonej była nieznośnie pusta. Patryk z Anielką snuli się po domu niczym dwie zjawy. Nawet rozdokazywane psy nie potrafiły rozweselić ani małej pani, ani ukochanego pana. Obydwoje tęsknili. Strasznie tęsknili do Adasia i Lusi, i do Dominiki. Bo Dominika jednak wyjechała, a Patryk już nie próbował jej zatrzymać. Wtedy gdy zabrano dzieci i wył w środku z bólu, nie próbował. Teraz zaś... Teraz wmawiał sobie, że nie potrzebuje nikogo do szczęścia. Ani kochającego spojrzenia błękitnych jak niezapominajki oczu, ani dotyku ciepłej, czułej dłoni, ani... Niczego więcej!

Anielka coraz częściej wspominała Poczekajkę. Mamę, tatę, krówkę Zosię, cielaczka Patrycję, Plamę, Sołtysinę, a przy obiedzie nawet o Zenku zaczęła z czułością i nos- talgią opowiadać.

I zamęczyliby się tak na śmierć, gdyby sprawy znów nie nabrały tempa.

Telefon od mecenas Marynowskiej postawił Patryka na nogi.

— Odbędzie się rozprawa. Pan będzie pełnomocnikiem Hanki...

— Hanki? Wie pani, gdzie jest moja siostra?!

— Ja wszystko wiem, młody człowieku — odparła Marynowska protekcyjnie. Nie miał co do tego wątpliwości. — I oczywiście nic nie powiem, bo nie zostałam upoważniona. Kontynuuję: odbędzie się rozprawa, na której ujawni pan wszystkie grzeszki Gabriela. Proszę go nie oszczędzać, bo on nie będzie oszczędzał ani pana, ani pańskiej siostry, rozumiano?

— Owszem— odmruknął Patryk.

— Usłyszysz pan i o alkoholizmie, bo Gabriel na pewno do tego dotrze, i o wypadku z bronią, i o obściskiwaniu się z niańką przy dzieciach. Wszystkie brudy zostaną wyciągnięte na światło dzienne. Jest pan na to gotów? Patryk westchnął głęboko. Chyba nie był. Ale dzieci nie zawiedzie.

— Jestem— odparł stanowczo.

— Jeszcze jedno. Jeżeli mamy wygrać, musi zeznawać Dominika, a ja jej do tego nie przekonam...

— Tylko nie Dominika! Ona może nas jedynie jeszcze bardziej pograżyć! — zakrzyczał do telefonu, ale w duszy zapragnął, by spotkać dziewczynę na rozprawie, by choć przez parę minut móc na nią patrzeć. Tylko patrzeć. No, może jeszcze przywita się. Normalnie, bez wrogości. I w dłoń pocałuje. Ale szybko, żeby Marynowska nie myślała, iż coś jeszcze do Dominiki czuje. Marynowska?! Zejdź na ziemię, chłopie, rozmawiasz z panią mecenas, a nie całujesz rączki Dominisi!

— Tak. Zgadza się.

— Na co się pan zgadza? — zdumiała się pani Halina po drugiej stronie.— Na to, żeby Gabriel detektywa za panem wysyłał?!

— Jakiego detektywa?— tym razem on się zdumiał. — Mówiłam, żebyście mieli się na baczności, bo Gabriel prawdopodobnie naśle na was oboje detektywa. — Ja nie mam niczego do ukrycia. Dominika zaś to pieśń przeszłości.

— Nie powiedziałałabym — odrzekła z przekąsem Marynowska, pożegnała się i rozłączyła. W następnej chwili telefon zadzwonił powtórnie. Patryk odebrał odruchowo i... zastygł niczym jaguar gotowy do ataku, słysząc głos Gabriela.

— Cześć, stary, nie masz do mnie żalu o dzieci? — Już za to pytanie wypowiedziane kpiącym głosem należało się panu hrabiemu po pysku.

— Nie, skąd — oparł Patryk tym samym tonem. — Jak sobie radzisz?

— Doskonale. Choć gdyby nie pomoc Dominiki... — Dominiki?!

— Owszem. A co w tym dziwnego?— Gabriel uśmiechnął się wrednie, słysząc po drugiej stronie, jak przeciwnik próbuje zapanować nad sobą. — Teraz my tworzymy kochającą się rodzinę. Ja, Nisia, dzieciaki... Nie wierzę ci, skurwielu! — wybuchnął Patryk w duchu. — Tylko wujka nam brakuje. Tak, tak, o tobie mowa, przyszywany bracie mojej już niedługo byłej żony. Dzieci tęsknią za tobą — Gabriel spoważniał. — Nie wierzą, że jesteś cały i zdrow. Chciałem nie tyle prosić, co zasugerować, byś wpadł na obiad. — Gabriel nie przewidywał widać odmowy, bo dokończył: — Jutro pasuje? — Pasuje — odrzekł Patryk po długiej chwili, szarpany sprzecznymi uczuciami: miłością do dzieci i nienawiścią do ich ojca. I niańki.

Nazajutrz Patryk z Anielką zdążyli do Zaborowa. Dziewczynka miotła się między radością, że zobaczy przyjaciół, a lojalnością w stosunku do Patryka, który nie był zachwycony zaproszeniem. A to świergotała jak wróbel, a to milkła, czasem kładąc rączkę na ramieniu mężczyzny w niemym geście pokrzepienia i otuchy, co w końcu Patryka rozbawiło. Gdy zaś dwie małe istoty wybiegły im na spotkanie aż do Zaborowskiej kapliczki, Patryk po raz pierwszy od dwóch tygodni poczuł się szczęśliwy. Trochę. Bo w następnej chwili ujrzał idącą za dziećmi...

— Ech, ta musi wszystko popsuć — mruknął niechętnie na widok dziewczyny.

Ona zaś, przeczekawszy, aż dzieciaki się nawitają i nacieszą, rzekła:

— Oddaję je tobie pod opiekę. Zadzwoni, gdy będziesz wyjeżdżał. Gabriela nie ma w domu. Będzie wieczorem. Nie ma Gabriela?

Musiła ujrzeć zdumienie w oczach Patryka, bo wyjaśniła:

— Zajmuję się dziećmi tylko pod nieobecność ich ojca. Z Gabrielem nie widuję się. Wcale. Już ci wierzę...

— Możesz mi nie wierzyć, ale taka jest prawda. Nie chcę widzieć ani jego, ani... — urwała, pokręciła głową. Patryk, przyciągany do dziewczyny, jakby ta magnetyzowała ciałem, odsunął się, zmrożony jej chłodem. Dzieciaki pomknęły ku domowi. Chcąc nie chcąc, ruszyli za nimi. Usiłując nie dotknąć się nawet przypadkiem, nawet muśnięciem dłoni.

— W piątek odlatuję do Irlandii — rzuciła w przestrzeń. Patryk spojrzął na nią z niedowierzaniem.

— Przecież w poniedziałek jest rozprawa! Miałaś zeznawać! Bez ciebie...

— Mam coś lepszego niż zeznania — powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał. Zresztą nie usłyszałby jej, bo wpadł we wściekłość.

— Tchórzysz, znów tchórzysz! Niszczysz, naumyślnie, podle, okrutnie, a gdy masz szansę zrehabilitować się, zdradzasz i tchórzysz! Jezu, jak ja ciebie nienawidzę!!! Chciał odejść, ale chwyciła go za rękę. Wyszarpnął się. W dłoni poczuł mały metalowy przedmiot. Pendrive. — Gdy to zobaczysz, zrozumiesz — znów zaszepotała, bojąc się, że głos odmówi jej posłuszeństwa. — Jeśli kiedyś mi wybaczysz... Będę czekała. — Dotknęła jego policzka opuszkami palców i za nim, wbrew sobie, zdążył przytrzymać jej dłoń, skrzyła ku swemu domowi. On ruszył za dziećmi.

Wieczorem wrócił Gabriel.

— Spotykamy się w poniedziałek. Na rozprawie — rzucił Patryk na pożegnanie, ale tamten przytrzymał go za ramię.

— Taki jesteś pewny siebie — zaczął półgłosem, by dzieci nie słyszały. — Taki szlachetny rycerz bez skazy, co to dziewice ratuje, przyjaciół dobrym słowem karmi, nadzieję niesie, cudze dzieci porywa... Wszystko wiesz najlepiej, myślisz, że rozwiążesz każdą zagadkę... Na końcu czeka cię jednak niespodzianka. Przykra niespodzianka. Bo to nie ja przyczyniłem się do nieszczęścia, od którego wszystko się zaczęło: śmierć dziecka, śpiączka Patrycji, cierpienie Łukasza, alkoholizm Hanki... Węsz dalej, dalej brnijw to bagno. Na końcu czeka cię bolesne, bardzo bolesne przebudzenie.

— Nie mam żadnych wątpliwości, że owym przebudzeniem jesteś ty — odparował Patryk. Dopiero wieczorem, już w Zmyślonej, mógł sięgnąć do komputera, by sprawdzić, jakie „skarby” ukrywa pendrive Dominiki. I natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak. Było to bardzo subtelne odczucie: klawiatura nieco przesunięta, myszka bliżej brzegu biurka niż zwykle — spędził przy komputerze tyle czasu, że stanowili jeden organizm i teraz, gdy ten organizm miał jedną rękę krótszą, a drugą dłuższą, Patryk natychmiast to odkrył. — Ha! Altruista Gabryś skorzystał z okazji i włamał mi się do komputera. — Patryk uśmiechnął się krzywo. Już myślał, że tamtego sumienie ruszyło i będzie mógł spotykać się z dziećmi tak często, jak Gabryś pozwoli, a to tylko był pretekst, by wywabić Patryka na cały dzień z domu! — Ciekawe, czy złamałeś moje zabezpieczenia... No, no, złamałeś, gratuluję! I co cię szczególnie ciekawiło? Bo przecież nie ilość sprzedanej sośniny... Pliki graficzne, no cóż by innego. I jakie kukułcze jajo mi podrzuciłeś? Porno z Dominisją? Jakbym zgadł... Piękny fotomontaż, Gabrielu Romocki, na szczęście na kilometr pachnie podróbą. Zobaczmy, co ma na ciebie Dominika...

Otworzył pliki zapisane na pendrivie i... oniemiał. I zrozumiał, czego tak strasznie obawiała się dziewczyna. Zdjęć. I to nie „artystycznych erotyków” z nią w roli głównej, ale dokumentacji z Gabrielowych „polowań”. Polowań na ludzi.

Dominika miała rację. Te dowody zepsucia pana hrabiego były lepsze od jej zeznań. I miała prawo obawiać się jego zemsty.

Rozprawa była krótka. Wystarczyło rzucić na sędziowski stół plik owych zdjęć, by postanowieniem tymczasowym sąd powierzył dzieci opiece Patryka. Tego samego dnia wróciły do Zmyślonej, ale tylko małym naiwnym serduszkom mogło się zdawać, że to koniec kłopotów. Że teraz wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. Patryk, patrząc na rozprawie w pociemniałe z nienawiści oczy Gabriela, nie miał żadnych wątpliwości, że kłopoty dopiero się zaczynają...

Dzieci plotły wianki krowom — Toffi było w nich ładniej niż Wiedźmie — jak zwykle kłócąc się, przekrzykując i dokazując w najlepsze. Patryk co jakiś czas podnosił głowę znad kartki, na której coś zawzięcie notował, i mitygował towarzystwo: „Adaś, oczywiście, że za długi. Wianek to wianek, a nie girlanda”. „Aniela, nie pchaj jej mleczy do oczu, bo oślepnie”. „Lusia, wianek z ostu, choć ma takie ładne włochate kwiatki, to nie najlepszy z twych pomysłów...”. Ale myślami był gdzie indziej. Z notatek wynikało jasno: jednego elementu układanki pod tytułem Gabriel—Patrycja—Dominika brakowało.

Przeczytał pod nosem raz jeszcze:

„Hanka znajduje zdjęcia Dominiki — zaczyna pić, rozwód”, jasne, tylko dlaczego oddaje dzieci pod opiekę Dominice właśnie, z prośbą „Nie oddawaj Lusi i Adasia j e mu”? Zdradzona żona wysłałaby dzieci prędzej do żony mleczarza niż do kochanki męża. Punkt drugi: Patrycja kłóci się z Łukaszem — o kogo? O Gabriela. O kogóż by innego. Jeżeli tak, to jakie dowody musiał ktoś podrzucić (kto?, bo przecież nie Gabriel!), by Łukasz stracił zaufanie do Patrycji? Chociaż Gabriel mógł ryzykować własną skórę, byle tylko dorwać się do swej miłości. A gdyby to

Łukasz zdradzał Patrycję? To było bar- dziej prawdopodobne... Nie! Plama parokrotnie powtórzył słowa Patrycji: „Wybiegłam za tobą, żeby ciebie po- wstrzymać”. To Łukasz odszedł w tamtą noc. To jego zraniła Patrycja. Więc to między nią a Gabrielem musiało coś zająć... Tylko kto, na Boga!, podrzuciłby dowód Patryksinej zdrady Łukaszowi?! Przecież nie Gabriel! Nic tu się kupy nie trzyma...

Nagle straszne podejrzenie zjeżyło Patrykowi włos na karku. Nie, to niemożliwe, nie ona! Tylko nie ona!!! A jednak. Wszystkie klocki układanki wskoczyły na swoje miejsca. Lecz nim oskarży, musi mieć pewność. Chatka stała cicha i spokojna, grzejąc żółte ściany w ostatnich promieniach słońca.

Dzieci wysiadły z samochodu i w podskokach pobiegły ścieżką ku domowi, ale na progu odłowił je ksiądz Plama, zgarnął potężnym ramieniem całą trójkę, mrugnął do Patryka i ulotnił się z dziećmi, by dwaj mężczyźni mogli w spokoju porozmawiać.

Łukasz niewiele się zmienił od ostatniej wizyty. Szczy- pły, poważny, milczący wstawił wodę na herbatę, wyjął ciasto od Sołtysiny, postawił dwie filiżanki w truskawki, które uwielbiała Patrycja, i w końcu siadł naprzeciw Patryka. I zaczął:

— Słuchaj, bracie, wiem, że prowadzisz małe śledztwo, chcesz wiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy, kto jest winien. I proszę cię, odpuść. — Patrykowi aż zaschło w gardle. Tymi samymi słowami zwrócił się doń swego czasu Gabriel!— Rozgrzebywanie przeszłości nic nie da, a możesz jeszcze bardziej wszystkich skrzywdzić. Mimo ostrzeżenia Łukasza Patryk poczuł, że nigdy nie był bliżej prawdy niż w tej chwili. Mała prowokacja i... — Chronisz swój tyłek, czy...?

— Mój?

— To ciebie Patrycja tamtej nocy wyrzuciła na zbity pysk.

Łukasz zmrużył czarne oczy, co świadczyło, że dał się podpuścić.

— Masz kiepski wywiad, stary— wycedził. — To ja zostawiłem wtedy Patrycję, nie odwrotnie.

— Dlaczego?— podchwycił Patryk. Łukasz pokręcił głową.

— Nie zamierzasz odpuścić? Tak myślałem. — Wstał, sięgnął na najwyższą półkę, stamtąd z pudełka po herbacie wyjął dwa zdjęcia i podał je Patrykowi. Ten, przekonany, że ujrzy na nich Dominikę w żółtej sukience, sięgnął po nie i... oniemiał.

— Właśnie — skwitował jego minę Łukasz.

Na jednym zdjęciu Gabriel całował Patrycję, na drugim Patrycja całowała Gabriela.

— Może to fotomontaż? — zaczął niepewnie po długim milczeniu, obracając zdjęcia w palcach.

— Topierwsze, co przyszło mi do głowy. Kumple z dochodzeniówki sprawdzili, nim rzuciłem je w twarz mojej żonie.

— Może to sprzed waszego związku?

— Z naszym zdjęciem ślubnym w tle? — Łukasz zaśmiał się cynicznie. — Dobrali sobie scenerię, doprawdy, wymowną...

— Chyba nie wierzysz, że Patrycja... z Gabrielem...? — Teraz nie ma to już znaczenia. Pragnę, by wyzdrowiała jak niczego w życiu. A ciebie proszę: odpuść. Pozwól umrzeć przeszłości, jeśli my wszyscy mamy normalnie żyć.

Patryk powoli skinął głową, choć przez mózg przelaty- wały setki myśli: to jednak Patrycja i Gabriel... ale jak, kto, skąd?!

— Kto ci to przysłał? Gabryś?

— Może...

— A jeżeli nie on, to... Łukasz skinął głową i powtórzył: — Może...

Tej nocy Patryk nie mógł zasnąć. Rzucał się na wąskiej kozetce w poczekaj ko wej kuchni z boku na bok, licząc barany, słonie, osły, kury, ale nic to nie dało. Musiał to powiedzieć. Potem

pożegnać się i wyjechać.

Wstał, wszedł po cichu na górę, gdzie spali Patrycja i Łukasz, klęknął po stronie kobiety i ujął jej przezroczystą dłoń.

— Już wiem, kto wam to zrobił. I przyrzekam, że zapłaci za to.— Pochylił się i wyszeptał do jej ucha imię. Jedno imię.

I wtedy... piersią uśpionej wstrząsnął szloch.

Patryk cofnął się przerażony.

Drugi.

Łukasz poderwał się, w jednej sekundzie przytomny. — Ona płacze! — Chwycił żonę w ramiona i przytulił z całych sił. Patrycja szlochała, ciężko, chrapliwie, niemal dusząc się od niewypłakanych łez. — Coś ty jej zrobił?! Co jej zrobiłeś, skurwielu?!

Puścił ją i dorwał Patryka. Ten nie próbował się bronić, gdy Łukasz, wyginając mu kark, sprowadzał, a właściwie zrzucał ze schodów. Nie bronił się, gdy Łukasz wypychał go za drzwi. Po chwili wyleciały za Patrykiem jego rzeczy i drzwi Chatki zatrasnęły się na głucho jak podczas tej strasznej żałoby, czasu, który już miał bezpowrotnie minąć. Miał. Gdyby nie Patryk i to jedno słowo za dużo.

Wracali w milczeniu do Zmyślonej, gdy zadzwonił telefon.

— Stan Patrycji się pogorszył. Jest podłączona do respiratora. Jeżeli umrze, dopadnę cię, b r a c i e, na końcu świata. I poczujesz, wreszcie TY poczujesz, jak to jest tracić wszystko, co się kocha.

## ROZDZIAŁ VIII

Dzieciaki odrabiały pierwsze prace domowe. Lusią z Anielką rysowały szlaczki, Adaś rozpracowywał grafy. — To jakieś durne — mrucał do siebie. — Nic nie rozumiem z tych kółek i pogibanych nawiasów. — Bo ty jesteś durny — rzuciła niewinnie Lusią, nawet nie podnosząc głowy znad portretu Marilyn Monroe, który jako żywo przedstawiał łosia na wrotkach, a nie rodowodową maciorę, czego nie omieszkał jej wypomnieć Adaś.

Wtem Patryk odwrócił się gwałtownie w stronę okna, mało nie zrzucając Anielki z kolan. Dotknęła pytająco policzka mężczyzny, a ten przytrzymał rączkę dziecka, wsłuchany całym sobą w coś, co wiatr przyniósł z bardzo daleka.

— Niemożliwe — mruknął do siebie. — Wydawało mi się. — Rozluźnił napięte mięśnie, zwracając się z po- wrotem ku dziewczynce i... znów. Poderwał się na równe nogi, Anielka ledwo zdążyła zeskoczyć. Adaś podniósł głowę znad książki.

— Strzelają — stwierdził.

— Nie mają prawa — wycedził Patryk, patrząc w stronę, z której dobiegło echo dalekiego wystrzału.

— Bandyty?— Podekscytowany chłopiec odrzucił zeszyt i stanął obok niego. — Kłusownicy? Patryk odmruknął coś niezrozumiałego. Omiatał wzro- kiem las na zachodzie, jakby mógł przebić się przez gęstwinę i dotrzeć do źródła strzału. Wiedział jedno: był okres ochronny, więcej: był stan zagrożenia pożarowego i nikt, nikt!, nie miał prawa przebywać w domenie Patryka, a tym bardziej w niej strzelać!

Komórka zawibrowała w kieszeni spodni. Zerknął na wyświetlacz. Dzwonił ten, którego się spodziewał. — Szefie — w głosie młodego podleśniczego brzmiało podniecenie — słyszałeś to?!

— Słyszałem.

— Jestem blisko źródła! To z siedliska! Jadę...

— Nigdzie nie jedziesz!— krzyknął Patryk tak ostro, że dzieci spojrzały nań zdziwione. Rzadko podnosił głos, a nigdy aż tak. — Siedzisz na dupie tam, gdzie jesteś. A właściwie, gdzie jesteś?

— Przy drodze oddziałowej czterdzieści pięć na trzy- dzieści cztery— mruknął niechętnie

Piotrek. Sam poba- wiłby się w podchody i gdy szef przyjedzie, podałyby mu kłusownika na tacy... Te rozmyślenia przerwał następny strzał, który Patryk tak wyraźnie usłyszał w komórce swego pomocnika, że aż drgnął. — Ale skurczybyk nawala. Wojna czy co?— zdziwił się Piotrek.

— Mówisz, że to ze starego siedliska? Masz w samo- chodzie radiotelefon?

— Mam.

— Sprawny?

— No, szefie...— oburzył się podleśniczy. — Ja na patrolu jestem!

— A... broń. Masz?

— Mam.

— Czekaj na mnie tam, gdzie jesteś. Już jadę. Patryk rozłączył się i przez parę sekund stał, patrząc

w las i kręcąc głową. Coś mu tu nie pasowało. Kłusow- nicy, owszem, zdarzali się, ale nie w biały dzień i nie trzy strzały z rzędu.

Jakby morsem nadawał, przemknęło Patrykowi przez myśl, gdy wybierał numer.

— Dzień dobry, pani Janikowa, zajmie się pani dziećmi? Coś mi wypadło nagłego...

Po potwierdzeniu rozłączył się i dopiero wtedy dotarły do niego spojrzenia trójki podopiecznych. Adaś, Lusia i Anielka patrzyli nań wielkimi przerażonymi oczyma. — Jedziesz na wojnę, wujku? — wyjąkała Lusia. — Zginiesz i zostaniemy sierotami?

— Nie, moja mała — odparł najbardziej nonszalanckim tonem, na jaki mógł się zdobyć. — Nie ma żadnej wojny i nie zamierzam ginąć. A już na pewno nie osierocę mojej księżniczki Lusi.

Chwycił dziewczynkę pod pachy, uniósł nad głową i obrócił wokoło, aż roześmiała się niczym srebrny dzwo- neczek.

— Ja też, wujku! Ja też! — zakrzyczała Anielka, ale postawił Lusię na ziemi i pokręcił głową.

— Po moim powrocie. Teraz muszę sprawdzić coś w lesie.

— Ale wrócisz przed zimą? — zaniepokoiła się mała. Mimowolnie parsknął śmiechem. Mieli przecież wrzesień...

Gdy wychodził ze sztucерem przewieszonym przez ramię, dzieci spojrzwały na siebie. Adaś wstał raptownie i rzekł ze zdecydowaniem:

— Jadę z tobą, wujku. Może ci się przydać celne oko. Ja, jak wiesz, dobrze strzelam z procy.

— O, to wiem doskonale.— Patryk uśmiechnął się lekko, otwierając drzwi toyoty. — Tak a propos, zapłaciłeś za tę szybę? — Spojrzał na chłopca z ukosa, ten zmieszał się. — Muszę jeszcze dwanaście złotych dozbierać — westchnął.

— To ty zbieraj, a ja pojedę sam.

— Wujku!— Dzieciak podbiegł doń ze łzami w oczach. Oprócz łez miał w nich takie samo przerażenie jak dziewczynki. Dlaczego? Patryk przecież wiele razy wyjeżdżał w teren z bronią. Dlaczego dzieci bały się właśnie dziś? I dlaczego on sam czuł chłód w okolicach serca?

— Pilnuj kobiet i domostwa — szepnął konspiracyjnie do Adasia, puszczając oczko.

— Jasne — odszepnął mały i zatrzasnął drzwi samo- chodu.

Patryk patrzył we wsteczne lusterko, jak małe figurki znikają na zakurzonej drodze. Przez głowę przemknęła podstępna myśl, że widzi dzieci po raz ostatni, ale odgonił ją szybko. Wybrał numer Piotrka. Chłopak odebrał po pierwszym sygnale, a Patryk odetchnął z ulgą.

— Masz szczęście, że jesteś tam, gdzie kazałem — rzucił. W okolicach opuszczonego siedliska, gdzie prawdopodobnie skrył się kłusownik, nie było zasięgu i pod- leśniczy nie odebrałby telefonu.

— Rozkaz nie gazeta — odparł filozoficznie chłopak.— Do tej pory padły trzy...

Urwał, bo w tej chwili strzelono po raz czwarty. — No, on sobie chyba kpi — zachnął się Piotrek. — Kamikadze jakiś czy co? My go żywcem pożremy! Mogę tam pójść i się przyjrzeć,

szefie? — miauknął prosząco. — Masz siedzieć na dupie i czekać! — odwarknął Patryk. Coraz bardziej mu się to nie podobało. Kłusownik był zbyt pewny siebie jak na... kłusownika.

— Dobra już, dobra — usłyszał.

— Musimy być w kontakcie, stary, a tam nie ma cholernego zasięgu. Nawet na miejscu możemy do siebie pogwizdać co najwyżej.

— Jasne, szefie.

— I odejść lepiej od samochodu. Ukryj się gdzieś, żeby nie wziął cię na cel.

— Jasne... Szefie? — Głos Piotrka, do tej pory niefrasobliwy, nagle zabrzmiał inaczej. — Ty myślisz, że on mógłby nas...?

— Myślę, że on na nas czeka — odparł Patryk. Taak. Najwyraźniej jakiś bandzior urządził sobie polowanie na leśniczych. Słyszał o takich przypadkach i wiedział z opowiadań, że psychopaci są skrajnie

niebezpieczni i nieobliczalni. Czasem chcą się tylko zabawić, lecz czasem... zabić. Rzucił okiem na sztucer. Czy on — Patryk Jeziorowski — potrafi strzelić do człowieka? Nigdy jeszcze nie brał nikogo na cel... Czy potrafi namierzyć istotę ludzką i, widząc jej twarz w celowniku, pociągnąć za spust?

— Zaraz się przekonamy — mruknął do siebie, skręcając w drogę numer 34. Po chwili parkował obok służbowej terenówki Piotrka. Tamten wyskoczył radośnie z krzaków i został natychmiast usadzony:

— Właśnie jesteś trupem. Ja zaraz po tobie.

— Przepraszam, szefie.

— Musisz powtarzać to „szefie”? — Patryk sięgnął po sztucer, któremu chłopak przyglądał się z zazdrością. Bo też było czego zazdrościć. Beretta Whitewing wyglądała naprawdę imponująco.

— Nie muszę, ale to tak fajnie brzmi — odparł, ruszając za mężczyzną. Przed nimi były dwa kilometry forsownego marszu przez las. Drogą byłoby kilometr dalej. Parę minut po tym, jak wysiedli z samochodu, padł kolejny strzał.

— On faktycznie nadaje z tego siedliska! — Piotrek ze zdumieniem pokręcił głową. — Czeka na nas czy co? — Może czeka. Na miejscu się rozdzielimy... — Przerwał mu trzask komórki. Odebrał połączenie i... dobiegł go ledwie słyszalny, przerywany głos Plamy.

— Patrycja... miała prze... nie... żyje. Patrycja nie żyje! Chryste, Patrycja nie żyje...

— Rozumiem — wykrztusił.

I już wiedział, kto czeka nań przy opuszczonym siedlisku. Łukasz.

Plama pogładził splątane włosy nieprzytomnej. Przed chwilą dzwonił do Patryka.

— Patrycja miała przesilenie, nie martw się, żyje i żyć będzie. Odłączyliśmy ją od respiratora. Łukasz chciałby cię prze... zaprosić. Patryk? Przyjedziesz? — Spojrzał na telefon, a potem na przysłuchującego się rozmowie Łukasz i pokręcił głową. — Stracił zasięg. Zadzwoń trochę później. Pogładził śpiącą Patrycję po zlepionych potem włosach.

— Teraz już wszystko będzie dobrze. Musi być! Polana otaczająca opuszczone przed laty, na wpół zrujnowane zabudowania zdawała się oazą spokoju. Patryk, przeczesując okolice domostwa przez lunetę sztucera, widział nawet wróble, radośnie dokazujące wśród ruin stajni. Nagle ptaszki wyprysnęły w górę. Mężczyzna natychmiast skierował broń tam, gdzie wydawało mu się, iż zauważył jakiś ruch. Nic. Cisza i spokój. Jesienne słoneczne popołudnie.

— Zaczynaj obchodzić z prawej — szepnął do Piotrka. — Ja cię osłaniam. I pamiętaj. Pierwszy strzał należy do tamtego, drugi jest mój. Trzeci twój.

Chłopak pobladł nagle, skinął głową i powoli, ostrożnie ruszył w kierunku, który wskazał Patryk. Ten powrócił do lustrowania ruin.

— Pokaż się, Łukasz — syknął. I nagle... tamten pokazał się.

Stanął, jak gdyby nigdy nic w drzwiach opuszczonego domu, ze sztucerem w dłoni, skierował



lufę w niebo i... strzelił.

— Niech cię szlag! — Patryk uchwycił głowę tamtego w celownik wyostrzył i... z gardła mężczyzny wydobył się głuchy jęk. Poderwał się na równe nogi i ruszył ku otwartej przestrzeni.

— Czyś ty oszalał?! — ryknął. — Człowieku, czyś ty ocipiał?!

Tamten podniósł spokojnie broń do oka, a Patryk stanął jak wryty.

— Rzuć to, Gabriel! Rzuć broń! — Patryk poderwał berettę. Teraz, w zbliżeniu, widział wycelowane w siebie dwie lufy.

Odbiło skurwielowi!!! Ten oszołom naprawdę chce mnie...

Nie! Tamten opuścił sztucer i czekał.

Patryk na miękkich nogach ruszył przez polanę. Był odważny, ale nie aż tak, by iść z pieśnią na ustach, gdy do niego celują.

Gabriel czekał spokojnie w podcieniu zrujnowanej chaty. — Obiecałem ci kiedyś — zaczął, nie dopuszczając Patryka bliżej niż na dwa kroki — że cię odstrzelę, gdy zajdziesz mi za skórę. Nie posłuchałeś ostrzeżenia. Patryk milczał.

— Jak śmiałeś stanąć przeciw mnie w sądzie? Jak śmiałeś odebrać mi dzieci?!

Patryk milczał.

— Do spółki z siostrunią zniszczyliście mi życie. Ona miast zapłacić za całe zło, które na nas zesłała, wróci jakby nigdy nic, wypoczęta i uśmiechnięta, ty w Zmyślonej będziesz pławił się w uwielbieniu Dominisi i moich, moich! dzieci, a ja zostanę sam?! Nieee, Patryk, zawarliśmy układ: ty mnie albo... Za ciebie poszedłbym siedzieć, ale mam tu swoją... sukę! — Uśmiechnął się, wskazując pomieszczenie za swoimi plecami, a Patryk tym razem nie mógł zmilczeć.

— Ty bydlaku, ty sadysto porypany, masz Pepsi!!! Zatrzymały go obie lufy sztucera, wbijając się w pierś. — Ani kroku, Patryku Jeziorowski, bo tym razem polegniesz. Nie zdołał ubić cię twój kumpel — myślisz, że nie wiem, jak swego czasu szalałeś z bronią po pijaku? — to ja cię załatwię. I upozoruję wypadek.

Patryk cofnął się o krok, patrząc na nieruchomą ścianę lasu, gdzie krył się młody leśniczy.

Piotrek, błagam, trzymaj się od tego psychopaty jak najdalej!!!

— Wypuść psa — zaczął na głos, myśląc rozpaczliwie, co robić. — Na kulę zasłużyłeś ty, nie ja. Wszystko, co się stało, to twoja wina, to ty byłeś na tych cholernych zdjęciach...

— Ja i Patrycja. Gdy się w końcu obudzi...

— Patrycja już się nie obudzi — wpadł mu w słowo. — Przed chwilą dzwonił Plama. Patrycja nie żyje. Beznamiętnie patrzył, jak Gabriel blednie, chwije się na nogach i jedną ręką łapie ściany. Bez współczucia obserwował, jak siada ciężko w kącie, kręcąc głową z niedowierzaniem.

— Ona nie może umrzeć — wychrypiał. — Ja... Jeszcze jej nie prosiłem o wybaczenie.

— I nie poprosisz. Za późno — uciał Patryk krótko, okrutnie i ruszył do sąsiedniego pokoju po psa. Ruch w miejscu, gdzie tkwił tamten, wychwycił kątem oka. Gabriel przyłożył sobie lufę do podbródka i sięgał do spustu. Patryk jednym skokiem był przy nim, chwycił za sztucer i szarpnął do siebie.

Padł strzał.

Patryk zachwiał się. Złapał za pierś.

W tym momencie padł drugi strzał — zza ruin stodoły. Gabrielem rzuciło o ścianę.

Zaskowyczał pies.

Krzyknął człowiek.

Patryk powoli osunął się na podłogę.

Leżał, przyciskając dłonie do rwącej wściekle rany, przez palce płynęła krew, błękitne niebo zaczynało ciemnieć — za chwilę miała pochłonąć go błoga nieświadomość, ale on musiał wytrzymać dotąd, aż przybiegł roztrzęsiony Piotrek.

Chłopak próbował coś powiedzieć, ale tak szczeptał zębami, że nie mógł wykrztusić słowa. Za to Patryk mógł. Złapał go za poły munduru, podciągnął się i wychrypiał: — To był... wypadek. — Zakasłał krwią. — Sam widziałeś. Dzieci... Ratuj go... —jęknął. — To... mąż mojej siostry. Mój... przyjaciel.

Palce zaciśnięte na mundurze rozwarły się. Stracił przytomność.

— Ładny mi, kurwa, przyjaciel!— Piotrek rozerwał mundur Patryka, wyszarpnął z kieszeni chustkę i przyłożył z całych sił do rany, ale krew wciąż płynęła. — Co mam robić, kurwa?! Co ja mam robić?! Przecież ciebie tu nie zostawię!

Musi zostawić. Nie przeniesie ani nie przeciągnie ciężko rannego do samochodów. Stały dwa kilometry stąd. Ale nim go zostawi, swojego druha, swojego ukochanego „szefa”, musi zająć się tamtym...

„Tamtym” leżał przy ścianie w kałuży krwi, ale był przytomny. Miał przestrzelony prawy bark i niewładną rękę, mimo to mierzył podleśniczego spojrzeniem niemal drwiącym.

— Kiepsko celujesz, przyjacielu— wydusił przez zaciśnięte zęby. — Może poprawisz?

— Poprawię.

Wziął zamach i rąbnął go kolbą sztucera w skroń. Gabriel padł na twarz jak ścięty.

Piotrekzawrócił biegiem do Patryka, po drodze zgar- niając broń Gabriela. Najbardziej bał się tego, że gdy on będzie sprowadzał pomoc, facet ocknie się i dobije Pat- ryka, ale nic innego, jak szybki sprint do samochodów, nie przychodziło mu do głowy.

Przyklęknął przy przyjacielu, krew wciąż sączyła się z rany. Oderwał rękaw od munduru, chciał nałożyć choć prowizoryczny opatrunek, ale zrozumiał, że nie ma czasu. Okrył więc rannego bluzą od munduru i ruszył ku samo- chodom i radiotelefonowi.

Jeszcze nigdy nie biegł tak szybko. Dopadł do dżipa resztkami sił. Wyszarpnął radio, przełączył na kanał ogól- ny i zaczął nadawać, nie czekając, aż ktokolwiek się zgłosi:

— Ciężko ranny Patryk Jeziorowski. Przyślijcie dwie karetki na oddziałową trzydzieści cztery— czterdzieści pięć przy opuszczonym siedlisku. Powtarzam: ciężko ranny Patryk Jeziorowski. I bydlak, który do niego strzelał. — Radio milczało. — Czy ktoś mnie słyszy?! — Rąb- nął w drzwi dżipa. — Co z wami?! Patryk się, kurwa, wykrwawia!!!

W tym momencie ktoś odpowiedział:

— Przyjąłem: trzydzieści cztery—czterdzieści pięć. Siedlisko. Patryk Jeziorowski ciężko ranny. Dwie karetki. Piotrek puścił radio, które nagle rozkrzyczało się dzie- siątkami głosów, porwał apteczkę i ruszył z powrotem ku ruinom gospodarstwa. Po twarzy spływały mu długo wstrzymywane łzy, które ocierał raz po raz przedramie- niem. Jeżeli nie zdąży... Nigdy sobie nie daruje, że zo- stawił Patryka samego. Nigdy.

Podwójne drzwiczki zatrzasnęły się i karetka ruszyła z przenikliwym wyciem. Po chwili w jej ślady poszła druga. Piotrek odprowadził obie zażawionym wzrokiem. Ktoś, mimo że było ciepło, narzucił mu na nagie ramiona koc. Ktoś inny wcisnął do ręki kubek z gorącą herbatą i kazał pić. Chłopak posłusznie wychylił łyk i zakrztusił się. Ręce zaczęły mu dygotać tak, że wylał część płynu. — Spokojnie, chłopie, damy radę — usłyszał głos nadleśniczego.

Skąd tu się wziął nadleśniczy? Piotrek rozejrzał się półprzytomnie. Cichy do niedawna las rozbrzmiewał teraz dziesiątkami głosów. Dookoła, jak duchy, włóczyli się ludzie w mundurach, jakby jakaś siła nie pozwalała potę- pionym duszom na opuszczenie tego przeklętego miejsca. Część z nich znał z widzenia, paru — stali teraz przy nim — było jego kumplami, ale tak naprawdę jedynym przyjacielem był ten, którego wiozła na sygnale karetka. I na którego widok lekarz pokręcił głową, a potem — łapiąc spojrzenie chłopaka — próbował się uśmiechnąć krzepiąco.

Nadjeżdżały kolejne samochody. Była już policja. Ktoś w czarnym mundurze zaczął zadawać pytania, ale nad- leśniczy uciszył mężczyzną gniewnym ruchem. — Jutro. Poczekacie do jutra.

Ten chłopak ledwo stoi na nogach.

Zgarnął Piotrka ramieniem i poprowadził do swojej terenówki. Po chwili jechali śladami karetki, by minąć stojące na poboczu, jakby nic się nie stało, toyotę Patryka i dżipa Piotrka.

— Dzieci — wyszeptał naraz chłopak, odprowadzając wzrokiem samochody.— Dzieci zostały same! Muszę je uprzedzić, nim ktoś życzliwy przerazi je na śmierć. — Dzieci są na pewno pod opie...

— Proszę, panie nadleśniczy — chłopak przerwał starszemu mężczyźnie w pół słowa. Ten rzucił mu uważne spojrzenie, pokręcił lekko głową, ale cofnął samochód. — Możesz prowadzić?

— Już tak. — Piotrek wyciągnął przed siebie dłonie. Drżały leciutko.

— Przyjdź jutro do pracy. Upij się, odeśpij, ale przyjdź. Nim przesłucha cię policja, chciałbym wiedzieć, co się stało.

Piotrek kiwnął głową, wyskoczył na zewnątrz i ruszył do toyoty.

Usiadł w cichym wnętrzu, poczekał, aż nadleśniczy odjedzie, i rozplakał się jak dziecko.

Na drodze do leśniczówki czekały trzy małe figurki niemal tam, gdzie zostawił je Patryk, odjeżdżając. Widząc znajomy samochód, ruszyły mu naprzeciw w podskokach, machając rączkami. Nagle zwolniły. Piotrek też zwolnił, aż wreszcie zgasił silnik. Wysiadł na miękkich nogach.—

-Cześć, dzieciaki.

— Cześć, panie Piotrku — odparły niemal chórem. Zwykle śmiał się z tego powitania, ale nie dziś. Dzieci obrzuciły go długim uważnym spojrzeniem. Ich uwadze nie umknęło nic: ani nagie, poplamione krwią ramiona, ani ślady łez na policzkach, ani drżące ręce. — Wujek Patryk nie żyje? — wyszeptała Anielka, blednąc.

— Żyje, żyje — odparł szybko Piotrek, ale dzieci nie uwierzyły.

— Jesteś cały we krwi. Zabili go bandyci? — Mówiła tylko ona. Adaś i Lusja chwycili się za ręce i patrzyli na Piotrka, jakby był upiorem, który osobiście zamordował Patryka.

— Wasz wujek żyje — powtórzył tamten ostro. — Nie wolno myśleć inaczej. Chodźcie, umyjcie się, przebiorę w coś i pojedziemy do szpitala czekać na wiadomości. Kiwnęły zgodnie głowami.

— Zabiłeś przynajmniej tego bandytę, panie Piotrku?— zapytał z gniewem i nadzieją Adaś.

Chłopak już chciał coś rzucić na temat bandyty, gdy... aż stanął, szarpiąc uwieszony u jego rąk dziewczynki. „Brać mojej żony. Uratuj go”. To były ostatnie słowa Patryka, nim zemdlął. Być może w ogóle jego ostatnie słowa.

Te dzieci były dziećmi jego siostry. I tego, który do Patryka strzelał.

Gdyby mógł, usiadłby i znów zapłakał. Przerastało go to. Wydarzenia dzisiejszego dnia, gdy najpierw ruszył podniecony napolowanie, potem odruchowo uniósł broń i strzelił, niemal nie celując, do człowieka, aby w końcu widzieć, jak wykrwawia się jego przyjaciel, były ponad siły chłopaka, a musiał je mieć, by miały je te dzieci. — Raniłem. Żeby nikomu nie uczynił krzywdy. Nie wolno zabijać człowieka — odpowiedział na pytanie Adasia.

— Nawet jak chce zabić wujka Patryka? — chłopiec zacisnął pięści.

— Nie chciał go zabić. Może strzelił niechcący? — skłamał gładko. Niechcący. A juźci, skurwielu... Weszli do domu, gdzie gospodarzyła stara Janikowa. Na widok Piotrka znieruchomiała.

— Żyje? — rzuciła tylko.

Aparatura nagle oszalała.

— Tracimy go!— krzyknął anestezjolog, chwytając za elektrody.— Tomek, dorzuć dwójkę i podłącz drugi PWE w szybkim wlewie.

Na ekranie kardiomonitora rozchwiana zielona linia nagle znieruchomiała, by po chwili wśród

pisku alarmu rozciągnąć się w prostą nieskończoność.

— Ręce!

Sanitariusze cofnęli się.

— Gotów.

Ciałem Patryka targnął potężny wstrząs. Aparatura zachłysnęła się, na moment ucichła, ale po sekundzie alarmowała nadal:

— On umiera! Umiera! Umiera!

Komórka dzwoniła bez przerwy. Siedzieli w szpitalnej poczekalni, patrząc na wyświetlające się numery. Telefony od znajomych z nadleśnictwa odbierał Piotrek. Od Łukasza— Anielka. Pozostałe nic dzieciom ani Piotrkowi nie mówiły. Dopiero kolejny...

— Patrzcie, Nika dzwoni — wyszeptał Adaś. — Dzwoni do niego!

— Powiedz jej, żeby wróciła — rzekła błagalnie Lu-sia. — Poproś, żeby wróciła.

Adaś odebrał i nim zdążył powiedzieć choć słowo, został niemal zakrzyczany:

— Dzięki Bogu, że odebrałeś! Dzwoniłam już z dziesięć razy! Co to za wiadomość na mojej komórce: „Patryk ciężko ranny. Szpital w Wieluniu”? Żarty sobie stroisz?! Prima aprilis?!

— Nika, to ja, Adaś — zdołał wykrztusić chłopiec. Po drugiej stronie zapanowało milczenie. — Nika, wujek Patryk jest bardzo postrzelony. Może byś wróciła, co? Cisza.

— Dominika, jesteś tam?

— Jestem, kochanie, jestem— dobiegł go słaby głos. — Co się stało?

— Kłusownik wujka zastrzelił. Czekamy w szpitalu na wiadomości. Wrócisz?

— Wróci?— zapytała z nadzieją Anielka, gdy chłopiec odłożył telefon.

— Tak. Pobiegła łapać samolot. Dziewczynki odetchnęły głęboko, z ulgą.

— Jeszcze tylko wujek Patryk wyzdrowieje i będą żyli długo i szczęśliwie — rzekła z przekonaniem Lusia.— Bo wyzdrowieje, panie Piotрку?

Chłopak spojrział na nią nieprzytomnym wzrokiem. Patryk musi z tego wyjść. Musi!!! Jeżeli nie... Stał nad brzegiem rzeki. Martwej rzeki. Dookoła ścieliła się szara, sucha trawa, kwiaty bez płatków sterczały ku niebu koloru popiołu, kikuty drzew unosiły bezlistne ramiona, jakby w rozpacz...

U jego stóp siedziała szczupła kobietka o kasztanowych włosach. Przepuszczała mętną wodę przez palce. Nagle podniosła na Patryka oczy.

— Przeklęła mnie. Rzuciła na mnie klątwę. Całą siłą nienawiści.

Zamilkła na chwilę, bawiąc się wodą.

— Niełatwo odwrócić tak silną nienawiść. Odbita klątwa uderza w tego, kto ją rzucił i w jego najbliższych. Powraca w trójnasób. Gdybym chciała się bronić, zabiła- bym tych, których kocham. Dwoje niewinnych dzieci. I ją.

Uniosła głowę, zapatrzyła się przed siebie. Drugi brzeg wabił pyszną zielenią, szmerem strumienia, błękitnym niebem, słońcem i wiatrem. Tam szumiały drzewa, a kwiaty żywo kwitły. Tu była kraina śmierci.

— Odchodzę. — Patrycja wstała, jakby podjęła nagłą decyzję.

— Nie możesz odejść! — Chwycił ją za rękę. — Łukasz i Anielka nie mogą bez ciebie żyć. Jeżeli odejdziesz, pociągniesz za sobą i ich, i... mnie. Mniejsza o mnie, jestem mniej niezbędny na tym świecie, ale ty... — Głupstwa pleciesz — zganiała go łagodnie. — Masz przed sobą wiele do zdziałania. Pamiętasz swoje marzenie. To Wielkie, najpiękniejsze i najgorętsze?

Zaczerwienił się z zażenowania. Skąd mogła wiedzieć?! Zajrzał w zielone oczy. Ona mogła wiedzieć.

— No widzisz?— Uśmiechnęła się. — Musisz żyć... — Ty też musisz! Posmutniała.

— Nie mogę. Nie mogę żyć ze świadomością, że straciłam dziecko. Po prostu nie mogę. Wiem,

że to tchórzostwo, powinnam sprostać temu ciężarowi zamiast uciekać w śpiączkę, a teraz w śmierć, ale... nie mogę tego znieść. Bólu, poczucia winy, cichego oskarżenia każdym słowem, każdym spojrzeniem Łukasza i Anielki. — Nikt cię nie oskarża! To był wypadek, na Boga! Straciłaś dziecko, to straszny ból, ale dlaczego skazujesz na taki sam niewinną córeczkę?! Ja wiem, co to znaczy stracić matkę. Wiem, jak trudno budzić się w koszmarze i trwać w nim od rana do wieczora. I znów ranek, i kolejny wieczór. Pusty. Bez dotyku Jej dłoni, bez dźwięku Jej głosu, Jej śmiechu. Ja. To. Wiem! A ty, jeśli opuścisz Anielę, nigdy nie znajdziesz ukojenia, w żadnym ze światów. Nigdy, rozumiesz?! — Potrząsnął nią z taką furją, taką rozpaczą, jakby miał przed sobą własną matkę. Ale ona patrzyła już gdzie indziej. Na drugi brzeg, do którego zbliżała się... Odwróciła się ku oniemiałemu mężczyźnie.

— Może być? — zapytała, uśmiechając się leciutko. A potem przeszła na drugi brzeg.

Jeszcze odwróciła się na chwilę, spojrzała smutno na Tamtą, skinęła dłonią na pożegnanie i ruszyła przez roz-kołysaną łąkę. Ku słońcu.

Patrzyli, jak znika w jego złotych promieniach. Słońce zgasło. Patrycja odeszła. Zapłakał.

Czyjaś ciepła, miękka dłoń starła łzę z jego policzka. Ta sama dłoń ujęła jego rękę i przytknęła do ust. Uchylił ciężkie powieki i obdarzył dziewczynę uśmiechem samych oczu, bo skrzywił ust nie miał siły. Chciał powie- dzieć dwa słowa, które pragnęła usłyszeć, a których jej skąpił. Tak, chciał jej teraz, zaraz powiedzieć: „Kocham cię”. Ale nawet oddychanie sprawiało ból. Łza znów spłynęła po policzku. Tym razem scałowały ją usta Do- miniki.

— Ja też cię kocham — szepnęła cichutko. — Jestem tutaj i nie zamierzam uciec. Już nigdy.

## ROZDZIAŁ IX

— Łąły, aj mister łąły... Dziś uczeszę cię, mamuniu, w warkocz. Nie. W koronę. Luśka mnie nauczyła. Roz- dzielam twoje włoski na pół, biorę jedno pasemko, piękne masz włoski, mamuniu, potem drugie... Aj hew nołbady for maj ooołn... — Dziecko nuciło cichutko.

A ona słuchała.

Nie wiadomo, co przyzywało ją bardziej: słowa i melodia dawno przebrzmiałej piosenki, dźwięczny niczym dzwoneczek głosik śpiewający tę piosenkę czy dotyk małej rączki na włosach.

Zapragnęła nagle poczuć ciepło tej rączyny prawdziwie. Tak właśnie: prawdziwie.

Przemożnie zapragnęła.

— Aajem łąły... — śpiewało dziecko, czesząc delikatnie jej włosy, gdy nagle rozległ się drugi głos:

— Anielka, tyle razy prosiłem: nie śpiewaj tego! — Ale, tatuniu, mama lubi tę pio... — dziecko urwało w pół słowa.

Uniosła powieki. Troszeczkę, a mimo to światło dnia oślepiło ją na parę chwil.

— Tato— usłyszała pełen niedowierzania szept. — Tato! — dziecko zawołało głośniejszym głosem. — Tato!!! Mamusia się obudziła!!!

Gdzieś z dołu dobiegł brzęk upuszczonego garnka. Na schodach zadudniły kroki.

Zmusiła się, by znów otworzyć oczy. Chciała widzieć światło tego dnia, tego pokoju, tego świata. Blask przestał razić.

Ujrzała stojącą obok łóżka dziewczynkę i zamarłego w drzwiach mężczyznę. Uśmiechnęła się nieśmiało. W oczach mężczyzny błysnęły łzy. Dziewczynka cofnęła się w jego stronę, ale on zrobił krok w kierunku łóżka. — Patrycjoo... — głos mu się załamał.

Milczała długą chwilę, smakując swoje nowe imię. — Patrycja — szepnęła cicho, bo jej krtań odwykła od wydawania dźwięków. — A ty, maleńka, jak masz na imię?

Dziewczynka spojrzała pytająco na mężczyznę. Ten pokręcił zszokowany głową.

— Anielka, mamuniu.

— Jestem twoją mamą? — zdziwiła się.

Dziecko przytaknęło powoli.

— A-a to— zająknęło się, wyciągając rękę do męż- czyzny.— To jest twój Łukasz...

Obudziła się tamtego wrześnieowego poranka z umysłem czystym jak umysł noworodka. Nie znała swego imienia. Nie pamiętała tych, których kochała w tamtym życiu. Tych, których nienawidziła, zresztą też.

Wstrząs, jaki wszyscy przeżyli, trwał krótko, bo Patrycja Druga była osobką... rozbrajającą. Otoczona najczulszą opieką wracała do zdrowia tak szybko, jakby chciała w trójnasób nadrobić stracony czas. Łukasz, w przenośni i dosłownie, nosił ją na rękach, więc na początku słaba jak niemowlę, odzyskiwała siły z każdym dniem, z każdym oddechem, z każdym otwarciem oczu. I jej oczy jaśniały na widok tego mężczyzny. I jaśniały na widok córeczki. Mecenas Marynowska stała się matką najlepszą z naj- lepszych. Widać trzeba było niemal śmierci córki, by pokochać ją wreszcie całym sercem. Teraz biegała po żoliborskiej willi, pilnując, by w całym domu panował twórczy nieład, który swego czasu Patrycja uwielbiała. Patrycja zaś biegała za matką i przywracała porządek, myśląc, że ów twórczy nieład to kaprys starszej pani. Do Haliny Marynowskiej, którą kiedyś z trudem nazywała matką, teraz mówiła „mamuniu”, tak jak Anielka do niej samej, a pani mecenas na dźwięk tego słowa miętkło serce i łzy kręciły się w oczach. I odpowiadała łamiącym się głosem: „Tak, córeńko? Słucham, córuniu?”, smakując te dwa piękne, słodko brzmiące słowa...

Na Łukasza Patrycja patrzyła z mieszaniną zdziwienia, uwielbienia i strachu, ale co ją dziwiło, za co go uwiel- biła i czego się jego ukochana dziewczynka bała, tego nie wiedział, a ona — nawet zapytana — nie mówiła. Być może sama nie wiedziała...

ZAnielką dokazywała i psociła niczym małe dziecko. Obie do spółki roznosiły żoliborski pałac, zmieniając co rusz wystrój wnętrza, a to za pomocą kilometrów krepiny, a to gałęzi i kwiatów z ogrodu, starych mebli ze strychu... Pani Halina zamiast złorzeczyć, podsuwała im co bardziej zwariowane pomysły, biorąc w demolce swego domu czynny udział. Anielka nigdy wcześniej nie była tak rozdokazywana jak w pierwszych miesiącach powrotu mamy Stamtąd. Patrycja również nie. Pani Halina tym bardziej.

Lecz bywały dni, w których Patrycja nie zwracała uwagi na otoczenie zapatrzona i zasluchana we własną jaźń. Bo Patrycja Druga, jak utarło się ją nazywać w odróżnieniu od Patrycji Pierwszej sprzed wypadku, tam właśnie próbowała odnaleźć odpowiedzi na najważniejsze pytanie w życiu każdego człowieka: Kim jestem?

I nikt nie mógł jej pomóc w poszukiwaniach własnej tożsamości.

— Rzucaliśmy mięsem! — pochwaliła się przy kolacji. Siedzieli w przytulnej kuchni, jak co wieczór dzieląc się historyjkami z minionego dnia. Anielka była oczarowana nową szkołą, a Patrycja studenckim życiem — w tempie ekspresowym ponownie przerabiała materiał studiów weterynaryjnych.

— Uczyli cię kłąć? — zapytał Łukasz zgorszony. — Neee— pokręciła za śmiechem głową. — Podczas ćwiczeń z anatomii urwałam niechcący kawałek mięśnia i... no, przeleciał całą salę, przylepił się do tablicy i spadł na głowę Felicji. Zwrotnie dostałam w czoło czymś rów- nie obrzydliwym.

Anielka parsknęła śmiechem.

— Mamuś, będę mogła zrobić w klasie to samo? Z ka- napką?

„Noo...” Patrycji zbiegło się z: „Nie!” Łukasza. Patrycja mrugnęła do córeczki.

— Zrobię ci jutro samoprzylepną kanapkę — wyszeptwała konspiracyjnie, uśmiechając się słodko do mężczyzny. — A liścik miłosny włożysz? — miauczała prosząco zachwycona Anielka.

— Oczywiście!

— Z naszym wierszykiem?

Zapadła cisza. Nie pamiętała żadnych wierszyków. Nawet tych, które napisała dla córeczki. — Z waszym wierszykiem— zapewnił dziewczynkę Łukasz, a Patrycja po raz nie wiadomo który uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. — A teraz biegnij do łóżka, babcia obiecała ci bajeczkę...

Gdy mała obdzieliła ich setką buziaków na dobranoc i zniknęła w kolorowej sypialni, uśmiech zniknął z twarzy Patrycji. Nie pamiętała wierszyka... ani „ich wierszyka”, ani żadnego innego...

— To bardzo trudne, wiesz?— Spojrzała smutnymi oczami na mężczyznę. — Szukać rozpaczliwie w pamięci słowa czy zdania, które na pewno tam jest. Szukać bez-owocnie, bo ono wciąż jest poza zasięgiem twojego umysłu. Wiesz, jakie to trudne?

— Nie — odrzekł zgodnie z prawdą. — Nawet nie potrafię sobie wyobrazić. — Pocałował ją w czubek głowy. Na więcej nie śmiał sobie jeszcze pozwolić. — Czuję się pusta. Tak strasznie pusta w środku... — Przełknęła pierwsze łzy. — Wy wszyscy, nawet sześciolatnia Anielka, macie wspomnienia, macie historie, wspólne historie do opowiadania, a ja niby w nich jestem, ale... to nie ja. Wasze historie są mi obce, nie odnajduję w nich ani okruszka własnej, a przecież i ja w nich byłam! — I nagle ta słodka, urocza Patrycja Druga wybuchnęła gniewem.— Dlaczego się obudziłam?! Dlaczego nie pozwoliłeś mi odejść?! Czy wiesz, jak trudno żyć bez tożsamości?! Bez wnętrza?! Bez wspomnień?! Gdzie przynależę?! Kim jestem?! Może wcale nie Tamtą?! Może znaleźliście mnie w jakimś przytułku i przygarnęliście na jej miejsce!!!

Chciał zaprzeczyć, wykrzyknąć: Co ty bredzisz! Ale zamiast tego wyszedł do sąsiedniego pokoju, szukał cze-goś przez chwilę i wrócił z...

— „Poczekajka”... „Zachcianek”... — przeczytała pół-głosem. — O, Patrycja Pierwsza na okładce! I jako autor-ka! To... To ja napisałam?!

— To o mnie?— dziwiła się później, czytając własne słowa. — Legwan odgryzł mi koniuszki? — Przyglądała się z niedowierzaniem swoim palcom, na których rzeczy-wiście miała blizny po legwanich tarczках.

— Gabriel istniał naprawdę? — zapytała w dniu, w którym skończyła książkę. Łukasz przytaknął niechętnie. Nie widział hrabiego od czasu rozprawy sądowej, na której tamten został skazany na trzy lata w zawieszeniu za spowodowanie wypadku z bronią palną, w którym omal nie zabił Patryka.

Patryk... Co porabiasz, bracie?

Jak tam twoja Zmyślona? A Dominika? Mam nadzieję, że jakoś się wam ułożyło...

Patryk odzyskał przytomność na sali OIOM-u tydzień po tym, jak go przywieziono w stanie ciężkim. Dominika nie opuszczała szpitala na krok. Gdy tylko dojechała, gdy tylko dowiedziała się, że Patryka z trudem reanimowano i w dalszym ciągu walczy o życie, gdy w końcu zrozumiała, że to on jest całym jej światem, jest jej życiem, nie ruszyła się spod drzwi jego sali dopóty, dopóki lekarz nie oznajmił zebrany, bo oprócz dziewczyny zawsze był ktoś z nadleśnictwa, że zagrożenie minęło i Patryk Jeziorowski będzie żył. Tego dnia Dominika pozwoliła sobie zejść do stołówki na pierwszy od wielu dni gorący posiłek, wynajęła pokój dla odwiedzających, splotkana usnęła na parę godzin i wróciła pod salę, czekać na miłość swego życia.

Tam właśnie zastał ją Łukasz, który przyjechał do Wielunia, żeby choć parę godzin spędzić przy ciężko rannym przyjacielu. Na szpitalnym korytarzu spotkał... Gabriela, który przed zabiegowym czekał na zmianę opatrunku.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie z nieskrywaną niechęcią, jeśli nie nienawiścią.

— Gdzie jest pochowana?— odezwał się w końcu Gabriel.— W Warszawie?

— Kto, na Boga?— zdumiał się Łukasz.

— Ona. Twoja żona. — Imię Patrycji nie mogło mu przejść przez gardło.

— Patrycja? Przecież żyje. Gabriel wstrzymał oddech. — W dniu, w którym się postrzelaliście, miała prze- silenie, od tamtej pory jest coraz lepiej. Teraz śpi spokojnie, jak spała. — Urwał. Wbił podejrzliwy wzrok w Gabriela.— A co? Nadal masz zamiar nastawać na jej cześć? A może, gdy w końcu się obudzi, tym razem moje zdjęcia z jakąś laską chcesz jej przestać? — w głosie Łukasza zabrzmiała śmiertelna groźba: Nie radzę. Gabriel odetchnął głęboko. Raz i drugi...

— Mam zamiar prosić o przebaczenie moją żonę, Adasia i Lusię. Może uda nam się odbudować z ruin nasz własny dom— rzekł i nagle poczuł, jak prawdziwe i wyzwajające są te słowa.

Tak, Patrycję pochował i opłakał. Miał na to dużo czasu, gapiąc się całymi dniami w sufit urazówki. I przyrzekł sobie, że gdy wyjdzie ze szpitala, jeśli nie trafi prosto za kratki — to już zależy od Patryka — zrobi wszystko, by odzyskać Hankę i dzieci.

— Tak trzymaj— mruknął Łukasz i odszedł bez po- żegnania.

Następnym razem widział go na sali sądowej. Gabriel siedział na ławie oskarżonych, chmurny, nieobecny, pozornie nie słuchając zeznań Patryka, który gdyby tylko chciał, wysłałby go do piekła. A jednak ten mężczyzna, któremu zniszczył niemal — i to dosłownie — życie, mówił tylko prawdę.

— Usłyszałem przez telefon słowa Pla... księdza Antoniego: „Patrycja... miała... nie... żyje”. Pewnie to вина zasięgu. Zrozumiałem, że Patrycja nie żyje i to powtórzyłem oskarżonemu— wskazał Gabriela. — Potem dowiedziałem się, że Pla... ksiądz Antoni przekazał wiadomość: „Patrycja miała przesilenie. Nie martw się: żyje”. Drobną różnicą — mruknął do siebie. Wydarzenia tamtego dnia stanęły mu przed oczami jak żywe. Wzdrygnął się. — Oskarżony — kontynuował po chwili — na tę wiadomość próbował popełnić samobójstwo. Chwyciłem za lufę i szarpnąłem do siebie. Padł strzał. — Czy oskarżony celowo nacisnął spust, mierząc w pa- na?— zapytał prokurator.

Na sali zapadła martwa cisza. Wszyscy wstrzymali oddech. Gabriel po raz pierwszy od rozpoczęcia rozprawy spojrzął na Patryka.

— Nie — padła zdecydowana odpowiedź. — Chciał zabić siebie, nie mnie.

Gabriel zacisnął powieki.

Otrzymał właśnie od Patryka bezcenny dar i przyrzekł, przyrzekł sobie i jemu, że kolejny raz tego daru nie zmarnuje.

Do Hanki napisał tydzień później — zaraz po wyjściu z aresztu.

— „Zrobię wszystko, byś była szczęśliwa. Ty i dzieci”— przeczytał półgłosem Patryk. Zgodził się oddać siostrze list pod warunkiem, że pozna jego treść.

Gabriel siedział na sofie, tej samej, z której kiedyś mierzył do Patryka, patrząc na pozór beznamiętnie w ok- no, to samo, przez które Patryk wyrzucił kluczyki od gąbłoty z bronią.

— Dotrzymam słowa — odezwał się. — Pragnę tego samego, co każde z nas: normalnego domu.

— A czy wiesz, co znaczy słowo „normalny”? — Inny niż ten, w którym się wychowałem. Inny niż ten, który zafundowałem żonie i dzieciom.

— Pytam, czy wiesz, co to znaczy „normalny”? — powtórzył wolno Patryk.

I po raz pierwszy ujrzał w oczach tamtego zwykłą ludzką rozpacz. Gabriel zdobył się tylko na zaprzeczenie ruchem głowy.

Patryk nie miał zamiaru mu współczuć, słowo honoru!, nie po tym wszystkim, czego pan hrabia się dopuścił. Jednakże nie potrafił odmówić mu ostatniej szansy. — Może Hanka cię nauczy...

Nie poznałby Hanki, gdyby nie uczone jej rąk jakże znajome dzieci. Adaś i Lusja rzuciły się na Patryka z dzikim rykiem, który przeraziłby nieszczęsnych Irland- czyków, gdyby wcześniej, przez ponad godzinę oczeki- wania na spóźniony samolot, Adaś z Lusią nie przy- zwyczaili ich



do swej spontaniczności.

Teraz więc zebrani w sali przylotów patrzyli z pobłażliwymi uśmiechami, jak dwójka dzieci z Polski wita przystojnego młodego mężczyznę o niebieskich oczach i płowych włosach.

Patryk usiłował poświęcić te pierwsze minuty przybranemu siostrzeńcowi i siostrzenicy, nie mógł jednak oderwać przerażonego wzroku od ich matki.

Z pięknej serialowej Melanii, która jeszcze rok temu czarowała widzów w całej Polsce, został szkielet. Szkielet, w którego obciągniętej napiętą skórą czaszce błyszcząły chorobliwie wielkie podbite sińcami oczy. Rany boskie! — to i tylko to kołatało się Patrykowi po głowie.

Hanka czekała, aż minie bratu pierwszy szok, po czym podeszła wolno i objęła go, nie przytulając się jednak tak serdecznie jak zwykle. Jakby między nimi była niewidoczna granica, tafla szkła oddzielająca żywych od martwych.

Nie odezwała się ani słowem przez całą podróż do domu. Przez resztę wieczoru też nie. Patryk zresztą był zajęty opowiadaniem Adasiowi i Lusi, a także Lidii Jeziorowskiej, swej dawno niewidzianej matce, o wydarzeniach ostatnich tygodni.

— Pokaż babci bieliznę! — rozkazała Lusia głosem nieznoszącym sprzeciwu.

— Bliznę, idiotko. — Adaś szturchnął siostrę łokciem. — Majtek wujka nie chce oglądać.

Lusia przez chwilę podziwiała w skupieniu ślad po kuli. — No, no, ładnie cię urządził ten kłusownik. Patryk wymienił z matką spojrzenia: dzieci nie mogły się dowiedzieć, kto do niego strzelał. Może kiedyś, ale nie teraz.

— Lepszy był ten kłusownik. — Adaś dotknął blizny nad obojczykiem. — Wyglądasz, wujku, jak gladiator — dodał z dumą.

— Boże, jaki głupek... — Lusia przewróciła oczami. — Widziałeś kiedy gladiatora z dziurami po kulach? Weźcie mnie, ludzie...

— Z dziurami po grotach, owszem! Wujku, zrób z nią coś albo ja zrobię!

Patryk poderwał się, chwycił dziewczynkę pod pachę i pobiegł z piszczącym ciężarem na górę, do łazienki, bo była najwyższa pora, aby dzieci poszły spać.

Wtedy właśnie, gdy Adaś i Lusia zasnęli w swych pokojach, Hanka odezwała się po raz pierwszy: — Czy ona mi przebaczy?

Po wielokroć wracała pamięcią do tamtych wydarzeń. Choćby nie wiem jak pragnęła, nie potrafiła wymazać wspomnień. I następstw tego, co w gniewie i nienawiści uczyniła swej najdroższej przyjaciółce.

Wracały niechciane.

Sucha relacja detektywa:

— Proszę, oto zdjęcia, które udało mi się zrobić, nim oboje zniknęli w sieni. — I zdjęcie Gabriela całującego Patrycję. I Patrycji, całującej Gabriela. — Tam doszło między nimi do kłótni — mówił dalej, ale Hanka już nie słuchała, patrząc oczami pełnymi łez na dłonie przyjaciółki trzymające twarz jej męża, na jej usta całujące jego usta, na dwa ciała przyciśnięte do siebie tak, jak śniło się to Hance od lat, od czasu, gdy Patrycja uwiodła Gabriela w tej samej sieni, a on pozwolił na to, mimo że był związany już z nią, z Hanką.

Czekała ponad tydzień na męża, który włóczył się po Polsce, jak zwykle, jak zawsze gdy jechał do niej. Gdy wrócił, rzuciła mu te zdjęcia w twarz, a on nie zaprzeczył. Nie próbował się bronić. Zaatakował wściekle. I to był koniec ich małżeństwa.

Mgliście pamiętała następne noce i dni. Noce i dni, w które nie trzeźwiała.

Przeklęła wtedy Patrycję. Całą siłą nienawiści, gniewu, bezsilności i rozpaczki przeklęła tę, przez którą straciła męża i dom. I jej klątwa uderzyła. W najniewinniejszą istotkę pod słońcem: sześciomiesięcznego Bartusia. Nie ma na świecie słów, które opisałyby, co Hanka czuła, gdy dowiedziała się o śmierci dziecka. Nie ma takich słów... Nie próbowała targnąć się na swoje życie tylko dlatego, że nie zasłużyła w swoich oczach na szybką śmierć. Musiała żyć, by dzień

po dniu znosić pogardę do samej siebie, bez nadziei, że kiedyś to, co zrobiła, zostanie jej wybaczone. Bo tylko ona wiedziała, dlaczego Patrycja wybiegła za Łukaszem. Za co chciała go przebłagać — tego dnia Łukasz dostał od „życzliwej” oba zdjęcia. Tego dnia, błąd z furii, ruszył do Poczekajki, by — tak jak Hanka wcześniej Gabrielowi — rzucić dowody zdrady w twarz Patrycji. Tego Hanka chciała. Nie chciała jednak krzywdy dziecka.

Stało się.

Ciężar winy był nie do udźwignięcia. Wódka dawała zapomnienie na parę godzin. Własne dzieci były prze- szkodą w szukaniu zapomnienia: trzeba było się nimi zajmować, słuchać coraz rzadszych, coraz smutniejszych przekomarzań, wyprawiać do szkoły i przedszkola, ubierać, karmić — trzeba było po prostu żyć. A Hanka nie chciała żyć, bo każda chwila niosła wspomnienia, a su- mienie wgrzyzało się w duszę, szarpiąc niemiłosiernie. I chichocząc złośliwie, gdy próbowała ten ból zapić. Z ulgą zniosła wyrzucenie jej z domu przez Gabriela. Dotrwała do momentu, gdy matka odebrała ją z lotniska, nie komentując ani słowem stanu, w jakim znalazła córkę. Potem było tylko piekło odwyku.

Miesiącami nie miała żadnych wieści ze świata ze- wnętrznego i nie tęskniła za nimi. Zamknięta w dużym starym szpitalu, otoczonym pięknym ogrodem, miała nadzieję, że na zawsze zostanie tu, w tym więzieniu, na które sama siebie skazała. Ale świat ją odnalazł i upomniał się o nią.

Najpierw zjawił się kurier od mecenas Marynowskiej, która potrzebowała jej pełnomocnictwa. Ponoć Gabriel zabrał dzieci. A potem przybyły one — strwożone istoty, które szukały w ramionach matki pocieszenia i poczucia bezpieczeństwa — tego, czego pragnęła i ona.

Teraz zjawił się Patryk. A Hanka, choć nie miała na to sił, musiała stawić czoło oskarżeniom i wyrokowi. W jakim innym celu by przyjeżdżał? Była gotowa znów dźwignąć swój krzyż.

— Czy ona mi przebaczy? Patryk wzruszył ramionami. — Nie wiem. Ale jest ktoś inny, kogo powinnaś o to prosić.

Hanka spojrzała na niego oczami pełnymi bólu. — Luscia i Adaś? Skinął głową.

— A... a on?

Patryk bez słowa podał jej list, patrząc, jak z linijki na linijkę oczy siostry, do tej pory puste jak oczy skazańca, zaczynają się rozświetlać nadzieją i wdzięcznością, by w następnej chwili przygasnąć ze strachu przed powrotem. Opadła na oparcie krzesła, uciekając choć w ten podświadomy sposób, ale Patryk chwycił jej wyciągnięte ręce i przytrzymał.

— Zaczynaj od siebie. Na innych przyjdzie czas. Gdy miesiąc później odbierał Hanę z lotniska, ponownie nie mógł uwierzyć własnym oczom. I gdyby nie dzieci, znowu nie poznałby własnej siostry, tak radykalną przeszła przemianę. Na szczęście dla siebie i dla czekają- cego w Zaborowie Gabriela.

— Gabriel istniał naprawdę? — Patrycja powtórzyła pytanie, gdy Łukasz zwlekał z odpowiedzią. Domyślała się po lekturze własnych książek, których rzecz jasna nie pamiętała, że tych dwóch mężczyzn: Łukasza i Gabriela, łączy wściekle silne uczucie. I choć im zdawałoby się inaczej, nie jest to nienawiść. Raczej uzależnienie. Byli dla siebie jak narkotyki. Życie jednego bez tego drugiego, nie miałoby takiego sensu, takich barw, takiego tempa i takich emocji.

— Chcesz go zobaczyć? — Łukasz przerwał te rozmyślania.

Spojrzała na niego spłoszona jak zawsze, gdy miała spotkać kogoś z życia Patrycji Pierwszej. Zdobyła się na kiwnięcie głową.

Gabriel przyjechał jeszcze tego samego dnia.

Jak zwykle na czarno, ale tym razem gładko ogolony, z półdługimi błyszczącymi w słońcu włosami; wyglądał dokładnie tak, jak Patrycja go sobie wyobrażała. Stała na szczycie schodów, czekając, aż Łukasz wprowadzi gościa do środka, i z zapartym tchem patrzyła na

mężczyznę z przeszłości. Jej przeszłości. Nie, nie jej — Tamtej. On podniósł wzrok i zatrzymał się w pół kroku. Jadąc na złamanie karku, zaraz po telefonie Łukasza, spodziewał się ujrzeć Patrycję nieco bledszą, szczuplejszą, bardziej eteryczną, ale wciąż tę samą. Spotkał zaś... kogoś zupełnie innego. Owszem, to była ona — zewnątrznie niczym nie różniła się od Patrycji Pierwszej, jak to określał Łukasz, nawet włożyła swą dawną sukienkę w błękitne kwiatki, natomiast oczy miała istoty zupełnie niewinnej, a buzi nie zaznaczyły ślady tragicznych przeżyć. Nie miała twarzy dziecka — bądź co bądź skończyła niedawno trzydzieści dwa lata, ale przyciągały uwagę ufne oczy i widoczna w nich niczym niezmacona radość życia.

— Napatrzyłeś się? — mruknął Łukasz i nieznacznie pchnął gościa w stronę schodów.

Po chwili Gabriel stał przed Patrycją.

— Poznajesz mnie? — zapytał miękko.

Dziewczyna spojrzała prosząco na Łukasza. Ileż razy słyszała to pytanie. Ile razy musiała przeczyść, sprawiając tym przykrość pytającemu, który zawsze miał nadzieję, iż to jego widok obudzi wspomnienia i przywrócić chorej pamięć...

— Nie poznaje ciebie, tak jak nie poznała mnie, Anieli ani własnej matki. Prosiłem, żebyś nie zadawał głupich pytań — odpowiedział za Patrycję Łukasz. Uśmiechnęła się do niego z prawdziwą wdzięcznością i Gabriel wiedział już na pewno — i przyjął to z ogromną ulgą — że tej Patrycji nigdy nie zdobędzie. Ona, choć jeszcze o tym nie wie, ponownie oddała serce i duszę tamtemu męż- czyźnie.

— Wpadaj częściej — rzekł Łukasz wielkodusznie, gdy Gabriel zbierał się do odjazdu.

Przez całe popołudnie opowiadał Patrycji, tak barwnie jak tylko pisarz potrafi, zdarzenia z przeszłości. W jego opowieści szarża bizonów była nie tylko śmieszna — „Kalosze mi wessało!” — ale i przerażająca. Patrycja słuchała go z zapiętym tchem, ale w jej oczach nie było dawnej fascynacji tym mężczyzną. Tylko wtedy, gdy szukała spojrzenia Łukasza, rozświetlały się od środka ciepłym, jasnym płomieniem, i dlatego Łukasz mógł teraz rzucić dawnemu rywalowi: „Wpadaj częściej”. Gabriel pokręcił głową.

— Nie chciałbym się natknąć na Patryka.

Pożegnał ich oboje żartobliwym salutem. Patrycja od- prowadziła go zamyślonym spojrzeniem

— Patryk... — powtórzyła półgłosem.

— To mój przyjaciel. Jest ojcem chrzestnym Aniелki. Ku zdumieniu Łukasza odrzekła:

— Tak. Wiem.

Kilka dni później siedzieli ramię w ramię: Patrycja z Patrykiem w ogrodzie mecenasa Marynowskiej.

Łukasz przysiadł obok, tarmosząc ucho Pandy-psy. Raz po raz zerkał na milczącą dwójkę. Spodziewał się rozpo- znania, radości, pytań, chaotycznych odpowiedzi, ale nie tej ciszy!

— Pamiętasz Martwą Rzekę? — przerwała milczenie Patrycja.

— Pamiętam.

— Straszne miejsce...

— Straszne.

— Dlaczego ty, a nie Łukasz?

Patryk spojrzał na przyjaciela zamyślony. Patrycji prze- cież prawie nie znał. Spotkali się dwa razy: na ślubie i na chrzcinach dziecka. Dlaczego więc on do niej dotarł, a nie jej ukochany?

— Może dlatego, że Łukasz podążyłby za tobą? — odparł wreszcie cicho. — Może dlatego, że chciałaś mnie powstrzymać przed odkryciem prawdy?

— Jakiej prawdy? — zapytała nagle czujna.

Łukasz wstał, chwycił tamtego za ramię i bezceremo- nialnie pociągnął za sobą.

— Nie będziesz mi tu pieprzył o żadnych prawdach! — zaczął wściekle. — Rozumiesz?!

— Ona ma prawo poznać swoją przeszłość — odparł Patryk.

— Ta przeszłość mało jej nie zabiła!

— Mimo to należy do Patrycji.

— I ty będziesz ją uświadamiał? Jakim prawem?! — Nie pozwolę powtórnie jej skrzywdzić.

— Ty?! Ty nie pozwolisz?! A kim ty niby jesteś?! Świętym Patrykiem?!

— Na pewno świętszym od ciebie — odparował. — Taaak? — Gniew Łukasza ustąpił miejsca zimnej furii. — Myślisz, że od trzydziestu lat nie wiem, czemu ty odjechałeś, a ja zostałem sam jak pies w zaszranym sierocińcu?! Więc ci przypomnę, podły bękarcie: powie- działeś Jeziorowskim, którzy chcieli wziąć nas obu, obu, Patryk!, że znęcałem się nad tobą jak tamci. Że ten, który wynosił cię „na gwiazdki” i godzinami pieprzył o twojej matce, byś wrócił do żywych, wyczyniał z tobą „złe rzeczy”! — Puścił ramię mężczyzny z grymasem skrajnej pogardy. — I miałem przesrane po twoim odjeździe. Tak przesrane, że uciekłem nie raz i nie dwa. I kiepsko bym skończył, gdyby nie zaopiekowała się mną jedna z dob- rych cioc. Wiesz, co mam na myśli, mówiąc „zaopieko- wała”?! Och, święty Patryk się czerwieni. Spokojnie, bracie, bez hard porno, ciocia tylko tuliła, głaskała i cało- wała. Żadnych zdrożności. To mi zafundowałeś, bydlaku. Piekło większe niż przed twoim przybyciem. Tym od- płaciłeś mi za serce i parę straconych miesięcy. A teraz wracasz bardziej święty niż sam papież i będziesz mi żonę uświadamiał?!

— A ty nadal będziesz przed nią ukrywał swe ohydne grzeszki?

— O czym ty mówisz? — znów ten pomruk furii, której Patryk zdawał się nie zauważać.

— O tym, co wyczyniałeś w swoim ukochanym serialu, chociażby. Twoja żona widziała odcinek pt. „Zdrada”? — Patrycja nie oglądała tego szajsu...

— I wcale się jej nie dziwię. Patrząc, jak małżonek na oczach całej Polski pieprzy inną? Żadna normalna by tego nie zniosła!

Łukasz wbił wzrok w niebieskie oczy Patryka.

— Agnisia-kurwisia niemal zgwałciła mnie na planie. Ona mnie, wyobraź sobie. Cała ekipa miała ubaw, a już największy ta niewyżyta suka...

— Ty się niby źle bawiłeś? — zapytał Patryk z prze- kąsem. — Pozwoliłeś się gwałcić na oczach wszystkich pro publico bono? Wsadzałeś jej język do gardła wbrew własnej woli? Łukasz, pliss, nie wciskaj mi kitu, że to była doskonała gra aktorska! Wymyśl coś bardziej praw- dopodobnego! Że tobie tym razem rohypnol podrzucili czy coś. Albo przyznaj sam przed sobą, że pofolgowałeś sobie przy pierwszej sposobności z koleżanką z pla... — Ostatnie słowo utkwilo mu w gardle, bo Łukasz chwycił go pełną garścią za koszulę i wbił plecami w ścianę.

— I zrobiłem to do kamery, wiedząc, że moja żona, którą kochałem, Kocham i Kochać będę, może to zobaczyć?! Że może jej to złamać serce, a moim dzieciom życie?! Myślisz, że jestem tchórzem jak ty i nie potrafiłem otwarcie powiedzieć Patrycji, że z nami koniec, ale zro- biłem to za pośrednictwem ogólnopolskiej telewizji? I ta- niej dziwki?! — Zaśmiał się, kręcąc głową. — A wiesz, panie wszechwiedzący, co stało się potem, gdy skończyli ujęcie? Nie wiesz, bo nie dociekałeś. Otóż tak przypie- przyłem kurwisi, że oskarżyła mnie o pobicie. Ledwo Marynowska mnie wybroniła. O tym też nie zapomnij powiedzieć Patrycji. Zresztą, rób, co chcesz, i mów, co chcesz. Ona ma prawo do swojej przeszłości...

Łukasz nagle puścił tamtego. Wygładził mu koszulę. I wytarł dłoń gestem obrzydzenia o spodnie.

— Nigdy nie zdradziłem Patrycji! Nigdy! A ty, jak cała pierdolona reszta, nie możesz tego znieść!

— Ja zniosę to bez problemu — padło nagle. Odwrócili się gwałtownie.

Patrycja stała oparta o ścianę domu, z rękami splecionymi na piersiach.

— Spokojnie pogodzę się z faktem, że byłeś mi wiemy. Uśmiechnęła się, widząc zmieszanie

Łukasza, z czym było mu bardzo do twarzy. Podniósł na nią oczy i... to ona zmieszana się w następnej sekundzie. Dotarło do niej bowiem, jak pięknym i pociągającym mężczyzną jest ten, z którym mieszka pod jednym dachem od blisko dwóch miesięcy. Zielone oczy pociemniały. Czarne wiele obiecywały. Ale wszelkie obietnice musiały jeszcze poczekać. Do nocy.

— Przepraszam, bracie — odezwał się cicho Patryk, widząc, jak tych dwoje na siebie patrzy. Nie było mowy, by Łukasz skrzywdził Patrycję. — Przepraszam. Nie wiem, co mi odpieprzyło.

Łukasz z trudem oderwał spojrzenie od żony.

— Dominika ma pewnie trudne dni — uśmiechnął się. — A żebyś wiedział. Do ślubu mam szlaban — westchnął tamten. — Ale może choć dziś ją ubłagam...

— Powodzenia. — Łukasz roześmiał się złośliwie. — Ja nie muszę błagać? — spojrzał pytająco w oczy Patrycji. Pokręciła głową zawstydzona.

Późnym wieczorem, gdy tylko dziecko zasnęło, przebiegła na paluszkach korytarz i wślizgnęła się do jego sypialni. Zmieszana, sploniona, czego na szczęście nie było widać.

Jak się TO robi? Czy będę umiała? Serce trzepotało pod cienką koszulką, gdy krok po kroku zbliżała się do łóżka mężczyzny. Przykłękała, patrząc, jak śpi. Dotknęła czarnych miękkich włosów, dotknęła ust i aż jęknęła, czując ból tam, w podbrzuszu. Ona mogła pamięć stracić, ale jej ciało pamiętało tego mężczyznę. Pamiętało do bólu.

Nie zdążyła krzyknąć, zaskoczona, gdy Łukasz podniósł się nagle, chwycił ją wpół i pociągnął ku sobie. Leżeli wtuleni w siebie tak jak w poprzednim życiu. Chłonał jej zapach, jej ciepło i dotyk. Słuchał cichutkich pojękiwań, jakimi przyjmowała pieszczotę jego dłoni. Był gotów, był więcej niż gotów!, od kiedy ujrział pragnienie w zielonych oczach, teraz więc zaciskał zęby, by nie wziąć jej tak gwałtownie, jak pragnął. By cierpliwie i łagodnie uczyć swą dziewiczą żonę miłości, ale... Patrycja nie była dziewicą. Gdy pieszczota dłoni przestała wystarczać, opadła na plecy, pociągając Łukasza za sobą.

— Kocham cię — wyszeptła. — Weź mnie, najpiękniej i najczulej...

Obudził go w nocy cichy płacz.

Patrycja leżała odwrócona do niego plecami, wciskając głowę w poduszkę, by nie słyszał łkania, ale on spał zbyt czujnie. Dotknął delikatnie jej ramienia, nie śmiąc teraz, po ich pierwszym zbliżeniu, uczynić nic więcej. — Przepraszam — szepnął.

— Za co?

— Myślałem...

Dawny Łukasz nie poznałby siebie. On, zawodowy uwodziciel, miał wątpliwości, czy kobiecie było z nim dobrze?! Ale Patrycja nie mówiła o kochaniu... Nagłym ruchem wyciągnęła spod poduszki zdjęcie. Ostatnie zdjęcie, jakie Plama zrobił ich rodzinie: Patrycji, Łukaszowi, Anielce i Bartusiowi. Przed żółtą Chatką w Poczekajce.

Roześmiana Patrycja tuliła niemowlę, Łukasz obejmował córeczkę. U ich stóp siedziały Neska z Pandą-psem. Był słoneczny kwietniowy dzień...

— Dziecko... — Dotknęła policzka niemowlęcia. — Miałam drugie dziecko. Synka... Co się z nim stało? Dlaczego straciłam pamięć? Mieliśmy wypadek? Łukasz pokręcił głową, bo słowa uwięzły mu w krtani. — Miał na imię Bartuś... — wyszeptła wpatrzona w zdjęcie. — Muszę tam jechać! — Poderwała się nagle, podbiegła do szafy i zaczęła gorączkowo się ubierać. Łukasz nawet nie próbował oponować, mimo że był środek nocy. Po prostu wstał i również sięgnął po rzeczy. Przez całą wielogodzinną drogę do Poczekajki nie zamienili ani słowa. Przeszłość znów spadła między tych dwoje, rozdzielając ich szklaną taflą. Im bliżej byli Poczekajki, tym milczenie stawało się cięższe. Żadne z nich nie wiedziało, co ich tam czeka.

Był ranek, gdy skręcali w tak dobrze znaną im drogę. Słońce wiodło ich znajomym szlakiem, przeskakiwało z drzewa na drzewo, złociło kwitnące bzy.

Przy drogowskazie Łukasz zatrzymał samochód. Po prostu nie mógł dalej prowadzić, tak

trzęsły mu się ręce. Nie był w tym domu, na tej drodze, od kiedy odebrał Patrycję ze szpitala. I miał nadzieję więcej tu nie wracać. Życie jednak pisze swoje scenariusze bez względu na nasze „chcę-nie chcę”. Zatrzymał się więc na poboczu, odetchnął głęboko parę razy i wreszcie spojrzał na Patrycję.

Siedziała zupełnie nieruchomo, jak zahipnotyzowana. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na załom drogi, za którym — wiedziała to, czuła całą sobą! — czekało rozwiązanie wszystkich tajemnic.

Odpięła pas. Ręką, która ważyła chyba sto kilo, otworzyła drzwi toyoty i stanęła na wiejskim piaszczystym trakcie. Poznawała go! Po raz pierwszy, od kiedy się obudziła, po raz pierwszy czuła, że odzyskuje tożsamość! Swoją jaźń, pamięć, swoje uczucia i myśli, samą siebie!

Zrobiła krok i zatrzymała się. Ostrzeżenie! Coś ją powstrzymało przed uczynieniem drugiego kroku. Będzie bolało! — rozkrzyczała się w jej umyśle Patrycja Pierwsza. Obejrzała się na Łukasza. Siedział za kierownicą, blady jak upiór. Czoło zrosił mu pot. Nie idź, błagał spojrzeniem, wiedząc jednocześnie, że ona musi iść, musi spotkać się z przeszłością albo on, Łukasz, straci ją na zawsze. Bezpowrotnie.

Zmusił się, by wyjść na zewnątrz. Po chwili stał obok żony. Ujął jej dłoń i mocno uściskał. Razem ruszyli ku Chatce. Oczy Patrycji ciemniały z sekundy na sekundę, oddech przyspieszył, spocona dłoń wyslizgiwała się z ręki Łukasza, by na widok płotka, chwaszczaka, sadku, a potem żółtego domku powędrować do ust.

Patrycja stanęła jak wryta. Łukasz objął ją. I stali tak w miejscu swego nieszczęścia.

— Biegłam — wyszeptała nagle. — Była noc. Biegłam za samochodem, za tobą! Odjechałeś, a ja chciałam cię zatrzymać.

Łukaszowi łzy stanęły w oczach. Nie kończ, proszę! Nie rań i siebie, i mnie! — skowyczało mu w duszy, ale milczał.

— Czułam się winna. I... żal, tak, czułam ogromny żal do ciebie, bo... oskarżyłeś mnie. Gabriel! Byłam z Gabrielem? Nie! Ty mi to zarzuciłeś. Miałeś zdjęcia. Ktoś przysłał ci zdjęcia: ja z Gabrielem. Mówiłam, że to nieprawda, ale mi nie uwierzyłeś...

— Teraz wierzę, miła moja, może już...

— Odjechałeś. Wróciłam do domu. Płakałam. Ucałowałam synka...

— Patrycjo... — po raz drugi próbował jej przerwać, lecz umilkł.

— Ucałowałam Bartusia, położyłam się obok niego i zasnęłam.

Łukasz nagle wstrzymał oddech. Ona powiedziała coś ważnego!

— Ucałowałaś Bartusia? — zapytał takim tonem, że po raz pierwszy od kiedy stanęli przed Chatką, spojrzała na niego.

— Tak. Spał.

— Spał?

— Tak. Gdy się obudziłam, nie oddychał. Nie żył — dokończyła martwym głosem.

Łukasz znów zaczął drzeć. Z szoku. Ogromny ciężar, który dźwigał przez ten rok, nagle zelżał odrobinę. Ich synek nie umarł przez niego ani przez Patrycję. Odszedł, gdy jego mama była przy nim. Spała zmęczona łkaniem, ale BYŁA!!!

Patrycja stała obok Łukasza, płacząc. Płacząc z żalu nad tamtą — Patrycją Pierwszą, która w jedną noc straciła synka i męża. A potem zabiła siebie poczuciem winy. Wmówiła sobie — by ból był jeszcze dotkliwszy, by tortura była jeszcze bardziej nie do zniesienia, a kara zasłużona — że śmierć synka nastąpiła z jej winy. Jej i tylko jej. Że ona, matka, wybiegła z domu, zostawiając umierające dziecko. Jakże straszny był ten ciężar... — To był wypadek — wyszeptała łamiącym się głosem. — To nie była jej wina. Ani twoja. — Dotknęła policzka Łukasza, a on ucałował jej dłoń w niemej podziękowanie, bo żadne słowa nie wyraziłyby tej ulgi i wdzięczności, jaką teraz czuł. A potem objął ukochaną kobietę, wtulił twarz w jej włosy i stali

tak, połączeni rozpaczą, ale i nadzieją, przed złotą od słońca, małą, starą Chatką. Ostatnie lzy zostały scałowane ze słonych ust. Ostatnie słowa przebaczenia wyszeptane i przyjęte.

— Wejdziemy do środka? — zapytała nieśmiało. — Nie tak prędko — w oczach mężczyzny błysnęło coś, czego jeszcze w nich nie widziała, a co pewnie zniewoliło Patrycję Pierwszą. Schylił się po koniczynkę z białym łebkiem, zwinął z niej pierścioneczek i wsuwając go na serdeczny palec ukochanej kobiety, zapytał z pełną powagą:

— Czy ty, Patrycjo Druga, bierzesz sobie mnie, Łukasza, za męża?

Spojrzała raz i drugi zaskoczona, a to na niego, a to na koniczynkowy pierścioneczek, i nagle roześmiała się. A serce Łukasza aż zamarło na jedno uderzenie, tak piękny był widok Patrycji szczęśliwej, znów szczęśliwej... Chwylił ją w ramiona.

— Ponawiam pytanie i nie skończę cię całować, póki nie dasz prawidłowej odpowiedzi: czy zostaniesz moją żoną po raz drugi?

Ona ujęła twarz Łukasza w dłonie i odparła z figlarnym uśmiechem:

— No pewnie!

Chwylił ją na ręce, podrzucił do góry, aż pisnęła ze strachu, a potem, tuląc do siebie z całych sił, przeniósł po raz drugi przez próg Chatki. Jako najszczęśliwszą pannę młodą.

Setny raz obiegała maleńki domek. Łukaszowi, wo- dzącym za nią rozkochanym spojrzeniem, mignął czasem a to koniuszek warkocza, a to rąbek sukienki, gdy po dwa stopnie wbiegała na poddasze, zbiegała do kuchni, wy- dała na dwór: do chwaszczaka (O jejuniu, Łukasz, tu są jakieś zioła!), do obórki (Będziemy mieć krówkę? I koni- ka!), do sadku (Pomalujemy drzewa na białe? Nie teraz? Och... Na wiosnę? Dobrze, to na wiosnę! Ale pomalujemy?), na drogę, do zagajnika, w końcu pobiegła nad rzekę, której szare wody dojrzała z okna na pięterku. Leżeli potem długie chwile wpatrzni w leniwy nurt, zieleń szuwarów, chmury nad głową...

— Zostaniemy tutaj, prawda? — Dotknęła jego policzka, zaglądając mu w oczy, zmęczona, ale przeszczęśliwa. — Wrócimy do Chatki?

— Co tylko zapragniesz... — Ujął jej dłoń i ucałował. Taką Patrycję pamiętał i za taką tęsknił rozpaczliwie przez wszystkie mroczne dni. I noce bez nadziei. Objął ją i zaczął całować, nie mogąc się nacieszyć bliskością ukochanej kobiety. Z początku oddawała pocałunki, tuląc się do niego jak zziębnięte dziecko, ale nagle znierucho- miała i — patrząc gdzieś daleko — odsunęła go od siebie, posmutniała. Podążył za jej spojrzeniem. Zrozumiał. Po- mógł jej wstać. Trzymając się za ręce, aby choć w ten sposób dodać sobie sił, ruszyli w kierunku cmentarza.

Trudna to była droga, dlatego też szli coraz wolniej. Łukasz odwiedzał grób synka raz w miesiącu. Czasem zabierał ze sobą Anielkę, która, nucąc kołysanki, krzątała się przy mogiłce, ale najczęściej przyjeżdżał sam. I nigdy nie zdarzyło się, by na pomniku z białego marmuru nie stały kwiaty.

Poczekajka pamiętała.

Nawet teraz ktoś modlił się przy grobie Bartusia. Ktoś? Klęcząca kobieta, słysząc ich kroki, wstała, zwróciła ku nim i... zrobiła krok w tył. I jeszcze jeden. Wielkimi oczami patrzyła na Patrycję i chciała uciekać. Nie była jeszcze gotowa, nigdy nie będzie!, by spotkać matkę przy grobie dziecka, do którego śmierci się przyczyniła. Chcia- ła uciekać, ale... widać jednak nadszedł czas kaźni. Patrycja wpatrywała się w nieznaną tak intensywnie, jakby próbowała ubrać kobietę w sukienkę wspomnień. Skrawek po skrawku, pętelka po pętelce, obrębek po obrętku tkąta obraz znaj ornejnieznajomej w umyśle, by wreszcie wyszeptać:

— Hanka!

Tamta drgnęła jak uderzona w twarz.

— Dlaczego się mnie boisz? — Patrycja badała twarz przyjaciółki, bo wiedziała, że Hanka była, czy może jest, jej ukochaną przyjaciółką. Ona zaś spojrzała błagalnie na Łukasza. Ale mężczyzna pokręcił ledwo zauważalnie głową. Kiedyś musiały się spotkać. Kiedyś Patrycja

za- pytałaby o tę, która próbowała zniszczyć jej życie, a na koniec przyłożyła rękę do tragedii.

— To przeze mnie — wykrztusiła w końcu, patrząc oczami pełnymi łez na mały grób ze zdjęciem roze- śmianego niemowlaka. — To ja przysłałam Łukaszowi zdjęcia.

— Jakie zdjęcia? — zdziwiła się Patrycja.

— Twoje z Gabrielem. Łukasz zarzucił ci zdradę i od- szedł, ty wybiegłaś za nim, a wtedy Bartuś...

Otarła łzy wierzchem dłoni.

— Nieee...— Patrycja pokręciła głową, chwytając ją za rękę. — Nawet jeśli próbowałam nas skłócić, nie jesteś winna tej śmierci. To był wypadek. Wybiegłam z domu na dwie, może trzy minuty. Gdy wróciłam, Bartuś spał. To był tragiczny wypadek, ale nie z twojej winy i nie z mojej. Łukasz też niczemu nie zawinił. Nawet jakbyśmy byli wtedy razem, kończąc kolację w kuchni, czy śpiąc obok maleństwa, dziecko zmarłoby we śnie. To jest właśnie najstraszniejsze, że nic nie moglibyśmy poradzić. Ale to nie jest wina rodziców, a już na pewno nie ich przyjaciół. Bo jesteś moją przyjaciółką, prawda? Hanka skinęła tylko głową.

Patrycja przytuliła ją serdecznie, wiedząc, och, dokładnie wiedząc, jaki ciężar tamta dźwiga.

— Zrobię wszystko... — zaczęła, ale Patrycja przerwała jej:

— Przyjedź z dziećmi jak najszybciej. Tyle słyszałam o czarnej dwójce, że nie mogę się doczekać, aż ujrzę Adasia i Lusię na własne oczy.

Ujrzała miesiąc później.

Lusia rzuciła się jej na szyję, obsypując policzki Patrycji mokrymi buziakami.

Adaś zatrzymał się parę kroków przed nimi, taksując kobietę uważnym spojrzeniem.

— Trochę schudłaś, ciociu Paprycjo, ale poza tym może być — skwitował wreszcie.

Patrycja uniosła brwi.

— Będziemy spać z tobą, a wujek na dole, czy uznasz, że jestem już za duży na spanie z babami i wymościsz mi posłanie w stajni, na sianie? — zapytał rzeczowo w na- stępnej chwili.

Łukasz tylko pokiwał głową: tak będzie, przyzwyczajaj się.

— Jest południe — zauważyła Patrycja, by zyskać na czasie.

Chłopiec wzruszył ramionami:

— Nie znasz dnia ani godziny...

— Pozwól mu na sianie, ciociu. Wlezie mu do ucha skorek i ogłuchnie, a ja będę mogła bezkarnie nazywać go głupkiem.

— Kogo, idiotko? Skorka?

— Ciociuuu! Powiedz mu coś!!! — Lusia, nie czekając na ciocine wstawiennictwo, pognęła za bratem. Aniela za nimi obojgiem. Neska i Pandapies także, rzecz jasna. — Wytrzymasz weekend z tymi diablętami? — Łukasz pokręcił głową, odprowadzając spojrzeniem znikające za lasem figurki.

— Wiesz, że kocham dzieci — uśmiechnęła się Patrycja. — I marzę o dwójce albo trójce, a najlepiej czwórce takich diabląt — dokończyła z przemożną tęsknotą w głosie.

Łukasz przygarnął ją do siebie.

— Ja też. — Ucałował pachnące konwalią włosy. — Jeżeli jesteś gotowa... Jeżeli zechciałabyś obdarzyć mnie... nas...— Nie dokończył, bo gardło zacisnęło się boleśnie.

Patrycja podniosła nań śliczne zielone oczy i z naj- piękniejszym, najczulszym uśmiechem położyła dłoń pod sercem.

Zostawmy tych dwoje na progu nowego życia.

Niech Poczekajka znów rozbrzmiewa śmiechem dzieci. Niech w Chatce na pięterku stanie kolebusia. Niech w chwaszczaku załopocą pieluszki na sznurku. Niechaj okiennice już zawsze będą otwarte, zapraszając do środka słońce. Niech stary domek odżyje, ale nie za sprawą sił



nadprzyrodzonych, lecz zwykłej, choć może jednak nie takiej zwykłej, miłości.

Niech na jego szczęśliwym progu Patrycja Druga, teraz zwana po prostu Patrycją, powita Dominikę, która za chwilę zostanie poślubiona zakochanemu w niej bez pamięci Patrykowi.

W tym cudownym dniu Patrycja zaprosi do środka wszystkich," których kiedyś kochała. Także Krąg — w jej domu nie będzie wprowadzie więcej magii, ale nie będzie też noży wbitych w drzwi. Dziadka, Berenikę, Lilianę, obie drimerki... I mimo wszystko domek odetchnie magią. Przyjadą hrabiostwo Romoccy: Gabriel trzymający Hankę za rękę w prostym czułym geście, którego przedtem jej skąpił. Adaś i Lusja, szczęśliwi, że ich rodzina ocalała, a mama znów się uśmiecha...

Nie zabraknie rzecz jasna Poczekajkan, Plamy i Dyrektora. Bez tych drogich Patrycji osób szczególny dzień straciłby odrobinę swego blasku.

A wieczorem, gdy goście się rozjadą, mały żółty domek utuli do snu swoich mieszkańców: Patrycję, Łukasza, Anielkę i... maleńką Haneczkę — spełnienie wszystkich marzeń.

Żegnamy więc mieszkańców Chatki Wiedzmy. Niech im się wiedzie. Niech będą szczęśliwi do końca swoich dni. Zawsze możemy przecież namieszać w życiu Patryka i Dominiki...

Poziomka, 30 kwietnia 2010 roku

